



PIORUN

CZY MOŻNA SIĘ MU OPRZEĆ?

ANGEL PAYNE

USA TODAY BESTSELLING AUTHOR

PIORUN

Dla Thomasa, mojego wspaniałego superbohatera na co dzień

ANGEL PAYNE

PIORUN

CZY MOŻNA SIĘ MU OPRZEĆ?

Przełożyła
Agnieszka Myśliwy



PROLOG

REECE

Ma ciało bogini, oczy kusicielki i usta diablicy.
Tego wieczoru cała należy do mnie. Na każdy możliwy sposób, jaki przyjdzie mi do głowy.

Kurwa, mnóstwo różnych rzeczy przychodzi mi do głowy.

Oszołomiony jej uwodzicielskim spojrzeniem idę za nią do zaparkowanej limuzyny. Paru znajomych z imprezy, którą właśnie opuszczamy – ich nazwiska już zaczynają mi się zamazywać niczym światła na barcelońskiej Plaça Reial – macha mi z przejęciem. Jakby Angélique La Salle zabierała mnie w sześciomiesięczny rejs do rajów.

O tak!

Nigdy nie byłem na żadnym rejsie. Jako dziedzic hotelowego imperium nie cierpiałem na brak luksusów, ale na żadnym rejsie nie byłem. Chyba by mi się spodobało. Żadnych zmartwień, tylko bezkresny horyzont... I gorzała. Żadnych dziennikarzy jak w tym tłumie, który błyskał mi w klubie fleszami po oczach.

Ciekawe, jakie będą nagłówki.

Na pewno mają już zaplanowanych kilka różnych kombinacji. W tym tygodniu największą popularnością cieszą się: *Imprezowicz. Podrywacz. Dziedzic, co nie lubi dziewic. Milioner, któremu nie tylko portfel wypycha spodnie.*

No cóż. Nie mogę ich zawieść co do tych wypchanych spodni.

I – to chyba kurewsko jasne? – nie zamierzam.

Jeśli tylko mojemu mózgowi spodoba się to tak samo, jak mojemu kutasowi... Na pewno nie będę narzekać.

Może to ta jedyna?

Może to coś więcej.

Może to ta, która wszystko zmieni? W końcu.

Gdy limuzyna włącza się do ruchu w godzinach sobotniego nocnego szczytu, Angélique zaczyna wodzić zielonymi oczami po wszystkim, co znajduje się poniżej mojej szyi. Moje ciało staje na baczność po pięciu sekundach. Fantazje rodzące się w moim mózgu ustępują pod naporem zdeprawowanej gorączki moich członków. Moja pierś jeszcze płonie od malinek, którymi grupowo obsypało mnie pięć dziewczyn na klubowym parkiecie. Barki płoną od paznokci szóstej, która rzuciła się na mnie jak wariatka, od tyłu. Mój kutas pulsuje od

erekcji, która nie słabnie przez siódmą dziewczynę i kreskę koki, którą z niego wciągnęła.

Wzrok Angelique zatrzymuje się w tym punkcie na dłużej. W zachwycie.

– *C'est magnifique.*

Jej głos staje się chrapliwy, gdy ona pochyla się i wsuwa dłoń między poły mojej koszuli. Gdzie jest mój krawat? Przecież miałem na sobie krawat tego wieczoru. Na jakimś etapie. Jedwab od Prady wyparował jednak, tak jak moja samokontrola. Moja skóra drży i rozgrzewa się pod błędzącymi palcami.

O kurwa.

Nawet jeśli nie jest to ta jedyna, przynajmniej jest kimś. Ciałem, które rozgrzeje tę noc. Obecnością, jakąkolwiek, która wypełni pustkę.

Pustkę, o której przestałem myśleć wieki temu.

– Ty też jesteś wspaniała – mamroczę, próbując zachować kontrolę, gdy Angelique przerzuca nade mną wyjątkowo elastyczną kończynę i dosiada mnie okrakiem. Skąpa zielona koktajlowa sukienka podjeżdża do góry na jej udach.

Oczywiście pod spodem nie ma niczego, co powinno znacznie bardziej uszczęśliwić mojego kutasa. To niepokojące, choć jeszcze się nie martwię. Jestem twardy, po prostu nie pulsuję. Nie pragnę. W sumie sam już nie wiem, czego pragnę. Wiem tylko, że bardzo dużo czasu poświęcam na poszukiwanie tego pragnienia.

– Niemal ideał – mruczy, rozpinając moją koszulę aż do pasa. – *Oui.* Te ramiona, takie szerokie. Ten brzuch, taki umięśniony. Jesteś doskonały, *mon chéri.* Doskonale się do tego nadajesz.

– Do czego?

– Zobaczysz. Już niedługo.

– Może coś mi podpowiesz? – Uśmiecham się szeroko w dolinę pomiędzy jej piersiami.

– To by popsuło niespodziankę, *n'est-ce pas?*

Wydaję niski warkot, ale nie naciskam – głównie dlatego, że ona jest warta czekania.

W trakcie podróży samochodem prowokuje i szarpie, muska i liże, kusi i zachęca. Wszędzie. Aż mam ochotę nakazać kierowcy, by zjechał na pobocze, sięgnąć po prezerwatywę i zerznąć tę kusicielkę tu i teraz.

Ale gdzie, do cholery, jest to tu?

Gdy tylko przychodzi mi do głowy to pytanie, limuzyna wjeżdża na jakiś poprzemysłowy teren. Odpowiednio zabezpieczony, wzięwszy pod uwagę wysokie mury i automatyczną

bramę, która pozwala nam wjechać prosto do budynku.

W środku, przynajmniej pod wiatą dla samochodów, panuje martwa cisza. W powietrzu unosi się zapach chemikaliów, skóry i... niebezpieczeństwa.

Nie ma to jak nuta tajemniczości, żeby doświadczenie seksklubu uczynić jeszcze przyjemniejszym.

– Wzięło cię na wspominki, co? – Skubię zębami podbródek Angelique.

Trzy tygodnie temu spotkaliśmy się w nieco bardziej intymnej wersji takiego miejsca, w Paryżu. Ja miałem potrzebę, ona mnie skusiła. Koniec historii. A raczej początek, zależy, jak na to spojrzeć.

– Nie podejrzewałem cię o taką nostalgię, skarbie.

Wysiada z limuzyny, zostawiwszy sukienkę na ziemi. W sumie niewiele miała z niej pożytku, odkąd zadarłem ją jej do pasa.

– Chodź, mój doskonały Adonisie.

Doskonały. Nieczęsto słyszę to słowo, przynajmniej w odniesieniu do siebie. Znacznie częściej przyklejają się do mnie medialne łatki albo, jeśli mam szczęście, jedna z tych pieśzcot ukutych specjalnie dla mnie przez ojca i Chase'a, którymi obsypują mnie w swoich cotygodniowych wiadomościach telefonicznych. Tata jest nieco bardziej wyrozumiały i zazwyczaj wybiera coś w stylu „Witaj, nieznamy” albo „Mój mały cygański dzieciaku”. Chase nie ma hamulców. Ostatnio najbardziej lubi mnie nazywać Kapitanem Porażką.

– Założę się, że sam chciałbyś być teraz Kapitanem Porażką, dupku – mamrocę pod nosem, gdy podchodzą do mnie dwie wspaniałe kobiety przywołane przez Angelique pstryknięciem palców. Białe laboratoryjne fartuchy z trudem ukrywają ich bujne krągłości. Nie mogąc się opanować, zerkam na śnieżnobiałe pończochy przekonany, że muszą się trzymać na podwiązках. Pomimo tych seksownych strojów żadna z nich nawet się nie uśmiecha, gdy razem zaczynają mnie rozbierać.

Tak mnie pochłonęło to, co robiły te małe roboty, że nie zauważyłem, kiedy przebrała się Angelique. Zamiast złotych szpilek, które nosiła w klubie, ma teraz stabilniejsze buty i biały fartuch. Blond loki zebrała z tyłu i upięła w kok.

– No, no, no. Doktor La Salle, jak mniemam? – Mierzę wzrokiem jej nowy strój ze znaczącym uśmieszkiem, próbując ignorować nagłe ściskanie w żołądku, gdy ona zaczyna wodzić po mnie wzrokiem.

Pożądanie znikło z jej twarzy. Maluje się na niej niemal kliniczny spokój.

– Och, nie jestem doktorem, *chéri*.

Unoszę brwi i opieram obie dłonie na biodrach tak, by palce strategicznie wskazywały mojego sterczącego kutasa. Może nie wiem jeszcze, co ta kobieta jada

na śniadanie, ale wiem, że ma słabość do aroganckich łajdaków. Zwłaszcza gdy są nadzy, mają wzwód i nie boją się czegoś z tym zrobić.

– To nic, *chérie*. – Kołyszę się na piętach. – Mogę udawać, że jesteś. Jeśli chcesz.

Angelique bierze głęboki oddech i prostuje plecy. Zabawne, nigdy jeszcze nie wydawała mi się bardziej seksowna niż teraz, kiedy naprawdę wygląda jak lekarka zamierzająca przekazać mi gówniane wyniki badań.

– Koniec udawania, *mon ami*.

– Koniec.

Znów ten ucisk w żołądku. Oglądam się za siebie. Dwie asystentki znikły, chyba że za sprawą magii zamieniły się w najmasywniejszych koleśków, jakich widziałem. Nie licząc tych w sekcji dla VIP-ów w nocnym klubie.

Te cud-bliźniaki na pewno nie są tutaj po to, żeby mnie chronić.

Jednocześnie chwytają mnie za ramiona i kładą na noszach.

A potem mnie do nich przypinają. Mocno.

Naprawdę mocno.

– Co jest, kurwa?

– Ciiicho. – Angelique pochyla się nad moją twarzą (te kutasy tymczasem unieruchamiają też moją głowę) i muska szczupłymi palcami moje pomarszczone czoło. – Będzie lepiej dla ciebie, jeśli przestaniesz się opierać, *mon trésor*.

– Lepiej? Ale... Co?

Jej oczy rozbłyskują intensywnie, po czym powleka je szaleństwo.

– Historia, Reece! Tworzymy historię, a ty jesteś teraz jej częścią. Jedną z najważniejszych!

– Ty... Ty jesteś kompletnie porąbana. Nie tworzysz historii, głupia suko! Popelniasz przestępstwo! To jest porwanie!

Jej uśmiech emanuje upiornym spokojem.

– Nie, jeżeli nikt się nie dowie.

– Ludzie się zorientują, że zniknąłem, Angelique.

– A kto mówi, że znikniesz?

Z jakiegoś powodu braknie mi riposty. Właściwie nie, znam powód. To, co ona wyprawia, to szaleństwo. Ale doskonale zaplanowane szaleństwo.

A to oznacza...

Mam przerąbane.

Anioł, któremu zaufałem, że zabierze mnie do nieba, wręczył mi przepustkę do piekła.

Mój kutas jeszcze nigdy nie wpakował mnie w większe gówno.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

EMMA

Rok później

Biuro zarządu hotelu Brocade to świetne miejsce do pracy. A staje się jeszcze lepsze, gdy chłopaki z działu rezerwacji próbują się pozabijać.

– Bum!

– Ka-bum!

– Już nie żyjesz!

– Nie, jeśli ty zginiesz pierwszy!

– Taaa, jasne. Ponieważ twoja śledziona na ziemi to wcale nie dowód, że dorwałem cię pierwszy! Tak, ptasi mózdzku?

Ach. Dla ożywienia zmiany między osiemnastą a czwartą nie ma to jak odgłosy cybermamiaków w pełnym trybie mordowania. Gdy zaczynają pękać śledziona, to znak, że czas zakończyć przerwę i wrócić do pracy.

Nikt mi nie powie, że nowa dziewczyna nie uczy się szybko najważniejszych rzeczy.

I dobrze.

Bo ja naprawdę potrzebuję tej pracy.

Przysięgam sobie, że odetnę sobie prawy sutek, jeśli dostanę tę robotę. Lewy też, ale na szczęście nigdy do tego nie doszło. Zamierzam zatrzymać oba sutki i tę posadę poprzez bycie najciężej pracującą osobą w całym budynku.

W końcu dzięki niej wyostałam się z piekła.

Okej, hrabstwo Orange nie zawsze było dla mnie piekłem. Gwałtownie skreśliło w tę stronę, gdy tata otrzymał gigantyczny awans na wiceprezesa międzynarodowej korporacji z ogromną siedzibą w Irvine, co wywindowało moją rodzinę na zupełnie inny poziom dochodu. Prosto w stratosferę waniliowego snobizmu.

Czyli do piekła.

Na szczęście uciekłam. Nie jestem już częścią tego świata. Wreszcie prowadzę życie, w którym jest miejsce na coś więcej niż tylko wizyty u fryzjera, jogę i zamartwianie się o ilość węglowodanów w śniadaniowej muffince.

Zamierzam tutaj zostać.

Ta praca to mój klucz do prawdziwego życia.

Wracając do swojego biura, rozglądam się wokół z dumnym uśmiechem. Światelka mrugają w gałęziach oliwek i palm wokół basenu. Kępy tropikalnych kwiatów kołyszą się w lekkiej nocnej bryzie. Parę osób moczy się w jacuzzi na tarasie; śmieją się cicho i rozmawiają. Za to w basenie nie ma nikogo, więc woda odbija się leniwymi akwamarynowymi zawijasami w szybach mojego biura.

Sceneria oszałamia nawet w nocy.

Boże, ja naprawdę uwielbiam tutaj pracować!

– No, no, dobry wieczór, panno Emmalino Crist.

Uśmiecham się do osoby, która wita mnie w progu biura muzykalnym akcentem.

– Dobry wieczór, pani Neeto Jain.

Neeta z uśmiechem krzyżuje ramiona na piersi.

– Cyberwojownicy znów sprawili, że uciekłaś do bezpiecznej i normalnej części budynku?

Śmieję się, nieco podenerwowana.

Neeta jest ubrana niemal tak samo jak ja – ma na sobie ciemną garsonkę i satynową bluzkę – ale ona wygląda elegancko i profesjonalnie, podczas gdy ja czuję się jak dziecko, które udaje dorosłego. To niedorzeczne. Przecież mam już prawie dwadzieścia cztery lata. Sama zdobyłam tę pracę. Sama zapłaciłam za tę garsonkę. To nie jest przebranie. To moje.

To życie jest moje.

Dam radę. Dam radę. Dam radę.

Zamierzam to sobie powtarzać, w sercu i ustami, dopóki w to nie uwierzę.

Na razie jednak odpycham od siebie myśl o tym, że spływające na ramiona Neety ciemne włosy i idealnie obrysowane kredką oczy stanowią według mnie uosobienie ładnego, lecz zwyczajnego świata, w którym wciąż czuję się jak dziecko z plakatu.

– Nic się nie stało – zapewniam. – Wade i Fershan stają na wysokości zadania, kiedy trzeba. Goście przyznają im w ankietach satysfakcji najwyższą liczbę punktów w całym dziale rezerwacji. Dopóki za dnia zachowują się jak książęta z bajki, nie obchodzi mnie, gdy mordują się nocami na sto różnych sposobów.

Neeta wybucha miękkim śmiechem i podchodzi do okna.

– Masz absolutną rację. – Opanowanie pryska, gdy zerka na mój monitor. – A skoro o tym mowa... – Szczęka jej opada. Neeta osuwa się na mój fotel. – Spójrz tylko.

Zbliżam się, ciekawa, co sprawiło, że otworzyła usta ze zdumienia.

Każdy komputer personelu jest zaprogramowany tak, aby można było podłączać się w razie potrzeby do telewizorów w pokojach. W ten sposób jesteśmy na bieżąco z problemami technicznymi. Poza miejscowymi atrakcjami oferujemy także transmisję na żywo lokalnego programu informacyjnego, dostosowaną do zainteresowań naszych gości, choć nierzadko mamy z niej o wiele większą korzyść właśnie my. Znajdujemy się w śródmieściu, przez co często łądujemy w samym centrum różnych wydarzeń – od trzęsienia ziemi o sile sześć i więcej po diwę łamiącą paznokiec w drodze na rozdanie nagród – a bezustannie zmieniające się informacje to w zasadzie nasz kompas.

Teraz Neeta obsługuje ten kompas z zaskakującą wprawą. Nie byłabym zaskoczona, gdyby jej gardłowe jęki i rozmarzone westchnienia zaowocowały prawdziwym ślinotokiem.

– To? – pytam zafascynowana.

Muszę zobaczyć, co zmieniło tę światową i elegancką kobietę w jękającą się podlotka.

Obchodzę monitor, zerkam i marszczę brwi.

– Napad na sklep spożywczy? – Myślałam, że pogapimy się na seksownych facetów na jakimś czerwonym dywanie. – Jestem z małego miasta i chyba nie rozumiem, co w tym ciekawego. – Zastanawiam się, czy nie należałoby przełączyć się na inną stację.

Jak ostatnio sprawdziłam, historie w tym stylu nie miały nic wspólnego z wartościami Richards Resorts, czyli „R gościnności”. Relaks. Regeneracja. Rekreacja.

– Udaremniiony napad na sklep spożywczy. – Neeta stuka czerwonym paznokciem w blat dla podkreślenia swoich słów. – Tylko spójrz na boga, który go udaremnił!

– Na boga?

– Boga.

Patrzę uważniej.

Na monitorze widać z lotu ptaka mały sklep, jak wiele innych w tym mieście. Średni ruch na skrzyżowaniu. Palmy. Geranium posadzone pomiędzy jezdniami. Kilka miejsc parkingowych i stojak na rowery przed sklepem. Reklamy piwa i totolotka w witrynach. Neonowy napis głosi: „Tak. Otwarte”. Nie ma nic wyjątkowego w tym, że na miejscu pojawiła się policja. Dwa samochody błyskają światłami, zamieniając okolicę w miejską dyskoteczkę.

– Naprawdę nie widzę w tym nic...

Nagle zaczynam dostrzegać.

Obraz się zmienia, zastępuje go nagranie z komórki sprzed czterdziestu pięciu minut. Jakiś amator musiał sfilmować wszystko z naprzeciwka. W tle słychać komentarze właściciela telefonu.

– Cholera! Jakim trzeba być dupkiem, żeby obrobić Świętego Mikołaja?

Właściciel sklepu faktycznie wygląda jak słodki starszy facet, który w okolicy Bożego Narodzenia łapie drugą fuchę. Jestem tego pewna, chociaż teraz stoi za ladą w podkoszulku z napisem „Dodgersi do boju”. Przywódca chuliganów sięga po broń, a Mikołaj wyciąga ręce, jakby próbował ugłaskać bałwanki.

– Jaki słodki staruszek! – mamrocze Neeta. – Ja leżałabym już na podłodze i trzęsła się jak galareta.

– Jak ona?

Ujęcie poszerza się panoramicznie, obejmując kobietę niewiele starszą od nas, która kuli się na posadzce. Łajdak numer trzy właśnie ją zauważył i podchodzi do niej z wyciągniętą łapą.

Jego palce zaciskają się jednak na niczym, bo kobieta unosi się w górę.

Na co najmniej półtora metra. Prosto w powietrze.

– Co to...?

– No nie? – Neeta wstrzymuje oddech, gdy dziewczyna zaczyna krzyczeć. – Ale wcale nie to jest najlepsze.

– Jest tego więcej?

Gdy tylko słowa padają z moich ust, biedaczka zaczyna powoli płynąć ku zapleczu sklepu, jak niesiona przez jakieś niewidzialne bóstwo. Pomiędzy nią a podłogą jest półtora metra przerwy. Jej lot ku bezpieczeństwu wyznacza wyraźna czarna linia na wypalonym linoleum.

– Jak to jest...?

– No nie? – powtarza Neeta.

– No nie! – wykrztuszam. – Właśnie nie! Jak to jest w ogóle możliwe, do cholery?

– Ludzie mówią, że on wytwarza jakieś potężne pole elektryczne – odpowiada Neeta. – Ale nikt nie wie, jak to dokładnie działa.

– Jaki on?

– No on – oświadcza takim tonem, jakby obwieszczała przybycie samego Erosa.

Po lewej stronie ekranu pojawia się jeszcze jeden mężczyzna.

Neeta wcale nie przesadzała. Postać na filmie mogłaby być bogiem.

Facet wyłania się znikąd, żarówki pękają, oblewając go powodzią iskier. Zupełnie jakby zstępował z jakiegoś cholernego Olimpu w przypiływie gniewu!

Ten opis piekielnie dobrze pasuje do jego nastroju. Szeroko stawia kroki. Ramiona rozpostarł; obejmuje nimi powietrze po obu stronach swojego ciała. Jego pięści wyglądają jak brutalne węzły na końcach umięśnionych lin. Cholernie umięśnionych. Moja siostra jest gwiazdą tenisa, więc dobrze wiem, jak nazywa się każde ścięgno w ludzkim ramieniu. Wcale nierzadko mam okazję nazwać je wszystkie po kolei, patrząc na nie. Mogłabym to zrobić, patrząc, na przykład, na jego nogi, że o mięśniach brzucha nie wspomnę.

Po chwili namysłu dochodzę do wniosku, że może jednak wspomnę.

Wszystko to jest opakowane w strój będący połączeniem uniformu motocyklisty i gwiazdy rocka. Czarna skóra jest tak obcisła, że bóg powinien wyglądać jak pretensjonalny dupek, ale z jakiegoś dziwnego powodu nie wygląda. Jego kombinezon ma elastyczne panele we wszystkich miejscach, w których jego cudowne ciało się zgina. Na nogach świetne buty, coś w stylu służb specjalnych albo komandosów, sięgające aż do kolan.

Po części ninja, po części profesjonalny zawodnik MMA, po części chmura gradowa.

W stu procentach fascynujący.

Nie potrafię oderwać od niego wzroku. Emanuje mocą jak żywy przewód elektryczny zamknięty w obłądnym ciele.

Naprawdę obłądnym.

– Cholera jasna. – W końcu zmuszam swój mózg do wysiłku, żeby zaczerpnąć tchu.

– Nie ma nic jasnego w tym, co chciałabym zrobić z tym facetem! – prychna Neeta. – Kimkolwiek jest.

– Co chcesz...

Eros/ninja/koleś błyskawica przerywa mi, podchodząc do rabusiów i rozstawiając stopy na tę samą szerokość co rozpostarte pięści. Pochyliła głowę, jakby coś mówił, na co opryszkowie rzucają się na niego we trzech. W odpowiedzi unosi obie pięści i rozpościera palce szeroko. W innym uniwersum spodziewałabym się, że zaraz trysną z nich pajęczyny albo kule ognia, lecz w tym tutaj powietrze przesywa tylko wyczuwalny, choć niewidzialny dreszcz.

Rabusie padają, jakby ktoś wymierzył im potrójny cios.

Nie sposób tego ogarnąć rozumem, tak jak nie sposób zrozumieć sztuczki z lewitującą kobietą. Ale taka jest prawda.

Neeta wydaje cichy okrzyk równo ze mną, co zdradza, że przyznaje mi całkowitą rację. Gapimy się jak zahipnotyzowane, gdy bohater unosi rękę nieco wyżej i postrząsa nią, jakby wyrzucał śmieci – chyba tak właśnie myśli? – a

bandyci rozsypują się w powietrzu na boki niczym niesione wiatrem papierowe kubki. Unoszą się na wysokość sześciu metrów, po czym wbijają się w lodówki na napoje na tyłach sklepu. Siedzą w nich przez kilka sekund sparaliżowani strachem, po czym razem ze szkłem opadają na podłogę.

Osoba trzymająca komórkę zapewnia nam błyskotliwe komentarze.

– Tak! Kolesz wie, co robi!

Kątem oka dostrzegam Wade'a, który musiał pozbierać swoje cyberflaki z ziemi na tyle, by teraz móc do nas podejść. Słyszając naszą reakcję na telewizyjny materiał, przyśpiesza kroku.

– Fersh! – woła. – Chodź tutaj! To on!

– Jak cholera. – Każda sylaba padająca z ust Neety ocieka seksem.

– Ale jaki on? – dopytuję, gdy Fershan pochyła głowę i obnaża w uśmiechu białe zęby, które kontrastują z jego ciemną skórą.

– Stary – mruczy, szturchając Wade'a w kościste ramię. – Masz rację!

– Jaki on?

– Nikt nie wie – odpowiada Neeta.

Zerkam na monitor.

– No nie. Czy to się dzieje naprawdę? – Otwieram usta ze zdziwienia. – On tak na poważnie? Naprawdę nosi maskę?

Okej, nie jest jakaś wielka. Wygląda jak maserati wśród masek: elegancka, czarna i subtelna, dopasowana ciasno do górnej części jego twarzy, lecz z otworami na oczy. Pod tym kątem niewiele widać, ale otwory są chyba prostokątne, przez co on wygląda jak hipster o kręconych włosach w designerskich okularach. Tyle że zamiast obcisłych džinsów i marynarki nosi szytą na miarę skórę i dziwaczne, ale seksowne buty *à la* ninja.

– Myślę, że on tak całkiem na poważnie – odpowiada Wade, gdy ninja/bóg piorunów ściąga z półek kilka przedłużaczy i wycofuje się z nimi na zaplecze. Obok zwisających przewodów znajduje się rząd małych latarek, które zaczynają mrugać, gdy zbliża do nich dłoń.

– Co do... – Patrzę zdumiona na chłopaków. – Widzieliście?

– No! – odpowiadają chórem.

Przez następnych trzydzieści sekund widzimy tylko właściciela sklepu, który ukradkiem mierzy wzrokiem dziwnego elektrofacyta. Na szczęście operator komórki informuje nas o kolejnych krokach bohatera.

– Kolesz używa tych przedłużaczy, żeby związać opryszków. Dobrze, stary. Tak się to robi.

Gdy na obrazie zaczynają migotać czerwone i niebieskie światła, facet w

masce podnosi głowę. Zdecydowanie podchodzi do witryny, z determinacją człowieka gotowego ocalić świat.

W tej chwili wcale nie wydaje mi się to przesadą.

Porusza się niewiarygodnie szybko i jest oszałamiający. Gdy wchodzi w kadr, koncentrują się na nim wszystkie moje zmysły. Jestem zdenerwowana, ale podekscytowana, niemal jak na pierwszej randce; trochę słabo, biorąc pod uwagę, że nie mam wielkiego doświadczenia. W każdym razie objawy są takie same.

Pocę się.

Pulsuję.

Czuję mrowienie.

We wszystkich najgorszych miejscach.

– O cho... Wow!

Reaguję bezwiednie. Nie mogę się powstrzymać.

– Aha, nasz prowincjuszka w końcu załapała! – Sarkazm Neety ratuje mnie przed koniecznością poszukania ciętej riposty na złośliwości Wade'a i Fershana.

– Zrobi to?

– Daj spokój. Musi to zrobić!

– Ale co? – pytam.

– Proooszęęę – przeciąga głoski Neeta. – Na pewno to zrobi.

– Ale co?

Chłopcy zaczynają wiwatować, gdy bohater na ekranie zerka na Świętego Mikołaja. Odwraca się od lady, przyjmuje pozycję podobną do zawodowych biegaczy w blokach startowych.

I znika.

– Co do...

Sklep wypełnia się wirującymi kartkami papieru, słomkami do napojów i opakowaniami prezerwatyw. W skrócie: wszystkim, co z łatwością może unieść wiatr.

Zaczynam rozumieć. On nie zniknął. Po prostu wybiegł tak szybko.

Fershan i Wade przybijają sobie piątkę z doskoku.

– Znikam piorunem!

Mam ochotę śmiać się z nich razem z Neetą, ale paraliżuje mnie zdumienie.

– Słucham? – potrafię tylko wykrztusić.

Rumiana twarz Wade'a jeszcze bardziej czerwienieje z ekscytacji.

– To jego podpis.

– Podpis? – powtarzam z wahaniem.

– No, jak okrzyk wojenny – wtrąca Fershan. – Znak rozpoznawczy. Dzięki

temu się wyróżnia.

– Bo strój i maska to za mało?

– Łatwo je skopiować – oświadcza Fershan. – A zniknięcie jest unikatowe. Tego nikt nie podrobi. – Jego oczy rozbłyskują. – Każdy szanujący się superbohater ma takie coś.

Mój grymas znika. Zastępuje go opadnięta szczęka.

– Okej, chwileczkę. Chcecie powiedzieć...

Przerywa mi ostry dźwięk dzwonka. Drzwi do naszych biur, zamykane na noc, wydają taki dźwięk, gdy ktoś próbuje otworzyć je zbliżeniowo. To żadne zabezpieczenie, bo zazwyczaj i tak ignorujemy ten odgłos. Karty zbliżeniowe mają tylko ci ludzie, którzy powinni.

Tym razem jest jednak inaczej.

Zaniepokojeni Wade, Fershan i Neeta podnoszą głowy. Zanim mogę wyśmiać ich paranoję, zaczynają się krzątać, jakby ktoś uruchomił właśnie alarmy przeciwpożarowe na wszystkich piętrach.

– Niech to szlag! – syczy Neeta.

Chłopaki mniej się krygują.

– Hej! – Pędzę za nimi na tyle szybko, na ile pozwalają mi szpilki. – Co się dzieje? Może ktoś zechce wytłumaczyć sytuację nowicjusze?

– Kurwa! – warczy Wade, jakby mnie nie słyszał. Rzuca nerwowe spojrzenie kumpłowi. – On nigdy nie korzysta z tego wejścia!

– Jaki on?

Fershan głośno przełyka ślinę.

– Chyba że nas szpieguje.

– Ale kto?

Czy w końcu mi powiedzą?

Neeta przewraca oczami.

– Jego nazwisko jest na szyldzie, chłopcy. On nie szpieguje. On dogląda interesów.

Zatrzymuję się tak gwałtownie, że moje palce kurczą się w noskach szpilek.

Jego nazwisko. Na szyldzie.

– O cholera!

Mój okrzyk zdumienia ma uzasadnioną przyczynę. Jediną osobą, której nigdy nie spodziewałabym się spotkać, nawet gdybym pracowała na dziennych zmianach, a nie na nocnych, był człowiek, który podpisywał co dwa tygodnie mój czek z wypłatą. Nasłuchałam się o Reesie Richardsie dość, by to założyć, i dlatego teraz czuję się tak niekomfortowo.

No okej, słyszałam o nim, zanim zdobyłam tę robotę, ale tylko w krótkich trzydziestosekundowych wzmiankach w sekcjach towarzyskich programów informacyjnych. I wiedziałam, że paparazzi kochają jego twarz, bo widywałam ją na okładkach wszystkich gazet w supermarkecie. Cudowne najmłodsze dziecko rodziny Richardsów, znane zarówno ze swoich niekonwencjonalnych pomysłów biznesowych, jak i niepohamowanego apetytu na seks, po ukończeniu studiów całkiem utraciło nad sobą kontrolę. W pewnym momencie Reece wdepnął w gówno tak głęboko, że został zesłany tutaj, do sieci rodzinnych hoteli na zachód od LA. Miał ją prowadzić.

Nie muszę chyba dodawać, że nie spodziewam się wesołka?

Szczerze mówiąc, zastanawiam się, czy uda mi się uniknąć spotkania z nim. Nie muszę nawet kłamać na temat nawału pracy, którą zostawiłam na biurku. Fakt, że na monitorze nadal lecą wiadomości, wcale mi nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie.

Kogo ja oszukuję?

Mogę myśleć tylko o tym, że zaraz znów obejrzę nagranie z napadu. Jeśli nie pod wpływem mojego szalejącego libido, to przez szalone tezy Wade'a i Fershana.

Superbohater?

Bez jaj!

Muszą żartować.

Nawet jeśli facet potrafi wytwarzać prąd, unosić ludzi w powietrze i poruszać się z prędkością światła, to jeszcze nie czyni go cholernym superbohaterem!

Jeśli jednak nie, to kim?

Moje rozważania przerywa – na szczęście? – nowa energia, którą wyczuwam w powietrzu.

Okej, „energia” to może przesada. Ale nie jestem pewna, jak inaczej nazwać ten szalony przypływ doznań. Mój puls przyśpiesza. Może to niepokój? Pochodne dreszczu podniecenia, jaki poczułam na widok faceta w masce? To chyba jednak coś więcej. Jak gdyby każdy jon w powietrzu został podłączony do kosmicznej superładowarki.

– Pan Richards. Jaka miła niespodzianka!

Siła.

Wyższa.

Żadne słowa nie są w stanie go opisać. Nawet połączone z trudem spełniają swoją rolę.

Reece Richards całkowicie wymyka się moim oczekiwaniom.

I staje się uosobieniem moich lęków.

Nie chodzi wyłącznie o fizyczność, ale – wow! – możemy od niej zacząć. Jest w nim wszystko, co pamiętam z kolorowych okładek: szare, głęboko osadzone oczy, tęczywki niemal czarne, męski rzymski nos i wydatne eleganckie usta. Aksamitne wargi nad ostrym podbródkiem; ciekawe, czy staje się kuszący, gdy zaciska szczęki? O jego włosach nie warto nawet wspominać. Bo tak, nawet jego włosy są warte uwagi. Wiem to, bo niezależnie od okoliczności zawsze musiałam spojrzeć po raz drugi na jego zdjęcie. Z powodu tych ciemnobrązowych fal.

Ale tak jak powiedziałam – to dopiero początek.

Jego piękno – naprawdę nie da się tego inaczej nazwać – to zaledwie niewielki odprysk tego, co czuję, gdy na niego patrzę. Doświadczam go. Czy powietrze buzuje? Czy każdy oddech próbuje rozerwać mi płuca? Czy moje zakończenia nerwowe nastawiły się na wyższą częstotliwość?

Obecność. Aura. Tajemnica.

Wszystkie te słowa już słyszałam. I wydawało mi się, że je rozumiem.

Aż do teraz.

To wszystko sprawia, że zaczynam pragnąć. I boję się tych pragnień. Muszę walczyć z wizjami tego, jak by to było: skoczyć na niego, otoczyć udami jego umięśnione biodra i wpasować się każdym milimetrem złąknionej szczeliny na jego nabrzmiałe...

– Pani Jain. Dobry wieczór.

Wita się z Neetą, a następnie z chłopakami, głosem tak potężnym i łagodnym zarazem jak oceaniczna fala obmywająca brzeg.

Jego głos. Od razu pogłębiający – i wzmagający – moje fantazje. Teraz, gdy rzucam się na niego w myślach, mruczy mi do ucha. Mówi sprośne, zmysłowe rzeczy. Rzeczy, o robieniu których nie myślałam od bardzo dawna.

„Ujeżdżaj mnie mocniej, Emmo!”.

Rzeczy, o których nie powinnam – nie mogę – myśleć.

„Pragnę znaleźć się w tobie, Emmo”.

Nie teraz.

„Zerznę cię głęboko, Emmo”.

Nie z takim mężczyzną.

A mimo to całkowicie koncentruję się na nim, gdy stoi tam wysoki, elegancki, w dopasowanym granatowym garniturze i krawacie. Tak dopasowanym, że nie mogę się powstrzymać i mój wzrok pada...

Wszędzie.

Tak, nawet tam.

Wow.

Jego śmiała twarda elegancja zdecydowanie nie jest rozczarowaniem.

Emmo, przestań!

W mojej głowie rozlega się głos matki. Adekwatnie. Nawet za bardzo. Ciekawe, co powiedziałyby, gdyby tu była.

Dlaczego mam wrażenie, że ten mężczyzna dostrzega każdy niuans myśli, które mnie opanowały? I które wywołują w nim takie samo napięcie jak we mnie?

– Dobry wieczór, szefie. – Wade pochodzi bliżej i entuzjastycznie ściska dłoń Richardsa. Neeta nie potrafi ukryć przerażenia na widok tej poufałości, ale „szef” wydaje się rozbawiony. – Postanowił pan pointegrować się tego wieczoru ze zwykłymi ludźmi?

Skonsternowany Richards marszczy brwi.

– Oczywiście – odpowiada powoli, jakby wcześniej czytał z ruchu warg Wade’a, a teraz domyślał się znaczenia słów.

Neeta, bardziej wytrącona z równowagi niż kiedykolwiek, odkąd ją znam, prychnie lekko.

– Pan Richards nie ma czasu na integrację – mówi i z przepaszającą miną dodaje: – Przyszedł po tygodniowe raporty, rzecz jasna. Postanowił uczynić nam zaszczyt i upomnieć się o nie osobiście.

Trudno rozszyfrować nową minę Richardsa. Ulga? Zdziwienie? Albo i to, i to. Albo nic z tych rzeczy.

W każdym razie jego rysy są oszałamiające.

– Jasne. Raporty. – Głos ma pytającą intonację, choć słowa nie układają się w pytania.

Zerka na mnie; nasze oczy się spotykają.

Otwieram usta i nic. Zastanawiam się, czy jeszcze kiedykolwiek zdołam wydobyć z siebie jakiś dźwięk. Zwłaszcza że on pochyla się ku mnie, jakby istniało coś, co powinniśmy sobie powiedzieć.

Jak to możliwe, że ostrze błyskawicy znalazło w tej betonowej dżungli drogę do moich rozedrganych, falujących zmysłów?

Podłoga ucieka mi spod nóg, prowadząc mnie do nieuniknionego wniosku.

Ta błyskawica to on.

Gwałtownie wciągam powietrze. On robi tak samo. Wydaje się zaskoczony. Zły. A może nie? Co czuje? Dlaczego nie potrafię tego zgadnąć? Muszę wiedzieć. To pragnienie staje się coraz silniejsze, przytłacza mnie coraz bardziej.

Co on ze mną wyprawia, do cholery?

Nie. Czego on nie wyprawia? Mam wrażenie, że mój pociąg seksualny ktoś podłączył do gniazdka, tyle że wcale nie chcę wrywać kabla. Nawet gdy wtrąca się Fershan i całkiem psuje moment.

– Nie ma jeszcze jedenastej, panie Richards. Tygodniówki będą gotowe dopiero po północy.

Neeta szturcha go w ramię, po czym znów kieruje cały swój wdzięk ku Richardsowi.

– On chciał powiedzieć, że zaraz zabierzemy się do pracy, by niezwłocznie je dla pana sporządzić. W przeszłości przedstawialiśmy już system, by generować prognozy, więc jestem pewna, że i tym razem...

– Nie. – Mężczyzna przerywa jej spokojnie, lecz władczo, i prostuje plecy. – Do północy niedaleko. Proszę po prostu przysłać kogoś z raportami do penthouse'u, gdy będą gotowe.

– Oczywiście, proszę pana. Miłego wieczoru, panie...

Rozlega się zgrzyt zamykanych drzwi windy.

Upływają jeszcze dwie sekundy, które potwierdzają, że szef jedzie na górę, po czym Wade i Fershan zaczynają brutalnie drwić.

– Ojej, jaka miła niespodzianka, proszę pana!

– Pana życzenie jest dla mnie rozkazem, proszę pana!

Neeta unosi brew, zerkając na Wade'a.

– Integrujemy się tutaj, proszę pana?

– Hej! – Wade palcem wskazującym odhacza coś w powietrzu. – On się roześmiał!

Fershan prychnął.

– O ile taki facet potrafi się roześmiać.

– Taki facet? – Nie potrafię wyciszyć oskarżycielskiej nuty w głosie.

Wade parska śmiechem.

– Daj spokój, Emmo. Przecież wiesz, o czym mówię.

– Chyba jednak nie wiem. – Zastępuję oburzenie konsternacją. – Poważnie.

– Oczywiście, że wiesz – protestuje. – Gość kupił zapewne linię lotniczą i bzyknał trzy stewardesy przed śniadaniem. Gdy ktoś mieszka na szczycie wysokiej wieży, potrzebuje poczucia humoru? Śmiech to strata czasu, no nie?

Neeta uśmiecha się krzywo.

– Może po prostu nie zna się na żartach.

– Nie zna się na żartach? – stęka Wade. – A może po prostu nie ma poczucia humoru?

Nie spodziewałam się, że będą się z niego nabijać. Gdy cofam się o krok,

oburzona, Neeta delikatnie kładzie dłoń na moim ramieniu.

– W porządku, Emmo. Nie musisz przy nas udawać, że tego nie czułaś – podpowiada, gdy marszczę brwi.

– Serio – wtrąca Wade. – Nawet zwłoki by to poczuły.

Wywijam się spod ręki Neety.

– Co by poczuły? Serio, o czym wy mówicie?

Zapada cisza. Wszyscy wymieniają się spojrzeniami, jakby nagle wyrosła mi druga głowa. W końcu Wade informuje mnie delikatnie:

– Ten gość jest dziwny, Emmo.

No przecież. W najcudowniejszy możliwy sposób.

Ale nie to Wade ma na myśli. Zdradza mi to jedno spojrzenie na rumieniec rozlewający się po jego twarzy aż po linię rudawych włosów.

– Moim zdaniem bycie dziwakiem to nie zbrodnia. – Fershan uderza się dłonią w czoło. Neeta wzdycha znacząco. – Mówisz tak teraz, bo hormony uderzyły ci do głowy – kontynuuje Wade zaskakująco łagodnie. – To zrozumiałe. Ten facet to uosobienie forsy, dobrych manier i cholernie dobrych genów w jednym. Ale gdy już się z tym wszystkim oswoisz, w końcu się z nami zgodzisz.

– Uderzyły mi do głowy... – Urywam z ponurym śmiechem. Czy on tak na poważnie? Do ciężkiej cholery, mówi poważnie! Jak oni wszyscy. – Może i jestem z prowincji, Wade, ale nie mam już czternastu lat. Moje hormony to nie twoja sprawa... Nie wasza – poprawiam się.

Interweniuje Fershan.

– Oczywiście – mamrocze. – Niczego takiego nie sugerowaliśmy. Po prostu dłużej tu jesteśmy, lepiej znamy sytuację. I prosimy, żebyś wzięła to wszystko pod uwagę.

– To obgadywanie własnego szefa? – ripostuję.

– Mówimy prawdę. – Gwałtownie wypuszcza powietrze z płuc. – Jesteś tu od niecałego miesiąca. Czekaliśmy, aż się zadomowisz, żeby porozmawiać z tobą o panu Richardsie. On nie jest taki, jak ci się wydaje, Emmo.

Łypię na niego ironicznie.

– Nie żartuj.

– Posłuchaj. – Fersh chwyta mnie za ramiona. – Z nim... Z nim jest coś nie tak, Emmo. Facet, którego gloryfikują media, to nie ten sam koleś, który prowadzi ten hotel. On...

– On co? – Jestem zmęczona wrażeniem, że jako jedyny dzieciak na biologii nie widziałam jeszcze sekcji żaby. – On niby jaki jest? Wyduśże to wreszcie z siebie!

Zaciska wargi.

– On jest... Jest po prostu dziwny, okej?

– Och. – Unoszę obie ręce do nieba i odwracam się do całej trójki plecami. – Nie! – sarkam w końcu. – Nie okej.

Mija godzina, a ja wcale nie czuję się inaczej. Jeżeli już, to jestem jeszcze bardziej zdeterminowana, by obstawać przy swoim. Głównie z powodu konsternacji. Jak to możliwe, że odczuwam to wszystko zupełnie inaczej niż Neeta, Wade i Fershan? Znam ich zaledwie kilka tygodni, ale uważałam za rozsądnych i bystrych ludzi aż do dzisiaj, gdy usłyszałam całą tę gadaninę o superbohaterze na ulicach miasta i szalonym szefie w penthousie. Nie potrafię wyrzucić z pamięci surrealistycznego doświadczenia spotkania twarzą w twarz z Reece'em Richardsem. Naelektryzowane powietrze, jego magnetyczna osobowość, brak tchu i koncentracja mojego wzroku.

Kto tu traci rozum?

Czy naprawdę zamierzam zignorować szansę poznania prawdy?

Pytanie wybucha w mojej głowie, gdy drukarka w pokoju obok zaczyna wypluwać kolejne strony tygodniowych raportów.

Całe moje ciało odpowiada trzema zdecydowanymi ruchami.

Jedno kopnięcie. Szpilka numer jeden łąduje na podłodze.

Drugie kopnięcie. To samo spotyka szpilkę numer dwa.

Trzeci ruch – bezszelestny sprint do drukarki i zwinne zebranie wszystkich kartek z tacy.

Nie mija kolejna minuta, a już jestem w windzie dla personelu. Naciskam guzik z literą P i wkładam buty.

Przygotowując się w duchu na dziwactwo.

Nie. Mając nadzieję, że będzie dziwnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

REECE

Tego wieczoru podniosłeś bycie idiotą do rangi sztuki, co nie, stary?

Kurwa, dobrze, że to pytanie retoryczne. Zacząłbym się martwić, gdyby dupek patrzący na mnie gniewnie z szyby pogrążonego w mroku penthouse'u odpowiedział cokolwiek. Nie jestem w nastroju na pogawędki, nawet z własnym odbiciem. Mam ważniejsze sprawy na głowie.

O wiele ważniejsze.

Jakby to wymagało doprecyzowania, mój kutas wypycha materiał spodni. Jak na zawołanie, po raz setny w ostatniej godzinie. A może dwusetny? Czy to ma znaczenie? Gdy resztki elektryczności znów zaczynają krążyć w moich żyłach, dyskomfort staje się prawdziwym piekłem.

Zaciskam dłonie na podłokietnikach fotela i unoszę biodra, szukając wytchnienia od bólu. Bez skutku. Jestem twardy jak kamień i gotów zerznąć własny przybornik na długopisy. Ale to przyniesie mi ulgę na dwie i pół sekundy, a potem znów zaczną się tortury, dwa razy gorętsze i trzy razy boleśniejsze. Poza tym przybornik pewnie by się już do mnie po tym nie odezwał.

Karma to prawdziwa suka. Nie ma dnia, żeby nie przypomniała mi o tym wszystkim, no nie?

Zasłużyłem sobie na to.

Nieważne, ilu sklepikarzy-Mikołajów uratuję od teraz do śmierci. Nic się nie zmieni.

Zasłużyłem sobie na to.

Ale tak w sumie, dlaczego właściwie wyhodowałem sobie sumienie? Ten nowy dupek, w którego się zmieniłem, oznacza o wiele większe kłopoty niż ten stary. Zwłaszcza gdy zaczynam zachowywać się jak idiota i biegnę na ratunek Mikołajowi tego samego wieczoru, kiedy powinienem przeglądać tygodniowe raporty.

Modlę się do Boga i każdego innego bóstwa, które zechciałoby mnie dzisiaj wysłuchać, żeby Neeta nie przysłała z raportami tej nowej.

Kurwa. Kurwa!

Ta nowa dziewczyna...

Nie. Nie dziewczyna. Kobieta, o czym przypomina mi moje zdradzieckie ciało, gdy na myśl przychodzą mi jej ponętne krągłości, jasne blond włosy i

wielkie niebieskie oczy.

Znów mi staje. Jęczę przeciągle, próbując zepchnąć wizję do podświadomości. Mogę kontrolować albo ją, albo kutasa. Nie zdołam grać na dwa fronty.

Postanawiam utrzymać kutasa w spodniach i pozwalam rozhulać się wyobraźni.

Ona.

Ona, czyli kto?

Nie zdołałem zdobyć się nawet na to, by zapytać o jej imię. Może to i dobrze. Nawet gdybym nie musiał wtedy walczyć z tysiącem dodatkowych watów w mojej krwi, co miałbym powiedzieć? „No cześć, jestem Reece. Nie, nie przeniosłaś się nagle na inną planetę, na której atmosfera wysysa z mózgu poczucie równowagi. To tylko ja. Może zjemy kiedyś razem sushi?”.

Erekcja powoli słabnie.

– Dzięki Bogu – mamroczę do sufitu. – Serio, stary – dodaję, biorąc pierwszy pełny oddech. – Tym razem mówię poważnie.

W końcu mogę oprzeć ramiona na podłokietnikach i zerknąć na pulsujące pod skórą żyły, które mienią się odcieniem pomiędzy mleczną bielą a rtęcią w rytmie mojego serca. Wyglądam jak pieprzona choinka. Ironia roku, no nie? Syn marnotrawny rodziny Richardsów powraca do domu na Gwiazdkę jako bożonarodzeniowe drzewko. „Podaj ajerkoniak, tatku!”.

Odwracam prawą rękę, by spojrzeć na zegarek. Właśnie minęła północ. Przy odrobinie szczęścia personel na dole zaleje zaraz falą nieoczekiwanych telefonów. Będą zbyt zajęci meldowaniem gości, prośbami o poduszki i skargami na hałasy, by zajmować się raportami.

Ten przeklęty kac po moim dzisiejszym wyczynie potrzebuje jeszcze pół godziny, żeby całkiem wyparować z mojego organizmu. Już prawie mam to za sobą, ale jeszcze nie całkiem.

Zmuszam się, żeby usiąść prosto. Sięgam do szuflady biurka i wyjmuję z niej zapasową kartę do windy. Uniemożliwienie windzie dla pracowników wjazdu na poziom penthouse’u jest banalnie proste. Potrzebuję jeszcze tylko paru minut...

Karma, która cechuje chore poczucie humoru, wybiera ten właśnie moment, aby wysłać tę przeklętą windę na górę.

Wrzucam kartę z powrotem do szuflady i mamroczę słowo na „k”. Winda sunie w górę niemal bezszelestnie. Aż nagle rozlega się sygnał oznaczający, że właśnie zatrzymuje się przed biurem.

Biorę kolejny głęboki oddech. Niech to nie będzie ona.

Po tym pokazie niezręczności, jakim było moje spotkanie z nocną obsadą hotelu, Neeta dopilnuje, żeby to nie była ona. Długo walczyła o ten nowy dodatek do swojej ekipy, zatem na pewno zechce ograniczyć do minimum jej spotkania z Wielkim Złym Wilkiem. A przynajmniej na razie.

Tak sobie powtarzam.

Zmuszam się, by w to wierzyć.

Ponieważ wiara w cokolwiek to niemal...

Nadzieja?

Nadzieja, która atakuje z taką siłą, że znów zaciskam palce na krawędzi biurka.

Drzwi windy się rozsuwają.

Wysiada ona.

Elektryzuje powietrze.

Elektryzuje mnie.

Jak nic, czego doświadczyłem dotąd. Jak nikt, kogo dotąd poznałem.

O wiele bardziej, niż wydawało mi się to możliwe.

Bardziej.

Nie. Niech to szlag, to niemożliwe! Czy Angelique nie wyjaśniła mi tego smakowitego faktu dostatecznie dobitnie?

Obecność tej kobiety jest jak kopnięcie prądem. Moje tętno wzrasta dwukrotnie. Błyskawica w mojej krwi skwierczy, po czym uderza prosto między moje uda, aż zaciskam pośladki i podrywam biodra w górę. To agonia, ale już nie piekło.

To cholerne niebo.

Od razu odzywa się we mnie podejrzliwość. Nie ufaj temu. Co jest z tym nie tak?

Nie mam prawa do nieba. Miałem szansę na cholernie dobre życie, a okazałem się zbyt zadufanym w sobie uprzywilejowanym dupkiem, by docenić je choć przez sekundę. Teraz nie mam prawa do nieba. Piekło to moja jedyna nagroda i mogę się tylko modlić, by nadeszło wcześniej niż później.

Nie ufaj temu.

Gdy jednak podchodzi bliżej, w tych sięgających nieba szpilkach, z plikiem dokumentów przyciśniętym do piersi, gdy rozgląda się po apartamencie, szeroko otwierając oczy, nie mogę oprzeć się jej magii. Zaczynam się nią rozkoszować. Czyż nie tak właśnie postępują wilki, gdy rozkoszne małe króliczki zawędrują do ich pieczary?

– Halo?

Dziewczyna odchrząkuje i zatrzymuje się, by wygładzić zakiet i spódnice wolną dłonią. Przyciąga tym samym moją uwagę do swoich wdzięcznych krągłości. Ma jędrne pełne piersi, jej tyłeczek tworzy słodką wypukłość na spódniczce. A jej nogi, zwłaszcza w tych butach...

Kurwa. Mać.

Wyobrażam sobie, że te obcasy wbijają się w moje plecy. W moje barki. W mój kark....

– Halo? – powtarza króliczek jedwabistym głosem. – Hm, panie Richards? Jest tu ktoś? Ja przyniosłam raporty. I... – Gdy podchodzi do okna, urywa z okrzykiem. Na górze, siedemdziesiąt pięter nad miastem, jest tak cicho, że dobiega mnie jej szept: – O cholera... Czy ja widzę Chiny?

– Nie do końca.

– Och!

Przygryzam wargę, by nie wybuchnąć śmiechem, bo ona podskakuje prawie jak króliczek. Tyle że nie ma się co śmiać, bo zaraz zaczyna się chwiać na tych niedorzecznych obcasach. Rzucam się w jej stronę, wciskam ręce w kieszenie, żeby ukryć jarzące się koniuszki palców, ale od razu orientuję się, że nie zwiode jej tym niby-swobodnym podejściem.

Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. Śmiało, oceniająco i bez cienia strachu.

Jezu.

Kiedy ostatnio ktoś patrzył na mnie bez lęku w oczach?

Nie chcę teraz odpowiadać na to pytanie. Mam ochotę rozkoszować się rezultatem. Pragnieniem zbliżenia się do niej, nawet jeśli wyczuwam w niej niebezpieczeństwo. Ogniem, który ona rozpała w moich palcach. Żarem, który wzbiera w czubku mojego kutasa. Świadomością, jaką budzi w moich zakończeniach nerwowych.

Mimo to udaje mi się wykrztusić gładkim tonem, z którego słynałem niegdyś:

– Spokojnie, Velvet. Mnie też podoba się ten widok.

Nie mam, oczywiście, na myśli panoramy rozciągającej się za oknem.

– Ja... Ja nie mam na imię Velvet.

– Pewnie nie. – Wodzę wzrokiem po kremowych płaszczyznach jej twarzy. – Ale to do ciebie pasuje. – *Aksamitny królik*, moja ulubiona książka z dzieciństwa. Gerta, moja *au pair*, czytała mi ją mnóstwo razy. *Aksamitny królik. Jak zabawki stają się prawdziwe?*

Króliczek przede mną nie odpowiada, mocniej przyciskając plik

dokumentów do piersi. Ale pod fasadą opanowania dostrzegam pobudzenie. Świadomość tego wabi mnie do niej, ale ona tężeje i wyciąga przed siebie sztywną rękę.

– Prze... Przepraszam, panie Richards. Zacznę raz jeszcze i mam nadzieję, że tym razem uniknę katastrofy. – Unosi podbródek i rozciąga usta w uśmiechu, który trzeba opisać jako uroczy. – Emmalina Crist. To zaszczyt poznać pana, sir.

Tak. Urocza. I niemożliwa. Jeśli uścisknę tę śliczną dłoń, zacznę się zastanawiać, dlaczego moje palce wyglądają jak lampki, a moja skóra jest w dotyku jak elektryczny pastuch. Nigdy już nie spojrzysz na mnie z taką ufnością i podziwem.

Nigdy nie spojrzysz na mnie jak na człowieka.

Zakładam więc swoją maskę. Posyłam jej palcom i jasnoróżowym paznokciom spojrzenie z ukosa, po czym odsuwam się, roztaczając wokół siebie aurę bogatego dupka. Skinieniem głowy wskazuję jej pogrążony w mroku gabinet.

– Może zostawić to pani na biurku, panno Crist. Gdy będzie pani wychodzić. Kąciki jej ust opadają, ale w oczach wciąż płonie optymizm.

– Oczywiście.

Przeciska się obok mnie.

Musi wyczuwać to, co wyczuwają wszyscy: molekuly w powietrzu, które wskazują, że coś jest ze mną nie tak. Dziwaczne pole siłowe, które lada chwila sprawi, że Emmalina popędzi do biurka i ucieknie w pośpiechu.

Lada chwila.

Mogę tylko mieć nadzieję.

I bać się.

– Na tamtym biurku? – Nieśmiało podnosi palec. – Tam?

Niemal wybucham śmiechem. Śmiech i łzy są nierozłączne, prawda? Na pewno nie będę płakać nad tym, że moja obecność zaraz zacznie przyprawiać ją o gęsią skórę. O ile wiem, zgłosiła się na ochotnika, by dostarczyć mi te raporty.

Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, panno Crist.

– Chyba że woli je pani zostawić na tym drugim biurku? – mamrocę. – W sypialni?

Jej źrenice się powiększają. Nie jest aż tak niewinna, by nie zareagować na tę niestosowną aluzję. Jestem kurewsko zbity z tropu. Odbyłem niejedną rejs po zakazanych wodach, ale nigdy jeszcze nie cumowałem w firmowej przystani.

Co się, do cholery, wydarzyło, że nagle całkiem odjęło mi rozum?

– Czy tamten pokój ma lepszy widok?

To. Właśnie to. To się wydarzyło. Ta kobieta. Ta czysta, elektryzująca, ufna, zachwycająca istota, która z mojej obłej propozycji zrobiła coś całkowicie innego. Coś zabawnego, a nawet seksownego. Na samą myśl mój kutas znów melduje się na pokładzie, aż muszę odchrząknąć i odwrócić się do niej plecami. Powrócić do cienia, z którego się wynurzyłem.

– A to ma jakieś znaczenie?

Nie jestem pewien, o co mi chodzi. Chcę tylko zatrzymać ją tutaj jeszcze przez parę minut.

– Oczywiście, że ma. – Idzie ze mną. Jej kroki zyskują na pewności. – W przeciwnym razie stawianie biurka w sypialni nie miałoby żadnego sensu.

– Bo sypialnie służą tylko do romantycznych celów?

– Cóż, na pewno nie do tego, żeby prznosić tam jakieś firmowe g... – Panna Crist gryzie się w język. – Firmowe sprawy. – Kręci głową, jakby beształa się w duchu. – A ja znów zachowuję się skandalicznie. – Z grymasem na ustach wodzi wzrokiem pomiędzy mną, biurkiem a widokiem, który tak się jej spodobał. – Dlatego też, hm, podrzucę to tam i... No tak, dobranoc. Och, dobranoc!

Powtarza te słowa dobitnie, bo podrzucanie papierów przybiera zupełnie inny obrót, niż oczekiwała. Moim zdaniem to te buty robią krecią robotę. Traci równowagę, przez co musi przenieść ciężar na drugą nogę i wykrzywić kostkę. Zaczyna lecieć do przodu z papierami w dłoni. Jeden energiczny gest i wszystkie kartki tygodniowego raportu rozsypują się w powietrzu, tworząc białą chmurę. Unoszą się przez chwilę, po czym lądują na biurku i u moich stóp.

– Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Tym razem bez autocenzury.

Zaczyna je zbierać. Sięga po nie nerwowo, ewidentnie mając nadzieję, że zdoła je uporządkować.

Powinienem powiedzieć jej, że wystarczy. Powinienem uświadomić, że to bezcelowe, bo to ponad pięćdziesiąt stron danych zadrukowanych czcionką ósemką. Powinienem zapewnić ją, że łatwiej będzie przepuścić to wszystko przez niszczarkę, a raport wydrukować raz jeszcze.

Powinienem. Ale tego nie robię.

Los zesłał mi wyjątkowy dar, a ja nie zamierzam go zmarnować.

Obserwując ją, czuję się tak, jakbym po raz pierwszy widział wieżę Eiffla albo Tadź Mahal. Nigdy już nie spotka mnie podobny moment, pełen zdumienia, pozbawiający tchu...

Ściskający mnie centralnie za jaja.

Ściskający. Chwytający. Łomoczący.

Nawet wieża Eiffla tak na mnie nie wpłynęła.

Zaciskam zęby, żeby zdławić jęk. Ledwie mi się udaje. Zaczynam wątpić w siłę własnej woli, gdy panna Emmalina Crist pochyla się nad biurkiem, by sięgnąć po kartkę w rogu. Tyłek tej kobiety to dzieło sztuki, płótno, na którym mógłbym malować pociągnięciami mojej spermy, aż ona osiągnęłaby orgazm zamiast...

– Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. – No tak. Ona dalej swoje. – Chyba widać, kto opuszczał zajęcia w szkole wdzięku, no nie? Jak bardzo beznadziejna może się okazać pojedyncza osoba? – Staje na całych stopach tylko po to, żeby przebiec na moją stronę biurka. – Cóż, ta konkretna idiotka to wszystko naprawi – wypala. – Obiecuję.

I pada na kolana.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. Chyba teraz moja kolej?

– Panno Crist...

– Wow. Tego jest wszędzie pełno.

– Panno Crist...

– Wiem, wiem. Trzeba było zbindować. To się już więcej nie powtórzy.

Obiecuję, obiecuję.

– Nic się nie stało – mamroczę.

To niemożliwe, odwarkuje mój mózg. Nie. To całkowite szaleństwo. I to mówi koleś, który właśnie wsadził za kratki trzech opryszków, posługując się impulsami elektromagnetycznymi i paroma przedłużaczami! Gdyby cholerny archanioł Gabriel zstąpił z nieba dziesięć minut temu i zapowiedział mi, że będę tutaj stać w cieniu, próbując rozmawiać z kobietą, która będzie klęczeć na kolanach niemal oko w oko z moją pulsującą erekcją, roześmiałbym mu się prosto w chmurę cracku, z której by zstąpił.

Gdy ostatnio sprawdzałem, anioły wiedziały, że należy trzymać się ode mnie z daleka.

Co oznacza, że jestem naprawdę całkiem sam. W ciemności. Z tą kobietą. I z jej włosami, skórą, krągłościami i gorączkowymi mamrotaniem. Z energią, która wypełnia powietrze, a której nie potrafię pojąć.

Z kobietą przepelnioną wszystkim poza strachem.

Co jest, do cholery?

Dlaczego ona się mnie nie boi?

Bo jestem przekonany, że się nie boi.

Jeżeli czegoś się nauczyłem, odkąd zamieniono mnie w chodzącą diodę, to właśnie tego, jak pachnie, smakuje, wygląda i jak jest wyczuwalny strach.

Doświadczylem go, pod każdą postacią, od każdej osoby na ziemi zmuszonej do kontaktu ze mną, odkąd „doktor La Salle” i jej gang świrów torturowali mnie miesiącami.

Wiele można by teraz powiedzieć o Emmalinie Crist, ale na pewno nie to, że się mnie boi.

To świadomość, z którą nie potrafię się rozstać.

Skarb, którego nie odmówię.

Kobieta, której nie zamierzam się opierać.

Nieważne, że to złe.

Nieważne, jak wysoką cenę każe mi za to zapłacić karma.

EMMA

Słaba, słaba, słaba.

To słowo doskwiera mojej psychice bardziej niż te przeklęte buty moim stopom. Wszystko przypomina mi, że nie mogę za to upokorzenie winić nikogo poza samą sobą.

Słaba.

Oczywiście, musiałam włożyć do pracy szpilki, ufając reklamie, przez którą je kupiłam. Wierzyłam, że będę elegancka, wyrafinowana. Że przynajmniej będę wyglądać, jakbym pasowała do tej posady w wielkim mieście.

Słaba.

Elegancka i wyrafinowana? Widać, jak długo to trwało od chwili, kiedy Reece Richards przekroczył próg biura. Ciężki przypadek głupoty okazał się jednak jeszcze poważniejszy, gdy skorzystałam z pierwszej lepszej wymówki, by spotkać się z nim sam na sam.

Słaba.

Słaba i tak głupia, że ocierająca się wręcz o idiotyzm – odkąd wynurzył się z cienia jeszcze przyjemniejszy dla oka niż ten oszałamiający widok za oknem. Zdjął krawat. Założył okulary. Dlaczego, do cholery, musi być jedynym mężczyzną na ziemi, który lepiej wygląda w okularach niż bez? Wyraziste czarne oprawy ze srebrnymi akcentami sprawiają, że jego oczy wydają się błyszczeć, gdy z trudem wypuszcza powietrze z płuc i zerka w dół. Na mnie.

Gapi się.

I gapi.

Widzę jego oczy tuż ponad bardzo wyraźną wypukłością pomiędzy nogami.

Mam wrażenie, że ta wypukłość zbliża się do mnie. Czuję jej żar na twarzy. Powiększa się, gdy ciężko oddycham, świadoma tego, jak bardzo zmieniła się atmosfera pomiędzy nami. Jak jest naładowana.

O mój Boże.

Pragnę go.

Nie tylko dlatego, że dawno tego nie robiłam.

To niezwykle, oszałamiające, szokujące pożądanie.

Pragnę go.

Bardziej niż kiedykolwiek pragnęłam mężczyzny.

Pożądanie rozdziera mi mięśnie, pali krew, buzuje w każdej komórce mojej kobiecości. Papiery w moich palcach zaczynają szeleścić, tak mocno je ściskam. Ale jeśli je wypuszczę, cholernie dobrze wiem, po co sięgnę.

– Ja... – Mój głos brzmi obco. O całe lata świetlne stąd. Jest boleśnie intymny. – Ja... Może powinnam po prostu...

– Po prostu co, Velvet?

Velvet. Musiał to powiedzieć. Używając tego chrapliwego władczego tonu.

– Powinnam...

Powinnam już iść. Jesteś moim szefem. Potrzebuję tej pracy. Tak nie wypada.

Wypada. I to tak bardzo, że aż przeraża.

Muszę się temu poddać, chociaż na chwilę. Przez jeden niewymagający myślenia moment pragnę przestać się temu opierać. Pozwalam umysłowi skoczyć w przepaść tego, co nie wypada. Przeznaczenie nie przywiodło mnie tutaj, do tego konkretnego nierealnego miejsca w tym konkretnym nierealnym czasie tylko po to, bym zachowała się jak tępą prowincjuszka z Orange County, która nie potrafi pojąć gigantycznej kosmicznej aluzji.

To tylko chwila.

Tylko on i ja.

Pociąg. Pożądanie. Uległość.

Osobliwa siła kieruje moją głową. Pokonuję dystans oddechu, który rozdziela moją twarz i jego ciało, i muskam nosem szew na jego kroczu. On wzdryga się cały. Materiał się napręża. Gdy biorę głęboki oddech, nade mną rozlega się ostry syk. Moje zmysły szaleją od jego uderzającego do głowy zapachu. Jego woda po goleniu, posmak metalu i dymu. Jego podniecenie, piżmowe i gęste. Czy materiał pod moim nosem wilgotnieje?

Chcę wiedzieć.

Muszę to wiedzieć.

Przyciskam mocniej.

Jego gardłowy jęk sprawia, że kusi mnie, by przekroczyć cienką granicę, której dotąd przestrzegaliśmy. Nie do wiary, że jest jeszcze czas na to, by zawrócić. Zgadza się co do tego milcząco, nasze mięśnie się naprężają, oddechy stają się płytkie. Czekamy, by to drugie odzyskało rozum i oświadczyło, że to naprawdę zły pomysł.

Tyle że wcale nie wydaje się zły.

Wydaje się...

Nie potrafię dokończyć. Nie chcę.

Po prostu wiem, że nie chcę, by to się skończyło. Jeszcze nie.

Proszę, jeszcze nie.

– Panno Crist.

On też tego nie chce. Zdradza mi to pomruk dobywający się z głębi jego ciała.

– Panie Richards?

Nie jestem pewna, czy ten szept to pytanie, czy błaganie. Może i to, i to. Rozkoszuję się tym, jak jego rozporek napręża się pod moimi wargami. Jest taki wielki, taki gorący, a ja jestem taka... Zdumiona? Oto klęczę przed mężczyzną, choć nigdy jeszcze nie czułam się tak silna. Nigdy nawet nie myślałam, żeby zrobić komuś coś takiego. Nigdy o tym nie marzyłam.

– Kurwa.

Jego syk jest jak szorstka pieszczota na każdym centymetrze mojego ciała, w każdym zakamarku mojej kobiecości. Podrywam biodra, powodowana czystym instynktem, pragnąc ukoić ból w moim wnętrzu. Nie. To nie jest wyłącznie ból. To instynkt, nagi i prymitywny, owijający każdą komórkę mojego ciała energią, którą buzuję, odkąd po raz pierwszy poczułam na sobie jego wzrok.

To niewiarygodne. Nie do zniesienia.

A teraz – nie do uniknięcia.

On również to wie. Czuję to w gwałtownych spazmach jego mięśni. W coraz większym wysiłku, z jakim oddycha. W energii, która wibruje pomiędzy nami z taką siłą, że mogłabym przysiąc, iż powietrze wokół nas niemal się jarzy. Dzięki niej.

Zaraz... Ono naprawdę się jarzy!

Rozpala się wręcz, gdy Reece przesuwa eleganckimi długimi palcami przed moimi oczami i wplata je w moje włosy. Dlaczego jego paznokcie wyglądają jak świetliki?

– Oczy. Tutaj.

Egzekwuje rozkaz, zaciskając palce na moich włosach – najpierw prawa ręka, potem lewa – i zmuszając mnie, bym patrzyła przed siebie.

Znów pochłania mnie jego krocze. Ta pulsująca wypukłość. Magnetyczny żar.

– Panno Crist? – Nie jest to pełne pytanie, ale wystarcza, by sprowokować mnie do odpowiedzi.

– Panie Richards?

– Naprawdę tego chcesz?

Oblizuję wargi.

– Tak. O, tak.

– Taka szybka... – mruczy. – Taka chętna. A nawet nie wiesz, co chciałbym z tobą zrobić.

Ośmielam się podnieść wzrok.

Jego twarz, ściągnięta pożądaniem, stanie się centrum moich wspomnień na długi czas.

– Powiesz mi? – Celowo przygryzam dolną wargę. – Jeśli ładnie poproszę?

Zaciska szczęki tak mocno, że pod zarostem zaczyna pulsować mięsień. Lekko szarpie mnie za włosy.

– Velvet, to, co się tutaj stanie, nie będzie ładne.

Cholera. Jasna.

Tak po prostu otwiera we mnie coś nowego. Budzi do życia istotę godną jego elektryzującej erotycznej mocy. Kobietę, w której niemal nie rozpoznaję samej siebie – lecz którą witam z radością.

– No to przestań już gadać i po prostu mi pokaż.

ROZDZIAŁ TRZECI

REECE

Czy mógłbym sobie wymodlić, by powiedziała coś lepszego?
Czy mógłbym bardziej się bać, że powie coś gorszego?

Pokaż mi.

Nie ma pojęcia, o co prosi. Kurwa, sam nie mam pojęcia, choć chyba potrafiłbym zgadnąć. Ten etap, kiedy miewałem po cztery kobiety w miesiącu, stanowi już odległe wspomnienie, ale mój kutas nie zapomniał, czego potrzebuje playboy. Doprowadzona do doskonałości sztuka walenia konia również nauczyła mnie paru rzeczy, na przykład tego, że moja sperma świeci teraz jak odpad nuklearny, gdy wiruje w odpływie prysznic.

Chryste.

Jak mogę tu stać i dopuszczać do siebie myśl, że narażę to wspaniałe stworzenie na takie niebezpieczeństwo?

Ja nie myślę. A na pewno nie o niej. Bo znów chodzi mi tylko o siebie samego. Widać niektóre przysłowia są prawdziwe. Czym skorupka...

– Nie.

W moim mózgu brzmi to jak okrzyk, a na moich ustach jak szept. Rozdziera mnie konflikt. Ale kobieta u moich stóp interpretuje ten odgłos inaczej. Potwierdzają to jej uniesione na mnie oczy: wielkie, rozmarzone i pożądliwe. Jestem pieprzonym wrakiem, a ona podnieconym króliczkiem, który myśli, że próbuję zachować się szlachetnie. Nie wiem, czy się śmiać, czy wkurzać. Ale ona pozbawia mnie obu tych opcji, gdy sięga do mojego rozporoka.

W pośpiechu odpina guzik, a mój kutas od razu wykorzystuje dodatkową przestrzeń. Gdy do mojego krocza napływa kolejna fala krwi, w gardle wzbiera chrapliwy jęk, który zamienia się w warkot, gdy ona przesuwa palcami po szwie spodni.

– Kurwa.

Welwetowy królik? Co ja sobie myślałem, do cholery? To uwodzicielka, a te wielkie niebieskie oczy to brama, która kusi. Jej miękkość i światło wzywają mnie, bym się poddał, skapitulował, uległ.

Już dobrze, zdaje się szeptać. Wszystko będzie dobrze. Tak dobrze. Będzie nawet lepiej, gdy znajdziesz się we mnie.

Nie.

Tak.

Nie.

Powiew wiatru uderza w szyby za moimi plecami. Fala pożądania napęnia mojego kutasa, zamieniając każdy ruch w torturę, a jej ciepły oddech w nieznośną prowokację. W geście bezwładnej kapitulacji wypuszcza papiery z dłoni. Rozsypują się po podłodze, tworząc schludny biały dywan dla naszych brudnych rozpustnych uczynków.

Muszę położyć kres temu zepsuciu. Muszę odprawić tę boginię.

Tyle że nie mogę. Nie mogę.

Jej pożądanie jest jak nowy narkotyk. Jej uległość gwarantuje, że pozostanę przy zdrowych zmysłach.

Chwytam się jej, kurczowo. Jeszcze zbliżam do siebie jej twarz.

Rozchyła wargi, a potem muska nimi twardniejącą wypukłość. W jej gestach nie ma ani krzty wahania. Żadnego drżenia w jej niskim, spragnionym jęku.

Jest darem. Moim darem.

I dlatego muszę to przerwać.

Dlatego nie mogę.

– Rozepnij – nakazuję jej z niskim pomrukiem.

Nie pozwolę, by posunęła się za daleko. Pozwolę jej tylko posmakować. Powstrzymam ją, zanim cokolwiek połknie. Pozwolę jej polizać, aż pojawi się pierwsza kropla, a potem odsunę się i...

– Wow!

Jej szczeremu pomrukowi towarzyszy oszołomione spojrzenie, gdy obejmuje mnie dłonią przez slipy. To niemal najlepsze, co widziałem w tym stuleciu. Niemal, ponieważ ten zaszczytny tytuł zdobywa to, co daje mi w następnej chwili. Ze słodkim westchnieniem pochyla się, by znów musnąć mnie wargami. By mną odetchnąć.

– Panie Richards?

Jestem wdzięczny losowi za to ciche pytanie. Dzięki niemu muszę się skupić. Wycisnąć z mojego mózgu jakieś słowa.

– Tak, panno Crist?

– Jest pan mokry.

O ja pierdolę!

Co się nie wydarzy, nawet jeśli powstrzymywanie się mnie zabije?

To byłoby prawdziwa ironia losu: babiarz zamieniony w potwora, który rzuca się na drobnych złodziejasków i opryszków w nadziei, że przypadkiem zarobi przy tym kulkę, zostaje zabity przez własnego niesforenego kutasa.

Uwaga, ludzie! Oto prawdziwa sprawiedliwość.

Na razie jednak żyję. A to oznacza, że mogę formułować słowa. Pamiętasz o tym, debilu? Wyrzuć z siebie jakieś słowa. No, dalej!

– A pani?

Mruży powieki. Ciężej oddycha. Przez niewiarygodny ułamek sekundy widzę, co ma pod bluzką – ciemnoróżowy stanik pod satyną w tym samym odcieniu. Zastanawiam się, czy jej sutki mają podobną barwę. Czy stwardniały już pod wpływem moich rozkazów? Czy zamieniły się w małe jagódki otoczone nabrzmiałymi aureolami?

– Czy ja...?

– Mokra – powarkuję. Może jeśli będę mówił jak potwór, uwierzy, że nim jestem. – Czy pani też jest mokra, panno Crist?

Przebiega po niej dreszcz. Przygotowuję się na widok odrazy w jej oczach, ale odpowiada mi tylko krystalicznie błękitna ciekawość.

– Ja... Chyba tak.

– I to panią dziwi?

Marszczy brwi.

– No chyba tak.

I tak po prostu mojego kutasa przesywa kolejna błyskawica. Co jest, do cholery? Jedyne, co zrobiła, to dotknęła mnie przez bieliznę.

I to wystarczyło. Kurwa, nawet bardziej niż wystarczyło. Jestem taki cholernie twardy, że aż boli.

– Powinna pani sprawdzić.

Jej oczy ogromnieją.

– Powinnam co?

– Sprawdzić. – Kiwam głową, akcentując rozkaz. – Słyszałaś mnie. Zrób to, Emmalino. Podciągnij spódnicę do pasa, opuść majtki do kolan i wsadź palec w swoją cipkę. A potem powiedz mi, czy jesteś mokra.

Na jej twarzy po raz pierwszy maluje się niepewność. Może nawet strach. Czyżby w końcu to do niej dotarło? Uświadomiła sobie, że nie jestem samotnym Heathcliffem w wysokiej wieży? Że Neeta, Wade i Fershan mają rację, że się mnie boją? Że ona też powinna się mnie bać?

Znów spoglądam jej w twarz, ale nie dostrzegam niczego takiego. Chyba po prostu waha się, czy wykonać mój rozkaz. Boi się szukać rozkoszy na moich oczach.

Pozostaję nieugięty. *Posłucha* mnie.

– Czy ty chcesz, żebym...?

– ...dotknęła się? – Masuję jej czaszkę. – Tak.

– A ty będziesz patrzeć?

– W każdej pieprzonej sekundzie.

Wykrzywia wargi.

– Powiedział Wielki Zły Wilk do Czerwonego Kapturka?

Zanoszę się ochrypłym śmiechem.

– Co, mam wielkie oczy?

– Masz piękne oczy.

Mój śmiech cichnie. Ten zachwyt w jej głosie. Kurwa.

Ogarnia mnie niemal takie samo oszołomienie. Gorączkowo zastanawiam się, skąd, do cholery, wzięła się ta niezwykła istota? I dlaczego ma to teraz jakiegokolwiek znaczenie? Teraz, kiedy zależy mi tylko na tym, by słuchała moich rozkazów.

– Grasz na zwłokę, króliczku. – Rozsuwam palce w jej włosach. – Zrób to teraz. Palec w cipce. Obserwowanie cię sprawi mnóstwo przyjemności mojemu kutasowi. Sprawisz, że stanę się cholernie sztywny.

Ta brudna gadka działa na nią jak przełącznik. Emma zdobywa się nawet na figlarny uśmiech, podciągając spódnicę do pasa. Uśmiech znika jednak, gdy jej majtki zaczynają się zsuwać w przeciwnym kierunku. Zerka na mnie z ukosa, chyba żeby się upewnić, że mówiłem poważnie. Po czym przesuwam rękę niżej.

Zmieniając siedemdziesiąte piętro w niebo.

To niebo to jej gardłowy okrzyk czystego podniecenia. To delikatne opuszczenie głowy na moje palce. Jej piznowy zapach w powietrzu.

Podniecenie, o którym musi mi opowiedzieć.

Doświadczam nieba dzięki niej.

Nawet jeśli tylko przez chwilę.

– Mów.

Koncentruję się na słowach, co pozwala mi zachować kontrolę. Przynajmniej w tych aspektach, w których ma to znaczenie. Koncentruję się na składni, na bólu, który sprawia mi wypychanie sylab spomiędzy zaciśniętych zębów, co udaje mi się z trudem. Obserwowanie jej pobudzenia podnieca mnie jeszcze bardziej.

Kurwa, to niemal nie do zniesienia.

– Mia... Miałaś rację.

Jej głos, uderzający do głowy jak whisky, wpływa na mnie jak alkohol. Przynosi ze sobą torturę i wytchnienie, rozkosz i ból, których pragnę i którym się opieram.

– W jakiej sprawie? – Szarpię ją za włosy, zmuszając, by na mnie spojrzała. –

Powiedz to, Emmalino.

Przełyka ślinę. Kurwa mać, jest taka cudowna!

– Jestem... mokra – jąka się. – Tak cholernie mokra!

– Grzeczna dziewczynka.

Moja pochwała sprawia, że jej skóra oblewa się rumieńcem, usta się otwierają, z trudem chwyta powietrze.

Kurwa mać. To moje dzieło. Swoboda, z jaką na mnie patrzy, z jaką mi oferuje samą siebie... Jest jak przecinak na kłódce w moim wnętrzu, na łańcuchu, który ciąży mi już od tak dawna, że nawet go nie zauważam. A raczej nie zauważałem. Do chwili, kiedy się uwolniłem, wydając jej kolejny rozkaz.

– Pokaż mi.

Znów zbiłem ją z tropu.

– Pokazać ci?

– Pokaż mi, jaka jesteś mokra. – Wskazuję głową na jej palce, którymi wciąż masuje się pomiędzy kremowymi udami. Nagle czuję przypływ inspiracji. Zsuwam slipy na tyle, by uwolnić jaja i członek. Jeśli może tylko skosztować, zamierzam dopilnować, by było jej cholernie dobrze. – Zanurz palec w swoim podnieceniu, a potem rozsmaruj je na mnie. Tutaj.

Patrzę, jak bez wahania wykonuje polecenie.

Jej dotyk jest pełen fascynacji i zachwytu. Gdy rozciera swoje soki na mojej skórze, nie śpieszy się. Muska większe żyły, które pulsują, jakby zaraz miały eksplodować. Jestem jak urzeczony. Jej włosy tworzą błyszczącą aureolę w moich palcach. Jej wzrok wielbi mojego kutasa. Jej wargi tworzą idealne kółko, gdy sięga nimi po czubek kutasa jak dziewczynka przystępująca do komunii.

Boże drogi, jak bardzo pragnę jej udzielić!

Ona mnie jednak uprzedza: bierze mnie w usta, otacza mnie nimi, pokazując moim zmysłom cały cholerny wszechświat jednym muśnięciem żaru, ciepła i wilgoci. Wciąga mnie głębiej, zaciska wargi i powiększa ten kosmos, który wypełnia się echem moich bezrozumnych jęków.

Bezrozumny. To mówi wszystko.

Moje myśli znikają. Logika, czy cokolwiek posiadałem w jej miejscu, znika. Zostaje tylko pożądanie, ból i pragnienie. Każdy elektron w moim ciele pędzi do szczytów moich ud, do mojego kutasa i perfekcji jej ust.

W mojej głowie rozbrzmiewa jęk znamionujący konflikt, a ja przez chwilę zastanawiam się dlaczego.

Nie możesz tego zrobić.

Możesz ją zabić. To może ją zabić. To nie ona powinna umrzeć.

To ja. Ja powinienem.

Już umieram; brak mi tchu z wysiłku, gdy próbuję nad sobą zapanować. Zanim jednak mogę to zrobić, na moim członku pojawia się kropla płynu. Z trudem unoszę powieki, widzę, jak zaciska się na niej jej gardło i modłę się do Boga, żeby nie okazało się, że uszkodziłem ją na całe życie.

Jej oczy ogromnieją.

W szoku zatacza się do tyłu.

Kurwa. Twoja. Mać.

Rzuca się na mojego kutasa jak dzieciak, który po raz pierwszy widzi cukierek. Potwierdza, że sobie tego nie wyobraziłem, podnosząc na mnie błękitne, błyszczące, pełne podniecenia oczy. Po czym wraca do pracy, jakbym był tabliczką pieprzonej czekolady.

– O kur...

Tylko tyle jestem w stanie z siebie wykrztusić, gdy wciąga mnie tak głęboko, że moje jaja zderzają się z jej podbródkiem. Nie jestem wielki jak słoń, ale mój kutas jest zbudowany tak jak cały ja: długość zamiast szerokości. Co oznacza, że choć poznałem w życiu wiele kobiet w biblijnym znaczeniu tego słowa, głęboka laska pozostaje dla mnie rzadkim i niewiarygodnym darem.

I jeszcze nigdy – nigdy! – nie było mi tak dobrze.

Nie. „Dobrze” to złe słowo.

To jest jak transformacja. Jak przepustka do innego wymiaru.

Moja krew zamienia się w powódź światła. Tracę kontakt z rzeczywistością. Moje zmysły płoną. Zaciskam dłonie w jej włosach w pięści i ponaglam ją. Pieprzę ją głębiej, rozkoszując się słodką uległością jej długich chrapliwych jęków.

Nie mogę przestać.

Nie myślę.

Mogę tylko sycić jej głód. Zaspokajać pożądanie. Napierać, pchać, pieprzyć i pragnąć.

Pragnąć.

Pragnienie ściska mi jaja. Płuca kurczą się z braku powietrza. Mózg zamienia się w grzankę.

Ona staje się moim wszechświatem.

Przelewam w nią życie.

To najlepszy orgazm, jakiego doświadczyłem. Najstraszliwsza agonია, jaką czułem.

Zabijam ją. Zabijam.

– Kurwa!

Kończę w niej z okrzykiem bezradności, czując mieszaninę ekstazy i skruchy. Kto by pomyślał, że kiedyś splotą się we mnie te dwie emocje? Żar skwierczy w moim kutasie i przelewa się w nią. Ona odpowiada na każdą kroplę spragnionym jękiem, chwytając mnie za biodra, gdy próbuję się odsunąć. Zachowuje się jak opętana, a mnie rozdziera pragnienie powstrzymania jej.

Ostatni posiłek w jej życiu to usta pełne mojej spermy, a ona niemal dziękuje mi za to doświadczenie!

Nigdy nie wyczołgam się z otchłani piekła po śmierci...

...która może nadejść szybciej, niż mi się wydaje, bo dziewczyna wciąż ssie mojego kutasa. Jakby nie miała zamiaru przestać, dopóki nie poczuje w takim samym stopniu mojej krwi, co nasienia.

W końcu uwalnia mnie z ostrym sykiem.

Uginają się pod mną kolana.

Upadam na podłogę obok niej, wciąż trzymając ją za włosy. I bardzo dobrze, bo dzięki temu mogę ją zmusić, by na mnie spojrzała. By dostrzegła spóźnione przeprosiny w moich oczach.

– Przepraszam. – Całuję ją rozpaczliwie, nienawidząc się za to, że mój kutas tężeje, gdy wyczuwam swój smak na jej wargach. W moim gardle wzbiera gniewny warkot. – Tak strasznie mi przykro...

Marszczy czoło.

– Dlaczego?

Szukam właściwych słów.

Bo tak dobrze ssąłeś mojego kutasa, że zapomniałem, jak się nazywam. A właśnie, zapomniałem też uprzedzić cię, że banda szalonych naukowców zamieniła moją krew w elektryczność rok temu, co oznacza, że właśnie zrobiłem z ciebie...

Co?

Co ja z niej, do cholery, zrobiłem?

Nie potrafię odpowiedzieć.

Tak samo brakuje mi słów, by opisać to, co zaczyna się dziać z kobietą w moich ramionach. Dopiero teraz uświadamiam sobie, że żywiłem pewne mroczne obawy, co może się stać, gdyby doszło do czegoś podobnego. Ale rzeczywistość przed moimi oczami nawet się do nich nie umywa. W oczach Emmy płonie dziki ogień, jej usta mają odcień rubinu, zmysłowy rumieniec na jej policzkach nijak nie przywodzi na myśl przerażenia kobiety w ostatnich chwilach jej życia.

– Emmalino – mamroczę, znów ją całując. – Emmo – poprawiam się, ośmielając się pogłaskać jej policzek. Orgazm minął, a moje świecące opuszki wróciły do normalności. – Co mogę zrobić? Jak mogę...?

Przerywa mi jej wysoki okrzyk. Jej ciało drży spazmatycznie, osuwa się na mnie. Klękam, pozwalając, by zwiotczała w moich ramionach.

Wsuwa dłoń pod moją koszulę, parząc mój brzuch. Gdy tylko jej obnażony tyłeczek ląduje na moim kutasie, zamienia się w obłok zmysłowych dreszczy. Nic nie rozumiem. Czy naprawdę tak wyglądają przedśmiertelne drgawki?

– Co możesz zrobić? – Wybuchła śmiechem, budząc mój niepokój. Zwłaszcza że zaczyna coraz mocniej wciskać pośladki w mojego kutasa. – Chyba dość już zrobiłeś?

Opieram czoło na jej czole.

– Kurwa. Jestem taki...

– ...dumny ze swojego dzieła? – Otacza moje plecy ramionami i wbija paznokcie w moje ramiona. Jej oczy ogromnieją, źrenice zmieniają się w wyspy na turkusowym morzu. – Cóż, to mnie nie dziwi.

Mrużę oczy.

– Ja...

– Chcesz to usłyszeć, panie Richards? Dobra. – Z trudem przełyka ślinę. – Nigdy nie myślałam, że może tak być. Nie sądziłam, że mogę coś takiego poczuć. Zadowolony?

Chyba powinienem być? Gdybym tylko rozumiał, o czym ona mówi, do cholery!

Olśnienie spływa na mnie jak fizyczny cios, gdy już mogę odepchnąć od siebie poczucie winy na dość długo, by na nią spojrzeć.

Naprawdę spojrzeć.

Krew, dziko pulsująca na jej szyi. Płytki oddech kobiety podnieconej. Subtelne ruchy jej bioder. I mgiełka potu na wnętrzach jej ud.

O kurwa.

Moja sperma wcale jej nie zabija!

Ona ją rozpała. W szalony sposób. Od środka.

– Och, ależ ty jesteś z siebie dumny! – Wyrzuca z siebie słowa z ekstatycznym uśmiechem, który jednak znika, gdy przechodzą ją kolejne dreszcze.

Zamiast odpowiedzieć, uśmiecham się znacząco. I czuję się z tym cholernie dobrze.

– Dumny? – mówię, przeciągając głoski. Tak, żartuję sobie. Bo mogę. Bo przepełnia mnie teraz radość, a nie mogę tańczyć na suficie. Wolę patrzeć na jej

rozkosz z pierwszego rzędu. – Panno Crist, chyba nie wiem, o czym pani mówi.

– Już ci wierzę! – wypala ze śmiechem, ale wtedy niewidzialne pożądanie przeszywa ją ponownie. Aż musi wyżej unieść biodra. – Och! – Wbija paznokcie w moją skórę.

Wydaję z siebie mroczny warkot, z radością witając ból.

– Mów! – rozkazuję. – Niczego nie ukrywaj, Velvet. – Bo właśnie zamieniłaś moje piekło w absolutnie niebo.

Chcę to wszystko usłyszeć.

Odpowiada przeciągłym okrzykiem, który współgra z kolejnym spazmem.

– Niżej... – wykrztusza w końcu. – T-to spływa niżej.

– Ku twojej cipce? – Gdy kiwa głową, powtarzam władczo: – Mów, Emmo.

– T-tak. K-ku mojej cipce. Takie gorące. Takie intensywne. W-wibrujące.

– Tak.

Wsuwam dłoń pod jej zadartą spódnicę i przyciskam palce do jej brzucha, wyczuwając ruch, o którym mówi. Jej skóra jest rozpalona, mrowi. Jej ciało jest ożywione, dygocze.

– Tam – potwierdza, znów wyginając się ku mnie. – A teraz tam... I tak. O kurwa. To takie...

– Słowa, Emmo.

Potrzebuję ich. Muszę znać każdy cholerny szczegół. Jestem jaskiniowcem, który właśnie odkrył ogień i teraz potrzebuje wskazówek, jak zrobić pochodnię.

Jej głowa podskakuje na moim ramieniu.

– N-nie mogę. Tylko... czuję. Tak wiele. Tak w-w-w...

– W takim razie mi pokażesz. – Przesuwam dłoń niżej i rozkładam jej nogi, by zobaczyć jej najgrzeszniejszy owoc. – O tak. Właśnie tak.

Jej oddech staje się coraz cięższy, koralowo-różowe płatki pomiędzy jej udami wyglądają jak róża podczas burzy. Drżą, gdy błyskawica dociera do ich sedna. Nigdy nie doświadczyłem niczego równie wspaniałego. Który facet ma szansę obserwować każdy moment kobiecego orgazmu z takiej perspektywy? Skurcze jej pośladków. Błyszczące od wilgoci wargi sromowe, które zaciskają się wokół ciasnej ciemnej szparki. Słodką opuchlizną łechtaczki, która płonie jak rozgrzany węgielek.

Pochylam się, kładę dłoń w zagłębieniu pomiędzy jej biodrem a udem i rozkładam ją nieco bardziej. Widzę każdą migoczącą kroplę kremu, który wyciska ze swojego rozdygotanego wnętrza, zmieszanego z mleczkiem, które właśnie spiła z mojego kutasa.

– O kurwa – charczę.

A ona krzyczy.

Obserwuję ją jak urzeczony, gdy rozpada się w moich ramionach – raz po raz, raz po raz.

Raz po raz.

Za każdym, razem gdy moje płyny docierają do jej wnętrza i łechtaczki, przepelnia ją nowa ekstaza, unosząc ją na fali nieopisanej rozkoszy. Za każdym razem ja docieram na nowy szczyt z tą niewiarygodną istotą w moich ramionach. Nie pojmuję, jakim cudem to wszystko nie zniszczyło jej zaufania i namiętności, ale jestem za to nieskończenie wdzięczny. Ona właśnie osiąga piętnasty orgazm, lecz mimo to ja ją pieprzę, ja celebрую największą wygraną tej nocy. Trzymam w ramionach piękną kobietę i patrzę, jak przeze mnie traci rozum. Jestem oszołomiony, w stanie nieważkości, nieskończony. Nie ośmielałem się nawet marzyć o tym, że kiedyś znów to poczuję. To nirwana, którą spisałem na straty już dawno temu.

Nie jest to jednak dobra pora na ponure rozmyślania.

Teraz czas na uderzenie pioruna, który nazywa się Emmalina Crist, i na to, by dowiedzieć się jak najwięcej o sprawieniu tej dziewczynie przyjemności. Po tym, czego właśnie doświadczyłem, nie jestem pewien, jak powtórzyć ten cud, ale chętnie zbadam wszystkie możliwości.

Chwileczkę. Chętnie? Nie. Chętnie to można spróbować nowego jedzenia albo poszukać nowego sposobu zarobkowania dla hotelu. Ja nie czuję chęci.

To obsesja.

Podążam szlakiem wytyczonym przez jej zaspokojone westchnienia i szybko dowiaduję się, że lubi, jak zataczam pieszczotliwe kółka na jej ramieniu. Jej jęk pogłębia się, gdy drugą dłonią zaczynam przeczesywać jej błyszczące blond włosy.

Po kilku minutach przepelnionych miękkimi westchnieniami mamrocze w końcu:

– Mmm. To takie miłe.

Pochyliłam się i całuję ją w czoło.

To takie miłe, i tak właściwe, że robię to znowu. A potem zaczynam się zastanawiać. Czy to naprawdę właściwe? Nigdy nie byłem fanem przytulania się po stosunku. Zawsze łatwiej było mi sprostać infamii ksywek nadanych mi przez prasę; służyły mi za wygodny czerwony dywan, który zwijałem, zanim wyprosiłem kolejną partnerkę do łóżka za drzwi.

Tymczasem teraz dywan wciąż leży na podłodze. Wymówki znikły. Zostały dosłownie unicestwione, choć nie mocą światła, które płonie w moich żyłach.

Zamieniła je w pył kobieta w moich ramionach. Jej niewymuszona pasja, oszałamiająca szczerość.

To, co nas połączyło, jest tak zdumiewające, że określenie tego „chemią” byłoby cholerną obrazą.

Ona wydaje się dla mnie właściwa.

Więcej niż właściwa.

Wydaje się cholernie wspaniała.

Mowy nie ma, żebym pozwolił jej zbliżyć się do drzwi!

I dlatego z determinacją wypuszczam powietrze z płuc, i odpowiadam jej czymś, co brzmi jak ckliwe pogaduchy do poduchy, choć po raz pierwszy w życiu mówię szczerze:

– To dopiero początek, króliczku.

Unosi gwałtownie powieki, a jej rozkoszne wargi rozciągają się w uśmiechu.

– Teraz wiem na pewno, że to sen.

Marszczę brwi.

– Dlaczego?

– Potężny, tajemniczy Reece Richards właśnie nazwał mnie króliczkiem. Po tyłu orgazmach, że straciłam rachubę.

Unoszę kąciki ust w uśmiechu.

– Czyli to przyjemny sen?

Wymierza mi cios dłonią w mostek i znów wzdycha.

Ten dźwięk. Jeśli Ginewra i Kleopatra wzdychały w ten sposób, nic dziwnego, że Lancelot i Marek Antoniusz dobrowolnie zmarnowali sobie życie.

– Hm. Jeśli musisz wiedzieć...

– Tak. – Całuję ją w czoło. – Muszę.

– Był bardzo przyjemny. – Zwija się w ciaśniejszy kłębek. Jest rozleniwiona i cudowna. – Nie chcę się budzić.

– No to tego nie rób.

– Nie ma takiej opcji. – Marszczy brwi. – To znaczy, z całym szacunkiem, panie... Hm...

Roześmiałbym się, gdyby jej niepewność nie była tak cholernie wyczuwalna.

– Może po prostu mówi mi Reece?

Znów mruga. I ponownie. Najwyraźniej zastanawia się, czy to właśnie teraz powinna obudzić się ze swojego snu. Jej donkiszotowski uśmiech powraca, gdy pochylam głowę i opadam na jej usta leniwym pocałunkiem. Cholera. Wciąż jak namiętność i jedwabista kobiecość. Pragnę posmakować jej głębiej, więc to robię.

Gdy delikatny, powolny taniec naszych języków w końcu ustaje,

uświadamiam sobie, że twarz mam napiętą z konsternacji. Mam prawie trzydzieści lat, a dopiero teraz doświadczam najlepszego pocałunku w moim życiu. Faktycznie, światowy ze mnie chłopak.

– Hej. – Jej łagodne ponaglenie wyrywa mnie z zamyślenia. – Wszystko w porządku?

Wykrzywiam sarkastycznie wargi.

– Czy to aby nie moja kwestia?

Odpowiada mi takim samym grymasem, tyle że jest przy tym o wiele bardziej urocza. Jej wargi w kolorze różowego szampana łagodnieją, gdy znów zacznym przeczesać palcami jej włosy. Są niewiarygodne, przypominają jedwab i błyszczą nawet bez wsparcia moich dziwacznych paznokci. Mógłbym ich dotykać przez całą noc.

Jej senny pomruk mówi, że być może będę mieć okazję.

– Reece?

Mruczę z aprobatą. To podoba mi się o wiele bardziej niż „pan Richards”.

– Hm?

– Musisz przerwać.

– Ale co? – pytam żartobliwie.

– To. – Marszczy brwi, bez przekonania próbując odsunąć moją rękę. – Muszę wstać. Muszę wracać.

– Dokąd?

– Do pracy. – Jej głos drży, gdy ponownie próbuje zdobyć się na senny protest. – Do ludzi z pracy. Będą...

– Poradzą sobie – przerywam jej delikatnie. – Poradzą sobie bez ciebie przez jakiś czas, Emmalino.

– Ale...

– Powiedziałem, że sobie poradzą. – Próbuję ją przekonać, mówiąc do jej idealnie gładkiego czoła, które znów obsypuję pocałunkami. Nie potrafię oderwać od niej ust i nie chcę nawet próbować. – Zajmę się tym, welwetowy króliczku.

Jej ciałem wstrząsa dreszcz, jakby śmiała się bezgłośnie.

– Welwetowy króliczek – szepcze.

Jej twarz przytula się do mojej piersi.

Milczę, gdy jej oddech się wydłuża, a jej ciało osuwa się powoli w leniwy sen. Dopiero wtedy unoszę ją z podłogi i przenoszę do sypialni, powtarzając w myślach wypowiedziane przez nią słowo, które pobudza moją pamięć. Powraca do mnie kolejny fragment mojej ulubionej książki z dzieciństwa.

I przesywa mi serce.

„Gdy raz staniesz się prawdziwy, nie możesz już wrócić do bycia zwykłą zabawką. Prawdziwym zostaje się na zawsze”.

Na zawsze.

Słowa odbijają się we mnie echem tak głęboko, że muszę rozetrzeć pierś, gdy kładę Emmę pod kołdrą.

Na zawsze.

Kurwa. Doszukuję się zbyt dużych dawek symbolizmu w tym gównie. Przecież to tylko głupie wspomnienie słów z dzieciństwa, które nigdy wiele dla mnie nie znaczyły. I nie powinny znaczyć w moim świecie, w którym wszystko dostawałem od razu. Po tym, jak trafiłem w łapy Angelique i Konsorcjum, zacząłem przykładać do nich jeszcze mniejszą wagę. „Na zawsze” stało się ideą, której nie potrafiłem i nie mogłem zaakceptować.

Potwory nie mogą oczekiwać, że będą mieć cokolwiek na zawsze.

A w potworze, którym naprawdę jestem, nie zmieniło się nic.

To oznacza, że tylko ta chwila może być moim zawsze. Spokój blasku księżycy. Głębia północy. Horyzont pełen gwiazd i miejski pejzaż emanujący ciszą. Nic z tego jednak nie dorównuje pięknem kobiecie u mego boku, którą ukołysała do snu nasza namiętność.

To ona pochłania całą moją uwagę, gdy kładę się obok niej i wodzę czubkami palców po jej obojczyku i ramieniu. Przechodzi ją dreszcz.

Odwraca ku mnie twarz.

– Śpij, króliczku – szepczę. – Będę nad tobą czuwać, kochanie.

Dopóki na zawsze mi na to pozwoli.

ROZDZIAŁ CZWARTY

EMMA

Niektóre sny są po prostu lepsze niż inne. Ale ten jest jak cholerny Big Mac wszystkich snów. Z ekstraserem i sekretnym sosem.

Jest tak cholernie dobry, że wiele szczegółów wynurza się z sennej mgły razem ze mną. Przysięgam, że nadal czuję zapach Reece'a Richardsa na skórze, piżmowy i pikantny. Czuję resztki ciepła jego orgazmu na podniebieniu. I wszędzie indziej.

Wszędzie.

Przetaczam się na bok, ocierając pościelą cipkę, i jęczę w poduszkę, gdy wrażliwe tkanki budzą się do życia.

Jakbym zeszej nocy naprawdę przeżyła orgazm ponad dwa tuziny razy dzięki temu człowiekowi.

Tymczasem on nie robił nic, tylko patrzył.

To niemożliwe.

Ale wspaniale się o tym myśli.

Wsuwam dłoń pod kołdrę i zanurzam palce w majtkach. Świat za moimi zamkniętymi powiekami jest oślepiająco jasny, co oznacza, że mam jeszcze czas na przelotną fantazję, zanim będę musiała wstać do pracy. I tym razem będę całkiem przytomna.

Taaak.

Przetaczam się na plecy, skopuję z siebie kołdrę i pozwalam, by moją skórę otuliło ciepło pokoju. Pośpiesznie pozbywam się też majtek, rozkoszując się miękkością prześcieradła i poduszek. Prawdziwą miękkością.

Ten nowy płyn do płukania to była dobra decyzja. Moja bawełniana pościel z przeceny nagle zamienia się w egipskie cudo utkane z tysiąca nici, a ja czuję się w niej jak jakaś cholerna Nefretete.

Przed oczami mojej wyobraźni staje mój faraon.

Ma srebrzyste elektryzujące oczy. Śmiałe uderzające rysy. Dumne umięśnione ciało. Och, to ciało! Moje spojrzenie spoczywa na jego wyrzeźbionym torsie. Gdy przesuwam wzrok niżej, ku jego najlepszej części, mój oddech zaczyna się rwać.

Och.

To.

Jest wspaniały. Bezwstydy. Nie boi się pokazać mi, jak bardzo pragnie mnie

jego kutas. A ja nawet nie wstydzę się użyć słowa „kutas”.

Moja pochwa zaciska się, gdy zsuwam palce niżej, odnajdując najczulszą część lechtaczki. Gdy muskam wrażliwe zakończenia nerwów, przed oczami staje mi obraz jego członka, długiego, błyszczącego, wzwiedzionego...

Smakowitego.

O tak, to też.

Przeżywam od nowa każdą sekundę brania go w usta, jakby to nie był sen, a prawdziwe wspomnienie. On jęczy, zdumiony tym, jak głęboko mogę go przyjąć. Ja też jestem zdziwiona. Jakimś cudem jego sperma powstrzymuje odruch wymiotny. Jestem w stanie wessać go całego. Coraz głębiej i głębiej.

Rośnie we mnie. Coraz większy i większy.

Pieprzy mnie w usta. Coraz mocniej i mocniej.

Spomiędzy moich warg wyrywa się westchnienie. Rozkładam nogi. Wbijam pięty w materac i nacieram cipką na dłoń. Jęczę, pocierając się coraz szybciej. Naglona pragnieniem próbuję dotrzymać kroku temu, co sen robi z moją krwią, nerwami, rozumem.

Zaczynam wydawać z siebie spragnione jęki.

Miesza się z nimi jego wygłodniały pomruk. Taki piękny dźwięk! Wydaje się tak realny.

Zbyt realny.

Zmuszam się, by unieść powieki i każdy mięsień mojego ciała tężeje.

To nie jest wąska wnęka na łóżko w mojej kawalerce. Ten pokój jest dwa razy większy. Leżę na łóżku, na którym zmieściłaby się cała moja kuchnia, ustawionym na podwyższeniu, z widokiem na wszystko pomiędzy Brocade a Pacyfikiem. Złote słońce oblewa budynki, ulice i samochody, na horyzoncie migocze ocean.

Równie odległe i równie prawdziwe jest wspomnienie tego pokoju nocą. Widok rozciągający się z ramion Reece'a.

Reece.

Poprosił, żebym tak do niego mówiła.

A ja się zgodziłam.

Kręciło mi się w głowie, zupełnie tak jak teraz.

Nie chcę, by ten sen dobiegł końca.

Zwłaszcza że mężczyzna ze snu zdejmuje spodnie od dresu, jedyne, co miał na sobie, odsuwa je na bok, wchodzi na podwyższenie i opiera się kolanami o brzeg materaca. Gdyby nie to, że znów przeszywa mnie gwałtowny dreszcz podniecenia, zaczęłabym poważnie zastanawiać się nad koncepcją tego snu.

Ale cholera jasna!

– To nie sen – kończę tę myśl na głos, bo muszę to usłyszeć. – Ty jesteś prawdziwy.

– To nie sen. – Jego wzrok płonie. – Jestem prawdziwy. – Przesuwa dłoń na nasadę członka. Zaczyna pieścić go hipnotyzującym gestem, a jego ciało pręży się zdumiewającymi mięśniami. – Ty też jesteś. Dzięki Bogu.

Od razu zaczynam się poruszać. Resztki niepewności i wahania spopiela czar, który on na mnie rzucił. Czy powietrze się iskrzy? A jeśli tak, dlaczego nie jestem tym zaskoczona? To on i to jego dziwaczne, lecz piękne pole siłowe. Rozpala moją krew i elektryzuje cipkę w tej samej niewiarygodnej sekundzie.

Każdy centymetr mojego intymnego trójkątka domaga się jego uwagi. Wiję się, bezwstydną w pożądaniu. Moje uda płoną. Sutki sztywnieją i pulsują boleśnie.

Robi się jeszcze gorzej – i lepiej – gdy Reece klęka na łóżku i podczołguje się do mnie.

– Rozłóż nogi, Velvet.

Velvet.

O Boże. To również nie był sen.

Ulegam mu z westchnieniem poddania. Jestem całkowicie świadoma, gdy rozsuwa moje uda szerzej, napierając na nie kolanami. Szorstkie włosy porastające jego zdumiewająco umięśnione nogi wzbudzają we mnie pierwotne podniecenie.

Weź mnie. Proszę.

Nie przestaje pieścić członka. Góra – dół, góra – dół, góra – dół. Jego gesty są śmiałe i zdecydowane, współgrają z siłą jego spojrzenia na moim ciele.

– Jesteś tak cholernie piękna – warczy przez zaciśnięte zęby, gdy pochyła się nade mną, opierając się na drugiej ręce. – Wystarczy, że na ciebie spojrzę... Spójrz, co ze mną robisz.

Mój okrzyk miesza się z jego jękiem, gdy dłoń się zatrzymuje. Mięśnie jego ramienia się naprężają, gdy zaciska palce mocniej tuż pod fioletowym grzybkiem żołądki. W szparce pokazuje się perełka płynu, którą celuje prosto w moją łechtaczkę. Oboje obserwujemy, jak błyszczący koralik kołysze się lekko.

Prowokuje nas.

– Och! – dyszę. – Och.

Gdy unoszę głowę, natykam się na jego spojrzenie, którym przeszywa mnie jak sztyletem. Tracę pewność siebie, nie jestem pewna niczego. Czy ta kropla, oswobodzona z tego grzesznego miejsca w jego wnętrzu, będzie mieć na mnie

taki sam wpływ jak poprzedniej nocy? Czy przyniesie mi taką samą rozkosz z zewnątrz, jak od środka?

Z trudem zmuszam mózg do formułowania tych pytań. Ust nie potrafię.

Jego mózg i usta się nie wahają.

– Chcesz tego, Velvet?

Na dźwięk elektryzującej pieszczoty jego głosu przechodzi mnie dreszcz.

– T-tak.

Unosi w górę kącik dekadencckich ust.

– W takim razie musisz to powiedzieć.

Z trudem przełykam ślinę.

– J-ja tego ch-chcę.

– Powiedz wszystko. Powiedz, czego chcesz, Emmo. I gdzie tego chcesz.

Jęczę z frustracji.

On się uśmiecha.

– Proszę, Reece...

– Powiedz to.

– Ja... Ja chcę twojej spermy. Tutaj. W... W mojej cipce.

Ściska i kropla pada na moje rozdygotane wargi.

Wystrzeliwuję do gwiazd.

Orgazm uderza we mnie mocno i szybko. Moje oczy ogromnieją. W gardle wzbiera krzyk, który pochłania brutalny pocałunek Reece'a. Oddaję mu ten dźwięk z otwartym poddaniem, zbyt zszokowana i podniecona, by odeprzeć ten błyskawiczny palący atak. Jego język staje się centrum mojego wszechświata, tratwą ratunkową na oceanie niewyobrażalnej ekstazy.

Jęczy szorstko w odpowiedzi. Odgłos emanuje z jego wnętrza, gdy opuszcza na mnie kolejną kroplę, przez którą znów wybucham.

– Ach! – krzyczę, odrywając się od niego w poszukiwaniu powietrza i logiki, resztek rozumu. – Co się dzieje? – pytam błagalnie, unosząc wzrok do sufitu. – C-co t-ty ze mną wyprawiasz, do cholery?

Aniołki wyrzeźbione w rogach sztukaterii nie potrafią mi odpowiedzieć. Męczyzna pomiędzy moimi nogami potrafi na pewno. Jest ich całkowitym zaprzeczeniem – porusza się, pełen pasji i grzechu. Dzikie pomysły płoną żywym ogniem w głębinach jego skupionych oczu.

– Co ja wyprawiam z tobą? – powtarza, ujmując moją twarz w dłonie, by pocałować mnie głęboko, mocno. – Wszystko, co tylko mogę, panno Crist. Wszędzie, gdzie tylko mogę.

REECE

– Tak, panie Richards.

Nie wiem, co podnieca mnie bardziej: oficjalny ton, do którego automatycznie powraca, czy uległość, z jaką to czyni. Wszystko, co robi i mówi ta kobieta, sprawia, że mój kutas wypełnia się lawą. Napięcie rośnie, żar się wzmacnia jak w wulkanie, gotowym eksplodować.

Nie ma czasu. Jej uległość, otwartość, hojność i perfekcja to wszystko, na co czekałem.

Przesuwam biodra do przodu, jeszcze szerzej rozkładając jej nogi. Celuję obolałym kutasem w jej gotowe wejście, zamierzając wziąć cipkę jednym mocnym pchnięciem. Ale się powstrzymuję.

Kurwa. Dwanaście miesięcy obligatoryjnego celibatu i zdurniałem jak nastoletni prawniczek!

– Cholera. – Opuszczam głowę i nacieram delikatnie, ciężko oddychając.

Nasze czoła się stykają, więc od razu wyczuwam skonsternowane zmarszczenie brwi.

– C-co się stało?

Co ciekawe, jestem w stanie się roześmiać.

– Nie mam prezerwatyw.

Prycha. Wbijają we mnie surowe spojrzenie.

– Żartujesz?

– Chciałbym. – Unoszę głowę o kilka centymetrów, żeby nasycić wzrok jej uroczym grymasem. – A ty mi nie wierzysz.

– Uwierzyłbyś na moim miejscu?

Cholerna racja. Pewnie nie. Ale, cholera, chcę, żeby zmieniła zdanie! Teraz, tutaj. Chcę dać jej wszystkie powody, by mi zaufała. To znaczy, pragnę powiedzieć jej wszystko. Wszystko. Ten jeden raz, dla tej jednej kobiety, pragnę wyjść z cienia. Powierzyć jej wszystko.

Całą prawdę, od początku do końca, co się dokładnie wydarzyło w zeszłym roku.

W holu rozlega się głośny dzwonek.

Emma się wzdryga. Odsuwam się od niej i zeskakuję z łóżka.

– Co to? – W jej głosie pobrzmiwa niepokój.

Wbijam obie nogi w dresy i narzucam stary podkoszulek. Ona przyciska narzutę do piersi, zakrywając tę swoją oszłamiającą nagość.

– Zostań tutaj. – Przyklękam na łóżku, kładę dłoń na jej karku i wyciskam stanowczy pocałunek na jej wargach. – Jeszcze nie skończyliśmy.

Na pewno nie.

Zamykam za sobą drzwi sypialni i idę przez korytarz do holu z przyklejonym do twarzy profesjonalnym uśmiechem. To wystarczająca odpowiedź, przynajmniej na razie, na pytające spojrzenie pięknej kobiety, która wysiada z windy.

– Pani Jain. Dzień dobry. Jak mogę pomóc?

EMMA

– Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Wyrzucam z siebie to słowo jeszcze co najmniej dwadzieścia razy, zerkając przez szparę w drzwiach na Reece'a i Neetę. Ściągnęłam narzutę z łóżka przekonana, że Reece odbiera jakąś przesyłkę albo coś takiego. Teraz jednak gapię się na swoją szefową, która stoi ze swoim szefem mniej niż dziesięć metrów od miejsca, gdzie rzucałam się i krzyczałam zeszłej nocy jak gwiazda porno.

Podczas gdy on patrzył.

Tak. W końcu dotarło do mnie, że to nie był sen.

I nie, nie jestem tym faktem zachwycona.

Zwłaszcza że nie wiem, czy Reece miał czas i chęć zrobić cokolwiek w sprawie naszej nocy rozpusty.

Cholera, ależ to była noc!

Kryję twarz w dłoniach, a z moich ust wyrywa się niemal niesłyszalny jęk. Przeznaczenie często bywa sarkastyczne, ale to nie jest zabawne. Po latach uciekłam z Orange County, odzyskałam wolność, niezależność, znalazłam świetną robotę. A teraz zaryzykowałam tym wszystkim, bo poszłam do łóżka z moim fascynującym szefem.

Który, tak się składa, okazał się także najwspanialszym kochankiem na tej planecie.

Nie, nie zamierzam spróbować reszty, by się co do tego upewnić.

Ponownie koncentruję się na dyskusji w holu. Neeta mówi o mnie. I wydaje się nieco zdenerwowana.

Co, do cholery?

– ...nie mogę uwierzyć, że tak nagle źle się poczuła.

Na jej włosy pada światło słońca wlewające się do środka przez te same okna,

które kilka godzin temu kazały mi się zastanawiać, czy zobaczę stąd Chiny. Neeta ma na sobie ten sam kostium, który nosiła podczas nocnej zmiany, co uświadamia mi, że wcale nie jest tak późno, jak mi się wydaje. I oczywiście wygląda tak świeżo, jak w chwili, w której podbiłyśmy karty zegarowe. Nie jestem pewna, czy podziwiać ją za to, czy znienawidzić, zwłaszcza gdy wdzięcznie odrzuca na ramię hebanowe włosy. Gdyby tematem rozmowy nie było moje zdrowie, ten ruch poprzedziłby zapewne słodki i pełnym uwielbienia dla Reece'a uśmiech.

Nawet jej nie winię. Reece jest, jak określają to Wade i Fershan, „prawdziwym klikbajtem na laski”. Nie wiem, co to oznacza, ale zapewne coś w rodzaju „cholernie seksowny”. Więc fakt, że Neeta próbuje z nim flirtować, wcale mnie nie dziwi.

– Grypa żołądkowa atakuje znienacka – odpowiada Reece dyplomatycznie. – I dlatego nalegałem, by odwiózł ją do domu mój kierowca. Nie była w stanie sama prowadzić.

Neeta przechyla głowę.

– Tak panu powiedziała?

Gdy Reece przez chwilę zastanawia się nad odpowiedzią, kusi mnie, żeby znów wyrecytować moją ulubioną litanie przekleństw. Po facecie, który spędził więcej czasu w nocnych klubach niż salach konferencyjnych, można było się spodziewać, że potrafi lepiej blefować.

– Niedokładnie – mamrocze w końcu, próbując chyba dorównać swojej opinii wytrawnego kłamcy. – Nie była w nastroju do rozmów.

Neeta marszczy czoło.

– Och, rozumiem.

Zastanawiam się, czy naprawdę rozumie. Ale tej ciekawości również nie zaspokoję, ponieważ moja szefowa całkiem gubi wątek, gdy Reece krzyżuje ramiona na piersi, przyjmując postawę faraona. Ten gest, tak arogancki, że mógł się udać tylko jemu, sprawia, że jego koszulka opina się na umięśnionym torsie, a Neeta oblewa się rumieńcem i zaczyna jąkać. Nie dziwię się jej. Zareagowałabym tak samo, gdybym nie była tak pochłonięta pragnieniem rozwalenia mu łba.

– Cóż, w takim razie... – Poprawia lśniącą czerwoną torebkę na ramieniu. – Czy mogę zapytać, czy kontaktowała się z panem później by dać znać, że bezpiecznie dotarła do domu? Często się o nią martwię, bo upiera się przy jeżdżeniu metrem, ale jeśli odwiózł ją pański kierowca...

– Dzwonił, gdy ją dowiózł. Potwierdził, że dotarła bezpiecznie.

Z trudem przetykam ślinę. Zrelaksowany głos Reece'a zmienia ton. Jego

właściciel kłamie jak z nut i nie jest z tego zadowolony.

A ja znów mam ochotę przeklinać.

Zamiast tego opuszczam narzutę na podłogę i pędzę do łazienki w nadziei, że są tam moje...

Tak.

Moje ubrania wiszą na dwóch wieszakach na drzwiach łazienki. Wciskając się w spódnicę, obrzucam tęsknym spojrzeniem wystawny wystrój tego wnętrza: rzymska wanna z biczami wodnymi, prysznic tak duży, że mieści się tam siedzisko, mała toaletka z lustrem otoczonym lampkami. W pomieszczeniu obok znajduje się toaleta z elektronicznym bidetem.

Niewiele brakuje, bym opuściła spódnicę z powrotem na podłogę i uczciła tę łazienkę uprawianiem w niej seksu, ale za drzwiami ponownie rozlega się głos Reece'a. Nie jest zadowolony z okłamywania Neety – choć to on zaczął, pragnę dodać! – ale ja nie zamierzam siedzieć tu i przedłużać tej maskarady.

Kilkoma ruchami palców dopinam tyle guzików przy bluzce, żeby móc się stąd wydostać i nie zawstydzić całego świata. Efekt jest jeszcze lepszy, gdy wkładam żakiet, bo nie mam czasu na mocowanie się z bielizną. Zarówno stanik, jak i moje majtki Reece może sobie zatrzymać na pamiątkę naszej rozpusty.

Cholera.

Rozpusta.

Mowy nie ma, żebym kiedykolwiek znów usłyszała to słowo i nie przypomniła sobie tej bezcennej, idealnej, oszałamiającej nocy.

I mężczyzny, który podarował mi tę całą rozkosz.

Mężczyzny, przed którym muszę uciekać za wszelką cenę. Niezależnie od wszystkiego.

Potrzebuję tej pracy.

Potrzebuję. Tej. Pracy.

Nie tylko muszę ją utrzymać. Muszę się rozwijać. Awansować. Muszę pokazać matce, Lydii i wszystkim ludziom w klubie, że „mała Emma” potrafi osiągnąć sukces w wielkim, złym mieście. Że ich marzenia nie muszą koniecznie pokrywać się z moimi. Że nie dla wszystkich miarą sukcesu musi być dom gotów pomieścić trzydzieści osób, samochód gotów pomieścić dziesięć i paszport ze stemplami z Paryża, Mediolanu i Londynu.

Moje marzenia są większe.

O wiele większe.

Zaczynają się od tej pracy. I nie zawierają w sobie bzykania się w penthousie z szefem.

Muszę się stąd wydostać. Teraz. Zanim on skończy rozmawiać z Neetą. Gdy tylko moja szefowa wsiądzie do windy, on tu wróci i usmaży moją silną wolę w swoim magicznym polu siłowym.

Podkradam się do drzwi po drugiej stronie pokoju i sprawdzam, czy prowadzą na jakiś korytarz. Główna winda, którą wjechała na górę Neeta, to niejedyna droga wyjścia z apartamentu. Reece korzysta zazwyczaj z prywatnej windy na tyłach, która mieści się gdzieś po tej stronie wieży.

Uchylam drzwi i na palcach wychodzę na korytarz prowadzący do kuchni. Dobry znak. Winda z tyłu to również winda techniczna, więc bezpośredni dostęp z kuchni ma sens.

Podłoga jest wyłożona lakierowanym czarnym drewnem. Wyposażenie ze szkła i stali nierdzewnej przypomina statek kosmiczny: duże piekarniki, doskonale zaopatrzona lodówka na wina i przemysłowy ekspres do kawy niemal wywołują u mnie kolejny orgazm – okej, może i tęsknię za kilkoma udogodnieniami z tego „lepszego” okresu – ale mimo że napływa mi ślina do ust, nie mam czasu na nic więcej.

Muszę znaleźć tylną windę.

Dzyń, dzyń, dzyń.

Mały przedpokój okazuje się jej przedsionkiem. Przemierzam go na palcach i naciskam guzik.

– Proszę, proszę, proszę! – szepczę w nadziei, że winda jest tuż za drzwiami.

Jednak wczorajszej nocy Reece skorzystał z windy głównej, więc teraz muszę czekać, aż wagonik wyjedzie na górę.

Na szczęście dźwig jeździ szybko. Mniej korzystne jest to, że gdy wpadam do windy i naciskam na parter, ostatni dźwięk, jaki słyszę w penthousie, to baryton Reece’a, który nawołuje mnie po imieniu z sypialni. Jego głos niemal powala ściany pomiędzy nami, odbija się echem w moim brzuchu i sprawia, że obejmuję się ciasno ramionami.

Gdy drzwi się zasuwają, opieram się o ścianę, szukając ukojenia w ciszy, która mnie otacza.

Postępuję słusznie.

Postępuję słusznie.

Postępuję słusznie.

Boże, spraw, proszę, by ta mantra przekonała też resztki mojego rozumu!

Bo na razie mam wrażenie, że to wszystko jest cholernie bez sensu.

REECE

Bez sensu. To wszystko jest tak kurewsko bez sensu!

Nawet gdy uderzeniem mocy posyłam kolejnego beznadziejnego rabusia w otwarte ramiona policji, nie potrafię uciec przed bezwzględnyimi szponami własnych uczuć. Osiem udaremionych przestępstw w trzy dni i cholera, nadal nie ma we mnie niczego poza połówką burrito z fasolą i serem oraz pieprzoną toną bezrozumnego gniewu.

Furią, która tylko się pogłębia od momentu, kiedy stałem w kuchni penthouse'u i obserwowałem malejące cyfry na wyświetlaczu mojej prywatnej windy. Która nigdy nie wróciła na górę.

Zabawa w Dudleya Doskonałego tylko pogarsza nocami mój stan. Czuję się tak, jakbym miał w mózgu całe pole słupów elektroenergetycznych, które szumią coraz głośniej i głośniej, doprowadzając moją czaszkę do granic wytrzymałości krzykami cywilów, wyciem syren i wygłupami rzezimieszków.

– Super! – Gdy policjanci zgarniają ostatniego z nich z podłogi, ten zaczyna podskakiwać ze zwycięskim uśmiechem na ustach. – Poraził mnie sam Piorun, ludzie! Poraził mnie sam Piorun!

– Kurwa – mamroczę, wymierzając temu dupkowi podwójną dawkę. Tłum wokół wiwatuje. – Co jest, do cholery? – ryczę, nie wiedząc, czy to na jego, czy ich użytek.

Dlaczego oni wszyscy nie mogą się uspokoić i powrócić do swojego cholernego życia? Z drugiej strony, co mnie to wszystko, kurwa, obchodzi?

Moja konsternacja wzbudza jego konsternację.

– Co jest? – Wskazuje głową na mój skórzany strój, który jest mi niezbędny, choć na zewnątrz są trzydzieści dwa stopnie. – Daj spokój, człowieku. To naprawdę ty, no nie?

– To znaczy kto?

– Mówisz poważnie? – Mężczyzna prychnął. – Serio nie wiesz?

Sarka na niego glina, który zakłada mu kajdanki.

– Pewnie jest ostatnio zbyt zajęty, by oglądać wiadomości, dupku. Zajęty, no wiesz, pacyfikowaniem takich frajerów jak ty. – Uśmiecha się w moją stronę. – Niektórzy z nas są za to bardziej wdzięczni niż inni.

Odpowiadam na komplement gniewnym spojrzeniem. Wiem, że zachowuję się trochę jak dupiek, ale naprawdę nic z tego nie rozumiem.

– Jakie wiadomości?

– Masz teraz nową ksywę, stary – informuje mnie policjant.

Czuję zbliżającą się migrenę.

– Co mam?

– Ksywę. – Śmieje się. – Co? Piorun ci się nie podoba?

– Piorun? – Wypowiadam to słowo tak powoli, że wydłuża się niemal dwukrotnie.

Gdy podchodzą dwaj inni oficerowie, żeby odeskortować rabusia, mój gliniarz ma możliwość, by wzruszyć ramionami.

– To chyba lepsze niż „Superbohater w Obcisłej Skórze”, nie? Chyba że właśnie na wyglądzie ci zależy.

– Jasne. – Mój głos ocieka ironią.

– Tak myślałem.

Gliniarz podchodzi bliżej, jakby miał ochotę po prostu ze mną pogadać, ale zdradza go spojrzenie, które posyła swoim kumplom z zadowolonym z siebie uśmiechem.

Patrzcie na mnie. Gadam sobie z Piorunem.

Piorun.

Kurwa.

Jeśli chodzi o ksywy, ta nie jest taka najgorsza. W psich kategoriach byłbym pewnie Dobermanem albo Dogiem Niemieckim. Biorąc pod uwagę, że w tym tygodniu postanowiłem poprawić sobie humor, walcząc z opryszkami, mogłem się tego spodziewać.

Pies otrzymuje nową zabawkę. Psu naprawdę podoba się zabawka. Pies traci zabawkę. Pies próbuje sobie z tym poradzić, zalewając elektrycznością całe miasto.

Albo coś w tym rodzaju.

– Pewnie ten mundurek pomaga ci jakoś opanować tę całą moc, którą emanujesz. Coś w tym rodzaju?

– No.

A skoro mowa o radzeniu sobie...

Choć policja wciąż otacza kordonem bankowe lobby, błysk fleszy w zaciemnionych oknach podpowiada mi, że przebywam tutaj już zbyt długo. Gliniarz, „oficer A. Feliz”, jak głosi jego odznaka, to pewnie facet, z którym mógłbym chwilę pogadać, wypić piwo, pograć w rzutki. Dawny Reece na pewno zasugerowałby coś takiego. Cholera, nowemu Reece’owi też podoba się ten pomysł! Ale ci dwaj żyją w dwóch różnych wszechświatach. To część umowy, jaką zawarłem z karmą. Jest jak łóżko, które sobie pościeliłem i w którym muszę

teraz spać.

Mój największy problem z karmą mieści się właśnie na styku łóżek. W przenośni i dosłownie.

Jak tego, w którym poczułem, że żyję. Po raz pierwszy od roku. Dzięki bogini, która spała w moich ramionach. Jasnozłote włosy, kremowa jedwabista skóra, zaspokojone westchnienia. Została na noc. Na całą noc.

Pierwsza kobieta – pierwsza osoba w moim życiu – która podarowała mi coś o wiele cenniejszego niż wszystkie błyszczące drobiazgi, jakie znalazły się w moich rękach przez dwadzieścia dziewięć lat.

Dała mi nadzieję.

Walczyłem z tym tamtej nocy. Cholera, tak zaciekle walczyłem! Ale po wielu godzinach trzymania jej w objęciach, nurzania się w jej zapachu, oddychania nią, to uczucie się we mnie zakorzeniło. Okruch nadziei, malutki, który nakazał mi wierzyć, że może jednak karma okaże się litościwa i podaruje mi jedną jedyną osobę, która nie będzie truchleć, gdy znajdę się w tym samym pomieszczeniu. Że może, być może, nie będę musiał się bać, że każdy dzień reszty mojego życia upłynie mi jak dzisiejszy.

Obudzę się sam.

Unieszkodliwię paru złych koleśi. Ocalę parę tysięcy ludzi.

Położę się sam.

Przez kilka cudownych godzin wierzyłem, że może być inaczej. Trzymałem ten dar w ramionach. Rozkoszowałem się nim. Hołubiłem go. Zdołałem odepchnąć od siebie myśl, że ta ksywa, którą mi nadano, znamionuje o wiele większy idealizm, niż się ludziom wydaje.

Piorun.

A właściwie dlaczego nie, do cholery? Przecież tak właśnie szedłem przez życie przez długi czas. Dlaczego zatem nie mieliby mnie teraz tak nazywać?

Dlaczego nie mieliby mnie określać tym słowem, gdy pochylałem się nisko, otoczony wiwatami, które ledwie do mnie docierają, i rzucam się do biegu, znikając im wszystkim z oczu, a po kilku minutach również z myśli. Oni żyją dalej i czują się bezpiecznie, ponieważ mają superbohatera, o którym mogą zapomnieć równie szybko, jak o okładce tabloidów.

Znowu.

ROZDZIAŁ PIĄTY

EMMA

Poważnie? Ledwie mam czas prychnąć, gdy podchodzi do mnie postawny facet z kucykiem, kierowca nieskazitelnego mercedesa zaparkowanego przed moim budynkiem.

Posyła mi krzywy uśmiech.

– Mnie również miło cię widzieć.

Unoszę podbródek.

– Przecież się umawialiśmy, Z. Wczoraj mieliśmy skończyć z tym nonsensem.

Wzrusza ramionami.

– To żaden kłopot.

– Kłamiesz jak z nut.

Jego uśmiech staje się uroczy.

– Dobra. Masz rację. Możesz triumfować. Przecież masz ochotę.

Opieram się jego ormiańskiemu urokowi.

– Przysięgam na planetę, której imieniem zostałeś nazwany, i na szalonego boga, który ją stworzył...

– Ten bóg mało mnie obchodzi – odpowiada Zalkon. Tak samo jak planeta. Zanim biedny Z. przyszedł na świat, jego matka nałogowo oglądała *Star Trek*, całą ciężę przeleżawszy w łóżku. – Za to bóg, który nakazał mi codziennie wozić cię do pracy i z pracy tym... – Wymierza kciuk w samochód – ...on obchodzi mnie bardzo.

Mam ochotę sięgnąć po telefon i zadzwonić do owego boga. Mam przecież bezpośrednie połączenie z jego chmurą. Wszechpotężny, wszechwiedzący, nadopiekuńczy Zeus w penthousie dopilnował, żeby cyfry wryły mi się w pamięć, od trzech dni pisząc do mnie co godzina. Przeróżające? W normalnych okolicznościach tak. Ale czy pojawienie się Reece'a Richardsa w moim życiu w ogóle było normalne? Wszystko w tej sytuacji – w nim – jest jak grom przeznaczenia, który przeszył moją atmosferę i usmażył wszystkie moje obwody.

Wszystko, nawet jego esemesy.

Nawet teraz telefon wibruje w mojej dłoni, a fala żaru wzbiera w całej ręce, ramieniu i przelewa się na kręgosłup, ściskając moją pierś strumykami żaru, których nie potrafię zignorować, tak jak nie da się zignorować oddychania.

– Przepraszam – mamroczę, odwracając się do Z. plecami. – Muszę odebrać.

– Aha.

Ignoruję jego domyślne spojrzenie, przesuwając palcem po ekranie z entuzjazmem godnym bohaterki powieści Jane Austen, która otwiera sekretny list miłosny. Decyzja, żeby wynieść się jak najszybciej z łóżka tego mężczyzny, była moja – o czym nie pozwoliły mi zapomnieć hormony podczas samotnej jazdy windą na dół – mam zatem prawo pocieszyć się chociaż tym, że nadal siedzę mu w głowie. Nie żeby to miało trwać w nieskończoność. Nic w świecie Reece’a Richardsa nie trwa, nawet modelki i aktorki, które wydają ekwiwalent mojej miesięcznej pensji na jedną maseczkę. W zeszłym roku prasa nie wiedziała, co ze sobą począć, gdy spędził – o nie! – całe sześć miesięcy z jakąś blondyną z Francji, której nawet nie dorastam do pięt. Muszę być realistką. Jestem tylko przystankiem w drodze tego faceta do kolejnego trofeum.

Nie zamierzam jednak źle się czuć z tego powodu.

„Facet w wieży myśli o Tobie pomiędzy welwetowymi chmurami”.

O tak, dobry jest.

Zbyt dobry.

Przechyliłam głowę, zachwycona doborem słów. To poetyckie gówno to jego wersja pełnej otwartości. I dlatego dużo zdradza. Co on ukrywa? I dlaczego mój radar od razu melancholijnie to wyłapuje?

– Weź się w garść – mamroczę do siebie, odpisując.

„Witam, witam”.

Miasto spowija mgła od morza, dzięki czemu powietrze nie rozgrzało się jeszcze do typowo południowych temperatur. To oznacza, że siedemdziesiąt pięter wyżej istnieje zupełnie inny świat.

„Jak to paskudztwo wygląda z twojej wieży?”.

Rozważam dodanie mrugającego emotikona, ale się powstrzymuję. Reece zrozumie ironię i bez niego. To aluzja do naszej pierwszej rozmowy po tamtej nocy – to mój eufemizm na wszystko, co zaszło wtedy w penthousie – która zdecydowanie nie nadawałaby się do zacytowania w powieści Austen.

„EMMALINA...”.

„Jestem tutaj. Nie ma co krzyczeć”.

„No właśnie Cię tutaj nie ma. Gdzie, KURWA MAC, jesteś?”.

„Musiałam iść. Ty też to wiesz, nawet jeśli nie chcesz tego przyznać”.

„Nakazałem Ci zostać w łóżku”.

„To nigdy nie było miejsce dla mnie”.

„CO JEST, DO CHOLERY?”.

„Przestań krzyczeć” .
„To jeszcze nie koniec” .
„Było wspaniale, Reece. Lepiej niż wspaniale. Ale Ty to Ty, a ja to ja” .
„Co to znaczy?” .
„Mieszkasz w wieży” .
„Nieistotne” .
„Masz prywatną windę” .
„Nieistotne” .
„Wypłacasz mi pensję!” .
„Dla której ryzykujesz życiem!” .
„Słucham?” .
„Nie będziesz już jeździć do pracy metrem, Emmo” .
„SŁUCHAM?” .
„I kto tu krzyczy?” .
„Nie masz prawa się rządzić poza wieżą, Richards” .
„Jeszcze zobaczymy, Crist” .

I oto znalazłam się w sytuacji, w której on znów postawi na swoim. Zalkon – który opiera się o tylny zderzak samochodu i czeka, bym wsiadła do środka – będzie miał przekichane, jeśli się nie zgodzę. Nie powieszą go na haku ani nic takiego, ale jeśli zniknę, Reece na pewno go zwolni. A jutro podjedzie pod moje mieszkanie nowy kierowca, który nie będzie nawet w połowie tak fajny. Poza tym Z. dostaje za to zlecenie dodatkową kasę od Reece’a, by sprawić córce niespodziankę i zabrać ją na urodziny do Disneylandu.

Kiwam głową, żeby otworzył mi drzwi, robię, co mogę, żeby prychnąć, zamiast się uśmiechnąć, gdy Pan na Wysokościach odpowiada wreszcie na moje pytanie:

„Z mojej perspektywy to wcale nie jest paskudztwo” .

Oddycham nieco lżej. Żadnych melancholijnych nut; pewnie je sobie wyobraziłam.

Co ciekawe, w mojej głowie rozbrzmiewają słowa matki. „Och, Emmo. Ty i ta twoja wybujała wyobraźnia!” .

Moje rozmyślenia dają Reece’owi czas na skomponowanie nowej wiadomości.

„Tak się składa, że z góry miasto wygląda jak gigantyczny pikowany materac” .

Te słowa sprawiają, że mnie skręca. Niezauważalnie, ale wystarczająco, by mój mózg przypomniał sobie, co dzieje się z moim ciałem, gdy łączy się w nim

idea Reece'a Richardsa z koncepcją łóżka. Zwłaszcza takiego wśród chmur.

„Brakuje na nim tylko ślicznego króliczka z oczami o barwie nieba”.

Przestaję się wiercić i wzdycham. Ech, ten facet i jego umiejętność przechodzenia do sedna! Zwłaszcza tego pomiędzy moimi nogami.

Ale jest inna kwestia. Ta, do której wracam raz po raz.

„Jestem przekonana, że różne zwierzątka tylko czekają, żeby wskoczyć ci do łóżka”.

Wyświetlacz reaguje natychmiast. Serce podchodzi mi do gardła, ale próbuję z tym walczyć, wsiadając do samochodu.

„Niedawno odkryłem w sobie szczególne upodobanie do króliczków”.

Cóż, to załatwia sprawę.

Bicie serca czuję wręcz na języku, który wystawiam, żeby nerwowo oblizać wargi. Próbuję znaleźć ripostę dostatecznie skromną, ale konkretną, zabawną, choć stanowczą. Niech to szlag, gdzie się podziewa moja wewnętrzna Emma, gdy jej potrzebuję? Nie ja, ta druga. Ta, na której cześć nadała mi imię matka. Ta, którą grała Gwyneth Paltrow, pełna smukłego wdzięku i elegancka w kwiecistych sukniach.

„Muszę jechać do pracy”.

W tym cholernym esemesie na pewno jej nie ma. Nawet nie kręci się w pobliżu.

Może to i dobrze?

Może powinnam nieco bardziej doceniać tę drugą Emmę? Emmę, która sprytnie pokazuje kostkę, by usidlić wicehrabiego. Emmę, która pragnie znacznie więcej niż wicehrabiego, nawet jeśli to on może zaoferować jej chmury jak poduszki.

I transport do pracy wśród klimatyzacji i skórzanych siedzeń.

„Ja również nie mogę się już Ciebie tutaj doczekać”.

Wysyła takie teksty!

Nie mogę się oprzeć pokusie, muszę z niego zażartować. Chociaż trochę.

„Żebyś zadbała o pomnażanie majątku Richardsów?”.

„Żebyś zadbała o moje zdrowie psychiczne. Gdy wiem, że jesteś bezpieczna, jestem spokojny”.

Okej. I takie teksty też.

To one, niech je szlag!, wywołują takie zamieszanie w moich myślach jak samochody na ulicach, pomiędzy którymi lawiruje Z., żeby wjechać na sto dziesiątkę do centrum.

Czy to możliwe, że tamta noc nie była dla Reece'a wyłącznie szybkim

numerkiem? Czy to możliwe, by Reece Richards poczuł tę samą elektryzującą więź co ja? Czy to możliwe, że nie jestem dla niego tylko tymczasową zabawką? A jeśli nawet, czy ja tego chcę? Przeprowadziłam się, by udowodnić, że dam sobie radę sama, że potrafię mierzyć się z przerażającymi nowymi rzeczami i nie pozwolić się im przytłoczyć.

Ironia roku!

„Przerażające nowe rzeczy”. Trudno o lepszą definicję tego, czego doświadczyłam z Reece’em Richardsem trzy noce temu. Tego, czego doświadczam codziennie, nawet z daleka od jego wieży.

Co sprawia, że wracam do tego samego denerwującego pytania.

Czy naprawdę chcę się dowiedzieć, jeśli on odwzajemni moje uczucia?

Może być tylko jedna odpowiedź.

Nie.

Bo choć nowa Emma jest nieustraszona, ta stara wciąż obawia się, że odpowiedź brzmi „nie”.

A jeszcze bardziej boi się, że będzie brzmieć „tak”.

REECE

Przerywam pisanie. Moje palce nieruchomieją nad klawiaturą.

Moje usta rozciągają się w uśmiechu.

Jest tutaj.

Wiem, że to dziwne, ale nie zamierzam z tym walczyć. W budynku pełnym ludzi potrafię ją wyczuć. Ładunek w każdym jonie. Przeskok w każdym strumieniu prądu. Świadomość, która przenika całe to miejsce. Każdy centymetr mnie. Każdą kroplę mojej krwi. Każdy elektron moich nerwów. Każdy por skóry.

Każdy milimetr mojego kutasa.

Cholera, jeszcze nigdy nie reagowałem tak na nikogo. Tylko na nią. Tylko na Emmalinę. Dzięki niej przekroczyłem granicę i nie mogę się doczekać, aż zaangażuję się w pełni. To ona od trzech dni sprawia, że znów budzę się z uśmiechem na ustach. Zacząłem nawet opuszczać rytuał codziennej modlitwy nad poranną kawą. Modlitwy o dzień, który w końcu przyniesie mi śmierć.

No tak.

Znów muszę się z nią zobaczyć. Mam już dość unikania pewnych spraw, jak przemoczony kot, który próbuje nie wejść w kałużę. Dość pozwalania, by ona siedziała na drugim brzegu tej kałuży równie przerażona.

Przerażona.

Mam cholernie dość faktu, że to słowo jest częścią mojego codziennego słownika.

Pieprzyć strach!

Powtarzam to w głowie, gdy wysiadam z windy w Brocade na drugim piętrze i kieruję się do sali konferencyjnej dla personelu. Powtarzam sobie w rytm własnych kroków, gdy idę korytarzem, próbując utwierdzić się w przekonaniu, że robię dobrze, wykonując krok, którego cholernie dawno nie zrobiłem dla żadnej kobiety.

Spotykam ją w połowie drogi.

Oczywiście ona jeszcze o tym nie wie – nikt w sali konferencyjnej nie wie – co, jak uświadamiam sobie natychmiast, jest całkiem niezłe. Przez pełną minutę po przekroczeniu progu stoję w milczeniu, przyglądając się grupie ludzi.

Niewidzialność się przydaje.

Na razie.

Obserwuję ich, nabuzowanych i pełnych energii, przekonanych, że ta dodatkowa elektryczność w powietrzu to ich zasługa. A co jest najlepsze? Widzę Emmę w takim samym stanie nieuwagi. Stoi plecami do mnie, z jedną dłonią opartą na stole. Jej włosy tworzą biało-złotą chmurę dzięki jakiejś spince. Jednak z upięcia wysuwa się dostatecznie dużo kuszących pasm, bym mógł wyobrazić sobie, że uwalniam je wszystkie, jedno po drugim, wdzierając się w nią raz po raz, pieprząc ją ze zwierzęcą intensywnością...

Nagle unosi brodę, jakby siła mojego spojrzenia rozpałała jej myśli. Kto twierdzi, że to niemożliwe? Wpatruję się jak zahipnotyzowany w jej długą szyję, na której widać uroczy pieprzyk, zanim odwraca głowę.

Jej świat rozpada się od razu.

A ja tonę w bezkresnym błękanie jej oczu.

Dwie sekundy rajy i powrót do rzeczywistości.

Pieprzony łajdak!

Reszta kadry kierowniczej – niektórych nazwisk nawet nie kojarzę i po raz pierwszy w życiu nie wydaje mi się to fajne – staje się pobudzona i nerwowa. Ludzie odruchowo wymieniają spojrzenia. Ja nadal udaję spokój i obojętność, choć mam świadomość, że jestem dla nich podwójnie niewygodny.

Ponury szef, który nigdy nie wychodzi ze swojej wieży, i dziwadło, które budzi osobliwe wibracje w powietrzu.

– Pan Richards! – Neeta Jain przepycha się przez tłum, przelewając swoje zdenerwowanie w szybkie kroki. – Co za miła...

Przerywam jej uniesieniem dłoni.

– „Miła” to nie jest pierwsze słowo, jakie może przyjść teraz komukolwiek do głowy, panno Jain. – Rozglądam się po sali znacząco. – Ale może to się zmieni. Przynajmniej po części.

– Słucham?

Pytająco unoszę brew.

– Czy to cotygodniowa odprawa kadry kierowniczej, która niedawno zmieniła termin? Mój kalendarz powiadomił mnie o zmianie.

Neeta Jain mierzy wzrokiem telefon, który podniosłem w górę.

– Och. Oczywiście. Tak, oczywiście. Ponieważ jest pan dyrektorem generalnym.

– Oczywiście. – Mój przytyk jest wyraźnie słyszalny. Kilka osób zaczyna chichotać, ale Neeta uśmiecha się z takim samym przymusem jak zwykle. – Proszę się odprężyć – nakazuję jej w końcu. – Zamierzam tylko siedzieć i przysłuchiwać się, jeśli można.

Na niemal wszystkich twarzach miejsce rozbawienia zajmuje radosne zdumienie. Od głosu wstrzymują się tylko Neeta i Emma. Neeta jest nadal nieco skonsternowana, a moja wspaniała welwetowa dziewczyna wygląda, jakby owinęła się papierem ściernym. Ze wszystkich zgromadzonych na sali osób to ona spodziewała się mnie najmniej. I najszybciej mnie przejrzała.

Oba te spostrzeżenia sprawiają, że mój znaczący uśmiezek jeszcze się pogłębia. Podoba mi się, że zbiłem ją z tropu i że potrafi mnie przejrzeć do pewnego stopnia. Bo nikt na świecie nigdy nie dowie się o mnie wszystkiego.

Tak po prostu jest.

– Boże. – Szept Neety jest pełen ciepła. – Oczywiście, doceniamy ten gest, panie Richards. W normalnych okolicznościach nie byłby to problem...

– Czy dziś nie jest normalny dzień? – pytam.

– Proszę zdefiniować słowo „normalny”.

Tę uwagę wtrącają równocześnie Wade i Fershan. Neeta posyła obu spojrzenie, którym miażdży ich za to, że ośmielili się powiedzieć coś takiego w obecności syna właściciela. Ale jednocześnie wybucha ostrożnym śmiechem.

– Zazwyczaj wszystko tutaj jest anormalne, panie Richards. Dzisiaj jednak, dzięki naszemu niezwykłemu przyjacielowi Piorunowi, ten stan się nieco pogłębił.

– „Niecóż” to niedopowiedzenie. – Emma posyła mi lekceważące spojrzenie, po czym powraca do listy pokojów, obok której leży grafik sprzątaczek i plany pięter.

Co ciekawe, pomijam milczeniem ten drobny afront. Może nawet jestem jej za niego wdzięczny, bo odciągnie moją uwagę od tej dyskusji. Muszę się skupić na nowych wiadomościach od Neety, a potem zmienić nieco wygodną wymówkę, dlaczego tutaj zszedłem. Dobrze, że mam pewne doświadczenie w działaniu w stresujących sytuacjach. Nawet jeśli ćwiczylem je głównie, podsłuchując, jak supermodelki dzielą się swoimi planami co do mojego kutasa, gdy przechadzaliśmy się wszyscy po czerwonym dywanie, a nie gdy jedna z moich pracownic nazywa moje alter ego „niezwykłym przyjacielem”.

Zaciśnij zęby, nakazuję sobie. Opanuj ten rozbiegany wzrok. Udawaj, że obchodzi cię to, o czym rozmawiają wszyscy.

Na szczęście nie muszę udawać.

– Piorunowi? – Nadaję głosowi pytającą intonację i przechylam z zaciekawieniem głowę. – Mówi pani o człowieku czy o detergencie?

Sala wybucha śmiechem. I to szczerym. Nikt nawet nie podejrzewa, jakież to wspaniałe dar zachęca mnie do uśmiechnięcia się do siedzących wokół stołu.

Mój uśmiech budzi kolejny przypływ niepokoju. Czuję wahanie tych ludzi, jakby ktoś w mgnieniu oka przełączył jakiś guzik. Tylko czy mogę się im dziwić, jeśli wcześniej wyrzuciłem z siebie trochę niewidzialnych amperów?

– Piorun to człowiek – wyjaśnia Neeta, wykrzywiając twarz w grymasie. – A przynajmniej tak mi się wydaje.

– No na pewno nie jest to mydło – wtrąca pod nosem Wade.

Drobna ruda dziewczyna obok niego przygryza dolną wargę.

– Na pewno nie.

– To niezły gość – deklaruje ktoś jeszcze.

– Bóg – wzdycha rudzielec.

– Nie będę się kłócić – mamrocze Neeta.

– Pan Richards oczekuje poważnej odpowiedzi. – Fershan mierzy wszystkich złym spojrzeniem.

– Ja mówiłem poważnie – odpowiada gniewnie rudzielec.

Neeta uspokaja obecnych gestem, po czym zwraca się do mnie.

– Nazywają go superbohaterem.

Są takie chwile, kiedy mężczyzna powinien być uprzejmy, i takie, w których uprzejmość może się pieprzyć. Czy robić na co tam ma ochotę.

– Słucham?

– To o wiele trafniejsze określenie – wtrąca Fershan.

– Jasne. I o wiele poważniejsze niż „bóg” – mruczy ruda.

– To wszystko nie ma teraz znaczenia.

Emma marszczy czoło i okręca się na pięcie, a ja automatycznie przybieram maskę uprzejmości. Moje opanowanie to fasada, ale też jedyny logiczny wybór. Nie ma mowy, żebym pokazał całemu personelowi, jak twardnieję przez ten jej pokaz złości.

Cholera, ależ ona jest olśniewająca! Jak udało mi się trzymać od niej z daleka przez trzy dni?

W duchu wysyłam karmie ostrzeżenie: tego wieczoru, niezależnie od wszystkiego, ta przyprawiająca o atak serca kobieta ze snów znów będzie moja.

Nie odrywając od niej wzroku, kiwam powoli głową.

– Tak, pamiętam, że mówiono coś o nim w wiadomościach parę dni temu. Jakiś motocyklista? Znika, gdy policja pojawia się na miejscu przestępstwa?

– On nie znika – poprawia mnie Wade. – Po prostu porusza się piorunem i tak to wygląda. Rozumie pan?

Przytakuję uniesieniem brwi, na co rudzielec – plakietka głosi, że nazywa się Scarlett Firenze – postanawia połączyć siły z Fershanem.

– Znika piorunem! Siup! – wołają jednocześnie.

O kurwa.

Emma na chwilę przestaje marszczyć brwi i zaczyna się śmiać ze wszystkimi. O kurwa, część druga. Wisienka na torcie? Gdy jednak odwraca się do mnie z wyjaśnieniem resztki śmiechu na jej twarzy zmieniają się w oszałamiający błysk w jej oczach.

– Abstrahując od kwestii moralności, Piorun przynosi miastu korzyści na sposoby, których zapewne nie planował. Zwłaszcza centrum miast, gdzie ostatnio przeżywał najwięcej przygód.

Kusi mnie, żeby się roześmiać, lecz zamiast tego unoszę brew.

– Przygód?

Jej śmiech brzmi jak dzwoneczki.

– Perypetii? Eskapad? Śmiałych aktów oszałamiającej odwagi?

– Mogłaby pani tak przez cały dzień, prawda?

– Owszem. – Kolejny wybuch jej śmiechu napełnia salę ciepłem. – Prawdopodobnie. – Znów się śmieje, a mój układ nerwowy rozbłyskuje białym światłem. – Ale mamy ważniejsze sprawy. – Wskazuje głową na listę pokojów. – Przez niego liczba rezerwacji na tę noc wzrosła z trzydziestu pięciu do dziewięćdziesięciu pięciu procent. Mamy nadzieję, że przed północą wszystkie miejsca będą zajęte.

– O kurwa – mówię głośno i sam wybucham śmiechem.

Tego faktycznie nie przewidziałem.

Wade podchodzi bliżej.

– Koleś biega jak oparzony po całym mieście od paru dni. Robi wszystko: od udaremniania napadów na bank po zdejmowanie kociaków z drzew stąd do Ojai i z powrotem. Zaczął się pojawiać w wiadomościach krajowych i ma już pierwszych fanów ze świata.

Wykrzywiam twarz w grymasie.

– Fanów? To znaczy?

Fershan bierze do ręki telefon. Na ekranie jestem oczywiście ja. Nieostry, fakt. Zamaskowany, fakt. Ale nagłówek w tych mediach społecznościowych – wszystkie wyglądają niepokojąco tak samo – głosi, że to: *Wasz przyjaciel Piorun, przez niego wibratory wychodzą z użytku.*

Wytrzeszczam oczy, gdy dostrzegam, ile osób śledzi ten wątek.

– O w mordę...

– Chyba raczej: o w kieszeń. – Wade uśmiecha się znacząco. – Bo cała masa tego... – Wbija palec w telefon Fershana. – ...oznacza całą masę tam. – Unosi ten sam palec i obejmuje gestem niemal pustą wieżę hotelową ponad naszymi głowami.

– Wycieczka – wyjaśnia Neeta, zdejmując żakiet. Dopiero teraz zauważam, że nie ma pod nim tej samej oficjalnej bluzki co zawsze. Zamiast niej włożyła koszulkę polo z logiem Richards Resorts wyhaftowanym nad prawą piersią. – Wyjechała po południu z Santa Barbara z planem zwiedzania Anaheim, ale zamiast tego skręciła tutaj.

– O tak. – Wade unosi pięść w zwycięskim geście. – Piorun w skórze to teraz większa atrakcja niż najsłynniejsza na świecie mysz!

– W każdym razie... – Emma zdejmuje cienki sweterek, pod którym skrywa się taka sama koszulka polo. – Trzeba wziąć pod uwagę, że wobec dużej rezerwacji w ostatniej chwili ekipa sprzątająca może nie poradzić sobie z przygotowaniem pokoi. Zatem narada kierownictwa zostaje zastąpiona dyżurem przy odkurzaczu.

Uśmiecha się zwycięsko, wygłaszając tę nowinę.

Milczę, pozwalając jej myśleć przez chwilę, że skończyła ze mną na ten dzień. Ale tylko przez chwilę.

Zdejmuję marynarkę i podwijam rękawy.

– Świetnie. Na którym piętrze jestem najbardziej potrzebny?

Tak jak się spodziewałem, w sali zapada głucha cisza. Milknie nie tylko Emma, wszystkim opadają szczęki. Poruszam barkami, odwzajemniając się im zdecydowanym spojrzeniem. To wspaniałe uczucie wstrząsnąć ludźmi z dobrych

pobudek, a nie dlatego, że właśnie usunąłem im sprzed oczu rabusia albo zdjąłem z drzewa ich kota. To naprawdę dobre uczucie. Cholernie dobre.

– Proszę pana. – Neeta rozkłada ręce. – To bardzo miłe z pańskiej strony, ale...

– Ale co? Brakuje wam personelu, tak? Pozwólcie zatem sobie pomóc.

Wszyscy poza Emmą, która nie przestaje przeszywać mnie tymi swoimi elektryzująco błękitnymi oczami, wymieniają spłoszone spojrzenia. Neeta podchodzi do mnie z otwartymi ramionami niczym treser do dzikiego lwa.

– Zamierzaliśmy dobrać się dwójkami...

– A jest was trzynaścioro. – Uśmiecham się triumfalnie.

Kiedyś ta mina gwarantowała, że dostanę wszystko, czego chcę, od biletów na dawno wyprzedany koncert po gorzałę z najwyższej półki. Teraz tylko zamienia cierpliwy uśmiech kobiety w wymuszony grymas.

– Doprawdy, panie Richards. To nie będzie konieczne.

– Och, na litość... – Emma okręca się na pięcie. – Ja mogę z nim pracować – mamrocze jak dzieciak, który musi wybrać do drużyny łączącego za nią wszędzie młodszego brata.

– To baaardzo wspaniałomyślne z pani strony – wtrącam, przeciągając głoski i kłaniając się nisko.

– Emmo. – Ton Neety jest ostry. Jej wargi ledwie się poruszają. – Nie musisz...

– Ona będzie ze mną pracować.

Nikt nie oprotestowuje mojego pomruku. I tak nie ma na to czasu.

Personel bierze się do roboty, szybko rozdziela pomiędzy siebie pokoje. Przez cały ten czas Emma posyła mi gniewne spojrzenia. Odwzajemniam je spojrzeniem zen godnym mistrza jujitsu, bawiąc się przy tym jeszcze lepiej, niż gdy zaskoczyłem wszystkich w sali swoim niespodziewanym przybyciem.

I po raz kolejny powtarzam sobie, że tego wieczoru postawię na swoim.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

EMMA

Niech to szlag. Na co najmniej dwudziestu różnych poziomach. Ileż to razy przez ostatnie trzy dni postanawiałam, że nigdy nie znajdę się w dokładnie takiej sytuacji z tym właśnie człowiekiem?

Okej, no może nie w dokładnie takiej. W scenariuszach, które odpychałam od siebie bardziej zdecydowanie niż miętowe lody z czekoladą przed okresem, nie miałam ścierki do kurzu w jednej ręce i przenośnego odkurzacza w drugiej. Nie przygniatał nas też gigantycznych rozmiarów wózek obsługi hotelowej w małej służbowej windzie.

A Reece nie wyglądał nawet w połowie tak dobrze, jak teraz.

Kurka wodna, powinno istnieć prawo zakazujące mężczyznom wyglądać jeszcze seksowniej, gdy są pokryci kurzem, podenerwowani i spoceni po zmianie pościeli, szorowaniu pryszniców i uzupełnianiu zapasów kawy w pokojach!

Reece ma podwinięte rękawy, ciemny zarost na szczęce. Pasma gęstych włosów opadają na jego okulary. Wygląda jak przybrudzona reklama Rolexa.

Ooo. To jest pomysł.

Z drugiej strony jestem niemal pewna, że jako pierwsza na całej planecie widzę go w takim stanie. I nie jestem przekonana, czy chcę dzielić się tym przywilejem z kimś jeszcze. To wyjątkowe. Intymne. Jak inicjacja. Kilka razy w ostatniej godzinie przyłapałam go na przeglądaniu się w lustrach i oknach, jakby nie rozpoznawał samego siebie. Kiedy po raz ostatni urabiał sobie ręce po łokcie dla kogoś innego niż on sam? Chociaż w zasadzie wciąż robi to dla siebie. W taki czy inny sposób dzisiejszy sukces Brocade wróci do niego.

Ale miło widzieć, że faktycznie to rozumie.

– Podręczny zestaw do szycia za twoje myśli.

Ze śmiechem otrząsam się z zamyślenia, przyjmując prezent.

Objął ramionami wózek, podkreślając tym gestem szerokość swoich barków i zarys mięśni. Dobry Boże, mam ochotę pochylić się i musnąć te naprężone włókna językiem!

I czym byś się wtedy różniła od Lydii i jej przyjaciółek z klubu? No czym? Jak udowodniłabyś tym, że w życiu może chodzić o coś więcej niż mężczyzna, duży dom i najładniejszy trawnik w dzielnicy? No jak?

– Czy powinienem dorzucić też czekoladkę?

Uśmiecham się krzywo.

– Właśnie na to czekałam.

Sięgam po nią, gdy rozlega się sygnał i winda otwiera się na kolejnym piętrze.

Reece z prędkością światła wyrywa mi jednak czekoladkę z dłoni i błyskawicznie wyprowadza wózek na korytarz. Przez chwilę stoję z otwartą buzią, zastanawiając się, co to za sztuczka.

Przecież wybrzmiało zaledwie parę nut z nowej piosenki Eda Sheerana...

– Jak do cholery... – Szukam słów, które nie zabrzmiałyby jak urojenia wariatki.

Nie żeby mnie słuchał.

Pędzę za nim korytarzem, koncentrując się na dotrzymaniu mu kroku.

– Podskakuj energiczniej, króliczku!

Porusza się z gracją, nawet pchając masywny wózek. Aż zasycha mi w gardle. Śledzenie jego eskapad po całym świecie na stronach kolorowych magazynów to jedno, ale obserwowanie na własne oczy siły potrzebnej do przeżywania przygód, takich jak kolarstwo w Dolomitach, kajaki w Kostaryce czy nurkowanie w Tulum, to jednak co innego.

– Mamy mało czasu – dodaje, wymachując mi przed nosem kluczem do kolejnego pokoju.

Tyle że nie jest to zwykły pokój.

Wchodzimy do pierwszego apartamentu, który nam przypadł, jednego z największych w hotelu. Z okien rozciąga się niemal tak wspaniały widok jak z penthouse'u, co mnie nie dziwi, wzięwszy pod uwagę, że jesteśmy zaledwie dwa piętra niżej. Wydaję cichy okrzyk, gdy odsuwam zasłony i nieruchomieję na chwilę, po prostu się gapiąc.

Miasto wygląda jak migoczący dywan światła w mroku. Samochody tworzą na tym gobelinie poruszające się nitki, mieniające się bursztynem, szmaragdem i kobaltem. W oddali wieże Century City wyglądają jak ozdobione diamentami obeliski.

– Wow! – mrużę, nie mogąc się powstrzymać. A w duchu gratuluję sobie, że tym razem nie dodałam nic o Chinach.

– Ty tak na poważnie, prawda?

Znów wydaję cichy okrzyk, lecz tym razem dlatego, że mężczyzna, który właśnie usuwał puste butelki z baru po drugiej stronie pokoju, teraz stoi tuż obok mnie. Główna część apartamentu jest podłączona do hotelowych głośników, więc tu także rozbrzmiewa muzyka Eda Sheerana, uświadamiając mi, że jesteśmy tu nie dłużej niż kilka sekund.

– Oczy... Oczywiście, że tak. – Może uda mi się udawać, że powróciłam do normalności? Cholera, udawało mi się to przez godzinę! Stworzyliśmy niezłą ekipę, sprzątaaliśmy pokoje w imponującym tempie. Wszystko zmieniło się jednak w windzie, gdy raz na mnie spojrzął. I podarował mi ten głupi zestaw do szycia, żądając uroczo w zamian, bym zdradziła mu swoje myśli. – Bo przecież... To jest piękne.

A gdy przez dwie sekundy nie odpowiada, dodaję:

– Prawda?

Reece bierze głęboki oddech. Niemal słyszę, jak poruszają się trybiki w jego głowie.

– To miasto – mówi w końcu. – Wszystkie miasta są chyba piękne na swój sposób. Światła. Architektura. Ruch.

– Życie. – Moje oświadczenie go zaskakuje. Jestem tego pewna, tak jak jestem pewna, że znam słowa piosenki płynącej z głośników ponad naszymi głowami. – To jest życie – powtarzam, podchodząc do szyby. – Cały zbiór żyć. Każde z nich to inna historia, inne marzenie, inny cel. Ale wszystko to działa razem. Płacze się, miesza i aspiruje do czegoś lepszego niż dzień wcześniej, łącząc się z taką samą energią u innych. – Wybucham cichym śmiechem. – O Boże, naprawdę powiedziałam to wszystko na głos?

– Tak. – Jego odpowiedź, równie cichą jak moja, przepełnia pewnością. Wyczuwam ją, gdy podchodzi bliżej, staje tuż za mną i... niemal się do mnie przytula. Wydaję głębokie westchnienie, próbując walczyć z pokusą poszukania oparcia w jego sile i żarze, lecz zamiast tego koncentruję się na jego ruchach miarowych jak falowanie Morza Karaibskiego, odbijających się w przyciemnionej szybie. – Mógłbym cię słuchać przez całą noc.

Prycham śmiechem.

– Lubisz prawić takie banały?

Przysuwa się jeszcze bliżej.

– Tylko jeśli ty lubisz ich słuchać.

Owszem. Boże, jak bardzo! Chyba nawet za bardzo.

– Kontynuować? – pytam, prawie się rozpluwając na skutek jego bliskości.

– Mów dalej.

Jego ton staje się szorstki. Niemal jak rozkaz kochanka w sypialni. Potwierdza to każdy centymetr mrowiącej tkanki pomiędzy moimi udami.

O nie.

Nie mogę myśleć w ten sposób.

My nie możemy myśleć w ten sposób.

Ale przecież on prosi mnie tylko o słowa.

Słowa są bezpieczne, prawda?

– To też... energia. – Pewnie moje brzmią teraz niedorzecznie. Tyle że on nawet nie drgnął, gdy wyrzucałam z siebie całe to donkiszotowskie gówno, więc dlaczego nie? – Żywiołowość, wiesz? Tempo. Jakieś kolektywne szaleństwo. To coś...

– No co? – ponagła mnie, przerywając.

– Coś większego. – Rzucam pierwsze, co przychodzi mi do głowy. I rodzi się w duszy. – To po prostu coś większego. – Co to może oznaczać dla faceta, który okrążył świat co najmniej tuzin razy? – W każdym razie dla mnie.

Powietrze nagle staje się ciężkie, pewnie od masy mojego zażenowania. Czuję się naga i krucha. Nie jest to komfortowe, ale odsuwanie się też nie jest opcją. Zwłaszcza że Reece podchodzi jeszcze bliżej i niemal przyciska mnie do szyby tym swoim wysokim i twardym ciałem.

Czas na zmianę taktyki. I to jak cholera.

Na ratunek przybywa drwina.

– Okej, koleś. – Robię unik. Zwracam ku niemu twarz i unoszę dłoń. – Oto moje myśli. A gdzie czekoladka?

Nie daje się zbić z tropu. Jego twarz jest poważna. Oczy błyszczą stalową szarością.

– To dla ciebie istotne, prawda? – dopytuje. – By osiągnąć coś więcej. Mieć więcej.

– Nie. – Wykrzywiam twarz w grymasie. – Nie chodzi o to, by mieć więcej. – Zaciskam dłoń w pięść i nacieram nią na jego mostek. – Ale by być kimś więcej. – Nie wiem, jak to wytłumaczyć, więc znów odwracam się twarzą do szyby. – Ja wiem, że musi być coś więcej.

Nie zostało już nic do powiedzenia. Dlaczego zatem mam wrażenie, jakbym nie wyrzuciła z siebie ani słowa? Powietrze wciąż jest zbyt gęste, a nowa piosenka płynąca z głośników nie poprawia sytuacji. Zaczyna śpiewać Weekend – nie wiem, co dokładnie, ale jakie to ma znaczenie, skoro to Weekend? – a mój umysł kapituluje powoli przed żarem mężczyzny, który na mnie naciera.

Wiem to. Nie muszę nawet unosić głowy, żeby to zobaczyć. Ten piękny zarys odbijający się w szybie, górujący nade mną ze zmysłową determinacją.

– Bo jest – zapewnia mnie Reece, muskając ciepłym oddechem moje włosy i pieszcząc wibracjami głosu mój kark. – Jest więcej, Velvet.

Z trudem przełykam ślinę. Walczę z dreszczami, które pełzną w dół mojego kręgosłupa, torując sobie drogę ku przodowi mojego ciała w zagłębieniu pod

rękami aż do koniuszków piersi...

– Łatwo ci mówić – szepczę. – Ty już miałeś więcej.

– Jeszcze nie.

Nie licząc przelotnego napięcia jego barków nic się nie zmienia. Nie przestaje na mnie nacierać. Wciska w swoją pierś tył mojej głowy i rozstawia nogi po obu stronach moich bioder. Cholera, to, co jego knykcie zaczynają robić ze skórą na moich rękach...

– Jeszcze nie? – wykrztuszam. – Co masz na myśli? Pływanie z żółwiami w Tulum czy narty w Alpach podczas Bożego Narodzenia? A może...

Co ja gadam, do cholery? Obchodzi mnie to jeszcze mniej niż tytuł piosenki, która rozbrzmiewa wokół nas, choć jej słowa nagle wydają mi się magiczne. Słowa o wolności dzięki zwykłemu dotykowi i brakowi pośpiechu.

– Ty jesteś moim więcej, Emmalino.

Czysty żar na moim karku.

Płynny ogień w moim ciele.

Przebudzona prawda w mojej duszy.

Siła, z którą nie mogę już dłużej walczyć. My nie możemy walczyć.

– Och.

Mój oddech drży, głowa opada w dół. Nie jestem w stanie jej utrzymać, gdy ten mężczyzna zarzuca się pożądania na całe moje ciało. Jestem bezradna w jego objęciach – mięśnie wiotczeją, a nerwy zamieniają się w proch, choć wciąż próbuję walczyć z jego przyciąganiem, opierając obie ręce na szybie i odpychając się. Bez skutku, zwłaszcza że gdy podnoszę wzrok, wypełnia go nasze odbicie.

Nasze odbicie.

Jedno słowo. Jeden obraz.

Przytulone ciała. Mieszające się oddechy. Połączone energie. Przebudzone pragnienia.

– Och. – Nie wiem, jakim cudem udaje mi się to powtórzyć. Ani czy to w ogóle ma sens. – Ro... Rozumiem.

– Czyżby? – Jego pomruk to bardziej wibracja niż wypowiedziane słowo. Reece przyciska usta do mojej szyi, wodząc lewą dłonią wzdłuż mojego ramienia. Gdy dociera do końca, splata nasze palce na szybie, na której tworzy się rozgrzana mgiełka. – Naprawdę rozumiesz? – Zaciska zęby na moim podbródku. – Czy może mam ci to pokazać?

Tak. Pokaż mi, proszę.

– Nie. N-nie trzeba. W-wierzę ci. – Przedzieram się przez mgłę pożądania, kurczowo czepiając się resztek pragmatyzmu. – Reece, musimy... Musimy

wracać do pracy.

Wydaje mi się, że brzmię jak zdeterminowana menedżerka, w rzeczywistości jednak przypominam bardziej napaloną francuską pokojówkę. Czuję na szyi jego usta, a sylaby wydłużają się gardłowo.

– Do pracy? A co to jest ta „praca”?

Wybucham zdławionym śmiechem.

On nie. W ciemnym świetle za szybą, gdzie nasze palce nadal się splatają, góruje nade mną niczym leśna bestia, która obserwuje ofiarę, zanim wybierze najlepszy sposób ataku. Zdumiewa mnie, jaka się wydaję drobna w porównaniu z nim. Jaka bezradna. Jak oszołomiona. Zachwycona siłą mojego drapieżnika.

– Emma... – warczy miękko bestia. – Emma. Emma. Jak zdołałem tak długo obywać się bez tego? Bez ciebie?

To nie powinno usprawiedliwiać wszystkiego, jednak galareta w moich kolanach podpowiada inaczej.

Osuwam się na niego i podskakuję zdumiona, gdy moje nagie pośladki ocierają się o wydatne wyrzucenie jego spodni. Jakim cudem udało mu się podciągnąć moją spódnicę i zsunąć majtki, zanim się zorientowałam? I dlaczego, do cholery, nie posłuchałam rady Neety i nie pożyczyłam spodni od uniformu sprzątaczek? I co ja w ogóle robię, pozwalając sobie na drżenie i jęk na widok jego długich palców na moim nagim udzie? Zanim wsunie je w moje wnętrze...

– Och!

Na mój okrzyk Reece odpowiada pomrukiem. I muśnięciem gorącej perełki pomiędzy moimi nogami.

– Tak – syczy mi do ucha. – Niech to szlag! Tak.

– Nie. Reece, nie... O cholera. – Gdy on zaciska palce na tej najbardziej zakazanej części mnie, moja głowa opada w tył. – N-nie możemy. J-jestem twoją...

– Jesteś moim więcej. – Odsuwa dłoń i opiera moje prawe kolano na pufie, który przysunął nogą.

– Nieważne, to nie jest... A ty jesteś...

– Mężczyznę, który zaraz znajdzie się w tobie.

– Nie. Nie. Tak nie można!

– Och, zdecydowanie można.

– Ja dla ciebie pracuję!

– No dobra. Zwalniam cię.

– Niech to szlag!

– No dobra. Przyjmuję cię z powrotem.

Uderzyłabym go, gdyby jego słowa nie były tak cholernie prawdziwe. Przecież mo-że-my to zro-bić. Mój mózg protestuje przy każdej sylabie, ale każda komórka mojego ciała i ducha pędzi ku temu. By pochwycić klejnot pożądania stworzony w jaskiniach przeznaczenia w chwili, gdy po raz pierwszy spojrzeliśmy sobie w oczy.

W porządku. Może zatem to prawda. Co nie oznacza, że muszę się z tego cieszyć.

Poruszam lewą dłoń, wciąż splecioną z jego dłoń na szybie. Reece przyciska mocniej, nakrywając mnie swoim ciałem. Nie chcę czuć, jakie to cudowne. Gdy jego tors wtapia się w moje plecy, a jego broda opiera na moim ramieniu, kapituluję w obliczu zwierzęcych instynktów.

Weź mnie... Proszę...

– Nienawidzę cię – syczę na głos.

– Pragnę cię. – Jego zarost pali moją szyję.

Moja głowa znów opada w tył.

– Nie mogę tego chcieć.

– Nie. – Rozlega się dźwięk rozsuwanego rozporka. – Ty tego nie chcesz. – Żar męskiego krocza rozpala moje pośladki. – Ty tego potrzebujesz. Tak jak ja.

– Do diabła z tym.

Mój głos powinien brzmieć gorzko, ale nie brzmi. Pragnę wymierzyć cios, ale tego nie robię. Moja siła woli słabnie coraz szybciej, gdy Reece opuszcza niżej spodnie i slipy, uwalniając ogień erekcji. Naciera na mnie biodrami, dopasowując gorący członek do opuchniętych warg mojej cipki, a mnie ogarnia pewność, że właśnie pieczętuję swój los. Tak wspaniały kutas może należeć wyłącznie do diabła! A mimo to kołyszę się dobrowolnie, ocierając wilgotne wnętrze o ten grzeszny sworzeń.

Jeżeli tak wygląda piekło, komu potrzebne jest niebo?

– Kurwa.

Napięcie w głosie Reece'a sprawia, że czuję się pomszczona.

Jest równie bliski całkowitej utraty kontroli, co ja. Przez chwilę pozwalam sobie wierzyć, że jego słowa to coś więcej niż tylko urocza poezja nakierowana na to, by pozbawić mnie bielizny. Czy to jednak ma jakiegokolwiek znaczenie? Łajdak i tak postawił na swoim: moje majtki leżą na ziemi obok lewej kostki, mój opór to tylko kilka ziaren piasku niesionych na fali jego pożądania. Moje zmysły są jak szczątki rozbitego statku podczas sztormu – podskakują na wodzie, unoszą się i toną, aż zapominają, że muszą wynurzyć się po haust powietrza. Każdy mój oddech jest pełen jego chłodnego piżmowego zapachu. Każde bicie serca

dopasowuje się do łomotania w jego piersi i odbija się echem wzdłuż mojego kręgosłupa. Każdy mój ruch jest po to, by on natarł jeszcze mocniej na moją cipkę, jęczał głośniejsze w moje ucho, ciaśniej obejmował moje uda.

– Kurwa. – Z głębi jego piersi wyrywa się jęk. Jego ciało tężeje i dygocze. Jego wargi są gorące i brutalne na moim uchu. – Pieprz mnie, Velvet.

Wydaję drżące westchnienie.

– To pytanie czy rozkaz?

– Naprawdę potrzebna ci odpowiedź?

Znamy ją przecież oboje.

Chwyta mnie za uda, szeroko rozkłada palce na wrażliwej skórze i mocniej przyciąga do siebie. Drzę, jęczę i krzyczę cicho, przekonana, że ten żar, potrzeba i żądza to najintensywniejsza burza zmysłów, jaka kiedykolwiek ogarnęła moje ciało. A przecież nawet jeszcze nie wszedł we mnie. Jak to możliwe? Jakim cudem robi mi to tylko muśnięciami warg i siłą palców? Jego dotyk jest jak błyskawica. Jego ciało jak piorun. Cały jest jak monsun wokół mnie. Jak powołanie dla mego wnętrza...

– Emma. Emma. – Jego głos przeszywa mnie, wibruje na mojej skórze i zmysłach. – Ty...

– Nie. – Wzdycham, rozkoszując się splotem naszych mięśni. Tym, jak nasze ciała formują się wokół siebie. – Nie... Ty.

Jego niski rozpalony oddech współgra z jego długimi leniwymi gestami.

– To ty mnie napędzasz. – Reece składa głęboki pocałunek u nasady mojej szyi. – Ty mnie oświeć.

Wodzi ustami po zarysie mojego podbródka, a ja jednocześnie dygoczę i się uśmiecham.

– To moja supermoc.

Mogłabym przysiąc, że zanim się roześmiał, jego ciało przeszył dreszcz. Ale gdy mruży, jego głos jest idealnie gładki.

– Pewnie tak.

– Ty wiesz, co to znaczy, prawda? – Milczę tylko sekundę, nie dając mu czasu na kolejną ripostę. – Teraz ty musisz pokazać mi swoją.

I znowu to samo. Cisza. Ale także niemal niewyczuwalny dreszcz, który nim wstrząsa, a który ukrywa pod kolejnym wybuchem śmiechu. Tym razem ostrzejszym, pewnie dlatego, że nie tracę czasu, pokazując mu, jakiej dokładnie mocy od niego chcę. Pragnę. Przystaję myśleć. Odmienił mnie całkowicie. Przedarł się przez moją linię obrony. Zabiera mnie do punktu, z którego nie ma powrotu. Jestem rozpustna i lekkomyślna, ujeżdżam jego wzwidziony członek

pulsującą łechtaczką, zatracając się w próżni stworzonej przez rosnącą potrzebę, buchający ogień i pulsującą namiętność.

– Cholera. Kurwa. Emma... Kochanie... Zaczekaj. Czeka. Muszę...

– Pośpiesz się! – syczę, gdy odsuwa dłonie od moich ud i zaczyna szukać czegoś za plecami.

– Chryste. – Brzmi to bardziej jak „chrust”, bo jednocześnie rozrywa foliowy pakiecik zębami, i w następnej chwili kolumnę pomiędzy naszymi ciałami obejmuje chłodny lateks. Gdy nakłada prezerwatywę, nakazuje mi: – Powtórz to. Tak jak przed chwilą.

– Pośpiesz się! – Ulegam z gotowością, bo raz, że naprawdę tego chcę, a dwa pragnę, by znów wydał z siebie ten dźwięk. Jakby nie mógł zaczerpnąć tchu, dopóki nie przemówię. Jakby nie potrafił się poruszyć, dopóki nie usłyszy mojego błagalnego westchnienia. – Proszę... Po prostu... Pośpiesz się i... Och!

To okrzyk zaskoczenia i wypełnienia, bólu i rozkoszy, radości i smutku. Jedno pchnięcie i w końcu czuję się pełna. Lecz gdy on wysuwa się i wycofuje tak daleko, by żołądźką tylko pocierać wrażliwe wargi, dowiaduję się, jak to jest być bez niego.

Łzy napływają mi do oczu. Wszystko mnie boli. Nie tylko pokazał mi pustkę mojego ciała, ale porzucił mnie w głębokiej ciemności. W egzystencji bez jego namiętności, jego śmiechu, jego energii.

Jego więcej.

– Reece. – Nie obchodzi mnie, jak żałośnie to brzmi. Jeśli chce usłyszeć moje błaganie, będę błagać, właśnie dla niego. – Proszę. Proszę. P-potrzebuję...

– Wiem – zapewnia mnie chrapliwie. – Wiem.

Z mojego gardła wyrywa się głęboki, mroczny jęk.

Nie wie. Gdyby wiedział, dałby mi więcej niż tylko koniuszek, który rozpala kilka milimetrów mojego tunelu, prowokując rozdygotane głębiny cierpliwym uwodzeniem.

– Ale... Ale...

– Zamknij oczy.

Robię to, bo gdyby nakazał mi teraz gwizdać *Mary małą owcę ma*, też bym go posłuchała. Robię to, bo jego apodyktyczny pomruk to najseksowniejsza rzecz, jaka kiedykolwiek wkroczyła w moje ciało.

No dobrze, druga w kolejności.

– Obie ręce. Płasko na szybie. – Przysuwa puf jeszcze bliżej, żeby zmienić naszą pozycję. – Oba kolana na to.

Wypełniam rozkaz, a z jego gardła wyrywa się palący warkot.

To nowe ułożenie sprawia, że wchodzi we mnie głębiej, choć nie tak głęboko, jak przy pierwszym niewiarygodnym natarciu. Pragnę go w taki sposób. Pragnę go tak głęboko, żeby bolało. Pragnę, by zdominował każdą moją myśl, wywołał spięcie w każdej komórce mojego ciała, usmażył każdy obwód moich zmysłów. Każdy centymetr jego kutasa rozpała moją krew. Moja skóra płonie. Moja cipka rozgrzewa się do białości. A ja pragnę więcej.

Więcej potrzebuję.

Pożądanie rozprzestrzenia się we mnie jak wirus. Cała płonę. Majaczę. Pragnę ulgi, ale nie chcę być uzdrowiona. To mnie pożera, napędza każdy mój ruch. Moje kończyny wiją się i podrygują, gdy nacieram szparką na jego członek, fizycznie prosząc go znów o pełną inwazję. Odpowiada ostrymi, płytkimi uderzeniami, doprowadzając mnie do utraty rozumu. Nie. Nie chodzi o rozum. Jestem oburzona. Rozwścieczona.

Przecież nie chciałam tego! Jeśli ktoś nas nakryje, on zostanie zesłany do prowadzenia lodowego hotelu w Mongolii, a ja nigdy nie dostanę pracy w tym mieście. Doprowadził moje ciało do białej gorączki, a odmawia podania mi antidotum!

– Niech to szlag – mruczy, gdy nacieram coraz gwałtowniej.

Tembr jego głosu wywołuje pożar w moim łonie. Rozciąga mnie, pobudzając do krzyku.

– Proszę.

Podwijam koniuszki palców na szybie. Wypycham łopatki, które wbijają się w niewzruszoną ścianę jego piersi. A Reece otula mnie, otacza swoim pragnieniem, rozpalając elektrony naszej namiętności. Jego uda są potężne i śliskie. Przesuwa dłońmi po moich ramionach i również opiera je na szybie. Jego kutas zdobywa nowe głębiny mojego ciała, tłocząc z taką intensywnością, że zaczynam się zastanawiać, czy nie płonę od środka.

– Proszę! – powtarzam. Tłoki muszą się zetknąć.

Teraz. Błyskawica musi uderzyć.

Teraz.

– Kurwa. – To słowo to niemal warkot. – Taka gorąca! Taka ciasna. Muszę wejść głębiej.

– Zrób to.

Mam dość błagania.

– Nie wiem, czy wytrzymam...

– Nie musisz.

Naprawdę, naprawdę dość!

– Minęło... trochę czasu.

Niemal okręcam się na pięcie, by spojrzeć z niedowierzaniem.

– Chcesz mi powiedzieć, że wyszedłeś z wprawy? Co za bzdura!

– Chcę powiedzieć... O kurwa! – Przekleństwo wymyka mu się, gdy nasze ciała stykają się ściślej. – Że nie chcę cię skrzywdzić i... Kurwa!

Wykrzykuję to słowo razem z nim – gdy jego kutas bierze wszystko, co we mnie zostało.

Przez chwilę, przez jedną krótką chwilę po prostu trwamy. Spleceni. Połączeni więzią naszych ciał, mieszaniną oddechów, elektronami, które wirują w powietrzu wokół nas, przez nas, w nas.

To szaleństwo – a przynajmniej tak sobie powtarzam – ale nie ma innego sposobu, by opisać cud gwiazd, które wybuchają pod moimi zaciśniętymi powiekami. Seksualny wyścig mojego ciała jest teraz rozpaloną siłą mojego umysłu. Olśniewa strukturą i kolorem moje oczy. Błękit, złoto i srebro zalewają dolinę mojej namiętności, zderzając się ze sobą tak mocno, że czuję się przytłoczona. Lecz gdy otwieram oczy, by uniknąć kataklizmu, muszę pogodzić się z kolejnymi niewiarygodnymi faktami.

Czy jego palce, nadal przyciśnięte do szyby obok moich, naprawdę świecą? Czy ten sam odcień indygo emanuje z miejsca, w którym łączą się nasze ciała? I jakim cudem widzę każdą żyłę w jego ciele, jakby były podłączone do prądu?

– Reece. Co do...?

Nie mogę dokończyć. Gdy wdziera się we mnie jeszcze pełniej, pokój wypełnia mój krzyk.

O. Kurwa.

Każdy centymetr mojego wnętrza zostaje zdobyty, każdy neuron w moim ciele wybucha.

– W porządku, Velvet. Wszystko w porządku.

Choć jego słowa to ochryply szept, wierzę każdej sylabie. Choć wszystko to wydaje się niedorzeczne, akceptuję tę niedorzeczność. Może tak jest nawet łatwiej? Jeśli zapamiętam to jako dziki sen, może łatwiej mi będzie zapomnieć.

Bo kiedy już opuścimy ten pokój, będę musiała zapomnieć.

Ciężki oddech muska moje ucho. Reece opiera jedno z kolan na pufie, żeby pod nowym kątem pogłębić pchnięcia. Gdy moja cipka rozbłyskuje rozkoszą, z moich ust wyrывa się zdławione westchnienie. Zaciskam powieki zagubiona w powodzi doznań: wstążki światła znikły, w ich miejsce pojawił się miarowy blask, słońce, w którym się topię. Żar płynie ku mojej cipce, obalając po drodze tamę samokontroli.

I tonę.

Tonę w płynnym świetle.

Rozdziera mnie płynne spełnienie.

Moja cipka jest jak błyskawica. Moje zmysły rezonują.

Otwieram usta w bezgłośnym krzyku, gdy pochodnia w moim wnętrzu przynosi falę za falą idealnego ognia, rozpalając przyjemność tak intensywną, że niemal nie do zniesienia.

– Reece. Reece.

– Jestem tutaj. – Jego warkot to moja tratwa w tej powodzi, moja ucieczka przed potępieniem. Jesteśmy parą upadłych aniołów, które torują sobie ścieżkę pomiędzy gwiazdami ogniem pieprzenia. – Jestem tu, Velvet.

– Co się dzieje?

Własny głos dociera do mnie jak przez mgłę. Mam wrażenie, że jestem całkiem ugotowana, choć elektryczność w mojej cipce przeczy tej teorii. Nie jestem pijana. To uczucie jest zbyt cudowne, by przypisywać je pijaństwu.

– Nie wiem.

W jego ochryplym głosie pobrzmiewa to samo zdumienie. Jego kutas rozpycha moje ścianki, zapowiadając swoją wspinaczkę na szczyt orgazmu.

– Nie wiesz? – pytam z niedowierzaniem. A może z nutą przerażenia.

– Nigdy jeszcze tak się nie czułem.

Wierzę mu, choć nie chcę. Przecież czuł już w życiu wszystko, prawda? Jednak nie przestaje mnie pieprzyć, a odpowiedź traci na znaczeniu.

– Och – wykrztuszam, gdy nowa fala podniecenia niesie moją cipkę na nowy szczyt pobudzenia. – Och!

Jak to możliwe? Jakim cudem znów jestem tak spięta, tak niewiarygodnie podniecona?

– W porządku. – Splata swoje palce z moimi i ściska do bólu. Rozkoszuję się tymi okowami i naciskiem. Dzięki nim upewniam się, że to jest prawdziwe. Bolesnie, oślepiająco rzeczywiste. – W porządku, piękna. Pozwól na to. Daj się ponieść.

– Powiedział facet, który podobno nie wie, co się dzieje!

Czuję na policzku jego uśmiech.

– To przygoda dla nas obojga. – Przesuwa dłońmi po moim ciele. Pozostawiają palący żar aż do mojej talii. – Nieznane wody. – Zaciska palce. Kontroluje nasze tempo, wdzierając się we mnie coraz szybciej. Coraz szybciej. – Wypłyn na nie ze mną, Emmo.

– Tak.

Żadna inna odpowiedź nie ma sensu.

– Dojdz ze mną, Emmo.

– Tak!

Szczytujemy razem, tonąc w naszym własnym Styksie, gdzie pochłaniają nas płomienie. A potem unosimy się razem do gwiazd. Nie tylko mkniemy przez kosmos. Oto stajemy się gwiazdą stworzoną ze światła i żaru. Oślepiającą, płonąca z taką siłą, że zwieńczeniem musi być wybuch.

– Chryste – mruczy Reece.

– Tak. – Dołączam do jego zaklęć.

– Zaraz dojdę. – Jego głos się rwie. Coś w jego jęku pobudza moje zmysły. – Nie mogę przestać – wykrztusza. – Boże kochany...

Co się dzieje? Dlaczego nagle jego głos brzmi jak człowieka, który przyznaje się do morderstwa?

Te myśli pryskają, gdy znów wybucham i koncentruję się na konwulsjach moich ścianek wokół pompującego kutasa.

– Och – jęczę. – Och... Och!

Choć rozdziela nas warstwa lateksu, przysięgam, że czuję każdą kroplę, którą we mnie przelewa. Tysiące odprysków energii rozprzestrzeniają się po moim łonie, jakbym nagle stała się kulą plazmy. Doznanie wzmagą się, gdy przeszywa mnie prąd przepelniający palce Reece'a, które rozłożył na moich biodrach, by wdzierać się we mnie aż do rozpalonej konkluzji.

– Kurwa. – Znów czuję jego ciężki oddech na karku. – Ja pierdolę.

– To na pewno.

Gdy nie reaguje na żart, odzywa się mój szósty zmysł. Dlaczego w ostatniej minucie powietrze znów stało się dwa razy cięższe?

Nie mija trzydzieści sekund, a Reece składa przelotny pocałunek na mojej brodzie.

– Zaraz wracam – mamrocze.

W jego głosie słyhać uczucie, lecz mimo to czuję żal.

Gdy się odwracam, jego już nie ma. Znikł w łazience i stanowczo zamknął za sobą drzwi.

Ogarnia mnie konsternacja. A jej śladem podąża ciekawość. Aż staję na nogach, obciążam spódnice i przechodzę przez pokój. Zatrzymuję się z wahaniem przed zamkniętymi drzwiami. Słyszę przez nie jego wyraźny syk. A potem odgłos, jakby coś się ześlizgiwało. Pewnie zdejmuję prezerwatywę.

I gwałtownie wciąga powietrze.

– Dzięki Bogu! – szepce.

Marszczę czoło. Co jest, do cholery?

– Hm. Wszystko w porządku?

Szybkie „pac” – zakładam, że to zużyta gumka trafia do kosza – a zaraz potem drzwi się otwierają i na progu staje on.

Nie potrafię ukryć swojej reakcji. Wszyscy święci! I nieświęci też. Nie spodziewałam się po nim tej nowej arogancji ani jej szalonego wpływu na mnie. Jak to możliwe, że ten mężczyzna emanuje taką pewnością siebie? Choć jest już całkowicie ubrany, ja mam ochotę znów się na niego rzucić. Nie potrafię temu zaprzeczyć, gdy przyglądam się zmysłowemu uśmiezkowi, przymkniętym oczom i rozczochranym włosom. Otwiera szeroko ramiona, łokcie opiera na futrynach. Krzyżuje kostki, przyciągając mój wzrok niżej – do otwartego rozporka i przyprawiającej o zawroty głowy części ciała, wciąż obnażonej.

– Absolutnie. – Wyraz jego oczu pasuje do tonu. Te oczy są kuszące i spokojne. Zmysłowe spojrzenie obejmuje moje ciało. – A u ciebie, króliczku?

Przywołuję na pomoc całą siłę woli, by odpowiedzieć tym samym, nawet jeśli oblewam się przy tym krwistym rumieńcem. Owszem, dostrzegam ironię. Po tym, na co właśnie mu pozwoliłam, i to w godzinach pracy w jego firmie, moje ciało nie powinno pozwalać sobie na rumieniec. Jestem jednak boleśnie świadoma jego obnażonego krocza. I swojego. Obciągnęłam spódnicę, ale to nie równoważy w żaden sposób wpływu Reece’a na wszystko, co znajduje się pod nią. Znów jestem mokra; moje soki łaskoczą, spływając ku cipce. Członek, który nie zwiotczał do końca, podryguje, gdy tylko zapach mojego podniecenia unosi się w powietrzu.

– Kapitalnie.

Reece uśmiecha się, a ja mam ochotę jęknąć.

Niech to szlag! Zmysłowe wargi tego faceta są równie hipnotyzujące, co jego dumny kutas.

– Kapitalnie, co? Cieszę się, że to słyszę. – W mgnieniu oka jego usta tracą zadziorną wesołość. A jego tęczyki ciemnieją z pożądania. – Nie masz pojęcia, jak się cieszę.

– Och, chyba trochę mam.

Wysięk, jaki wkładam w bycie uroczą i śmiałą, zostaje całkowicie zniweczony, gdy on przyciąga mnie do siebie, jednocześnie odnajdując dłonią zamek spódnicy. Udaje mu się go rozpiąć, zanim nasze ciała się zetkną. Gdy ścierają się nasze usta, spódnica ląduje na podłodze. Nasze nagości znów są blisko – moja wilgotna szparka ociera się o jego sztywny członek, mój wygłodniały jęk pochłania jego ostre pomruki. Kręci mi się w głowie z

niedowierzania, ale jestem zachwycona. Jak to w ogóle możliwe? Jakim cudem moje ciało, moja dusza, moje wnętrze są już na niego gotowe? To nie jestem ja. Nigdy taka nie byłam. Jestem kobietą, której potrzeby wykraczają poza dyktat łechtaczki. Jestem małomiasteczkową dziewczyną z kolorowymi marzeniami. Mogę policzyć byłych kochanków na palcach jednej ręki i wcale mi to nie przeszkadza.

Cholera, jestem dumna z tego faktu.

– Tak? – Jedwabisty pomruk sprawia, że od razu zapominam o dumie, zwłaszcza gdy Reece podnosi mnie i sadza na marmurowym blacie toaletki. – Opowiedz mi o tym, moja piękna.

Jego usta, takie eleganckie i kuszące, zatrzymują się mniej niż centymetr ponad moimi. Przekroczenie tej granicy nie trwa zbyt długo – jego wargi opadają, jego język wdzierają się do moich ust, domagając się kolejnego grzesznego tańca. Choć Reece prowadzi w tym tangu z gracją i wprawą, mnie ponownie uderza jego nagłe pożądanie, które nakazuje mi naprawdę uwierzyć w jego wcześniejsze wyznanie.

„Minęło trochę czasu”.

– Bardziej fascynuje mnie to, co ty masz do powiedzenia... – Głos mi się rwie, gdy przysuwa mnie do siebie, niemal ściągając mnie z blatu, i otacza się moimi nogami.

– O nie. – Jego ton jest równie mroczny jak spojrzenie. – Nic nie jest tak fascynujące jak ty, Emmalino Crist. – Pochyliła się jak do pocałunku, ale znów nieruchomieje, by wodzić tymi pełnymi błyskawic oczami po mojej twarzy. – Chcę wiedzieć o tobie wszystko.

Mówi to z takim przekonaniem, że nie wiem, czy mam się rozpląnąć, czy mdleć z przerażenia.

Jest jeszcze opcja numer trzy. Całkowite oszołomienie.

Przelewam je w wymamrotane pod nosem pytanie.

– Dlaczego?

Odsuwa się nieco i mierzy mnie spojrzeniem tak zdumionym, że zaczynam się zastanawiać, czy nie ogarnęły go jednak wątpliwości co do sensu całej tej rozmowy. Czy tego, czymkolwiek jest ta wymiana zdań.

Pozostaje jednak poważny, wręcz zdecydowany, gdy szepcze:

– A dlaczego istnieje grawitacja, Velvet? Dlaczego słońce wschodzi każdego ranka? Dlaczego gwiazdy spadają, a góry pną się do nieba? – Przysuwa się bliżej. – Pewne rzeczy są po prostu nieuniknione. – Naciera na mnie biodrami. Gdy się kołysze, pobudzając moją łechtaczkę śmiałością kutasa, mogłabym

przysiąc, że jego źrenice rozbłyskują powodzią iskier. – Niektóre rzeczy są nam pisane.

O cholera.

Nie ma co walczyć ze skokami ciśnienia. Z przyśpieszonym tętnem. Z całkowitym omdleniem zmysłów, przez które zamieniam się z supermanki w króliczka z topniejącej czekolady.

– Są... nam... pisane – wykrztuszam pomiędzy ochrypłymi, ciężkimi sapnięciami. – Jak to, że pragnę, byś mnie znów przeleciał?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

REECE

Uśmiecham się tak szeroko, że aż boli.
Kurwa. Wszystko mnie boli.

Każda kropla mocy w moim kutasie. Każda molekuła powietrza w moich płucach. Każda szalona myśl w mojej głowie.

Boli, lecz jeszcze nigdy nie czułem się tak wspaniale.

To chyba jasne jak cholera, że nigdy jeszcze z moich ust nie padło takie donkiszotowskie gówno, w które naprawdę wierzę? Nigdy nie wpatrywałem się w ten sposób w twarz kobiety – jakbym był gotów przysiąc, że ten widok nigdy mi się nie znudzi. A mój kutas na pewno nigdy nie domagał się z taką determinacją powtórnej podróży do raju tak szybko po pierwszej wizycie.

Co najbardziej zdumiewające, moje ręce nigdy jeszcze tak się nie zachowywały.

No tak. Moje ręce.

Nigdy jeszcze nie tęskniły tak bardzo za dotykaniem kobiety. Nigdy nie zaciskały się w pięści, gdy musiałem walczyć z pokusą ujęcia w nie jej twarzy, całowania jej do utraty zmysłów i pieprzenia do stanu nirwany.

I nigdy jeszcze nie płonęły jaśniejszym blaskiem.

Moje palce. Dziesięć jaskrawych dowodów na to, jakim jestem dziwadłem.

To dlatego chowam je za jej plecami, zaciskam je na jej tyłku, pochylając się ku niej, przesłaniając jej cały świat i mruczając:

– Zamknij oczy, piękna.

Jej brwi tworzą idealny mały trójkąt.

– Dlaczego?

Zaciskam szczęki.

– Emma...

– Jesteś taki piękny. – Wplata palce w moje włosy. – Pozwól mi na siebie patrzeć.

– Zamknij oczy, Emmo.

Boli mnie, gdy się wzdryga. Nienawidzę tego nerwowego grymasu na jej twarzy, choć ostatecznie mi ulega. Nienawidzę tego, co mój rozkaz robi z jej ciałem.

Zesztywniała, zanim zdołałem wyciągnąć drugą prezerwatywę z kieszeni

spodni.

Pragnę ją fascynować. Zamienić ją w bezrozumną bestię, która pozwoli wziąć się przy szybie. Uczynić z niej swoją partnerkę w podróży ku gwiazdom.

Po raz kolejny wkraczam więc na terytorium, na którym nigdy dotąd nie byłem z kobietą.

Uwodzenie. Takie prawdziwe. Powolne, zmysłowe i... werbalne.

– Dobrze.

Prosty, lecz skuteczny początek. Prawda jest też taka, że choć wierzę we wszystko, co zamierzam powiedzieć, nie jestem pewien, jak to zrobić. To nie jest moje typowe *modus operandi*. Zawsze należałem raczej do tych, którzy robią, nie mówią. Mistrz zwodzenia kobiet kosztownym jedzeniem, drogimi trunkami i wiarą, że jakimś cudem uda im się zajrzeć pod wyrafinowaną fasadę, jaką pokazują światu.

Z nią nie chcę być wyrafinowany.

Pragnę być prawdziwy.

– O tak. Bardzo dobrze – kontynuuję z większą pewnością siebie. – Jesteś cudowna, Emmo. – Obsypuję pocałunkami jej powieki. – Nie, nie tylko cudowna. – Przełykam ślinę z nadzieją, że ona to czuje. Mam nadzieję, że wie, iż esemesy pełne tego gówna to jedno, a mówienie tego na głos to co innego. W ogóle nie czuję się teraz superbohaterem. Tak daleko wyszedłem poza swoją strefę komfortu, że jestem jak na pieprzonej pustyni. A Emma jest jedyną oazą, która może utrzymać mnie przy życiu. – Jesteś... Jesteś moją grawitacją. – To wylewa się ze mnie bez udziału woli, brzmi żałośniej, niż mógłbym sobie wyobrazić. Ale to dobrze, bo to wyznanie prosto z serca. Mój najgłębszy instynkt. – Jesteś moim porankiem. I...

Ucisza mnie. Ratuje, zarzucając mi ręce na szyję i atakując moje usta swoimi. Wpycha do nich język. Porusza cudownie krągłymi biodrami, zanurzając moją pulsującą żołądz w swoich parzących sokach.

– ...i kobietą, która pragnie poczuć cię w sobie od nowa – mówi ochryple. – Teraz.

Z mojego gardła wydobywa się pomruk. Całuję ją mocniej. Nasz kontakt staje się bardziej elektryzujący, smakuje jak sadza, co czyni Emmę jeszcze seksowniejszą i budzi zwierzęcą żądzę w moich brzuchu i kutasie. Ona smakuje jak ja i wszystkie miejsca, w których już ją naznaczyłem. Chcę, by było ich więcej.

Z tą myślą w pośpiechu nakładam kondom. Gdy tylko gumka zaciska się na moich jajach, mocno ściskam pośladki Emmy i przygotowuję ją na pełne, ogniste pchnięcie. Tym razem nie będzie budowania napięcia. Jestem jak pręt gniewu,

pełen pędzących elektronów i płonącej spermy, co widać wręcz zbyt wyraźnie po neonowo-niebieskim blasku na jej tyłku. To tam koncentruję wzrok, na łunie odbijającej się w lustrze, gdy wdzieram się w nią głęboko. Szybciej. Mocniej. Sprawiam, że zaczyna krzyczeć. Daję jej wszystko, by osiągnęła satysfakcję. Rozkoszuję się widokiem swojej erekcji zanurzającej się coraz głębiej i głębiej w jej mokrej pochwie.

Poddaję się jej magii.

Ulegam jej zaklęciu.

Czczę ją niczym swoją czarodziejkę – gdy ponownie przelewam w nią ostatnią kroplę swojej supermocy.

EMMA

Dwa dni po tym, jak Reece Richards dopilnował, bym już zawsze patrzyła inaczej na ten apartament, wracam do biura od dystrybutora wody, robiąc wszystko, co w mojej mocy, żeby się nie krzywić. Neeta przyszła pod moją nieobecność i zajęła miejsce po drugiej stronie. Prywatność to teraz niedostępny mi luksus, muszę zatem ukrywać, że boli mnie tyłek. Jakbym spędziła cały dzień na plaży w Malibu, leżąc zbyt długo na brzuchu.

Nieciekawa metafora na to, co wydarzyło się naprawdę.

Na to, że gdy Reece Richards mnie pieprzył, zaciskał palce na moich pośladkach tak mocno, że pozostawił siniaki przypominające ślady po oparzeniach.

Na to, jak wyrył się w mojej pamięci z tą samą bezwzględną siłą.

Na to, jak moje ciało zamieniło się w piromana i znów pragnie płomieni.

Na to, jak bardzo boli, gdy za nim tęsknię.

Na to, jak bardzo mi się to podoba.

Zerkam na Neetę ze zmarszczonymi brwiami, ale ona nie odrywa wzroku od telefonu, na którym pisze coś gorączkowo. Patrzy na mnie, gdy butelkę, którą właśnie napełniłam w dystrybutorze, stawiam po drugiej stronie komputera.

– Jeśli dolejesz do tego wódki, chętnie się poczęstuję.

Wybucham śmiechem, doskonale wiedząc, że to żart.

– Ja nie żartuję.

– Oookej. – Jeszcze bardziej marszczę brwi. – Przepraszam, skarbie. Co się dzieje?

– Raczej co się nie dzieje – mamrocze Neeta. – To znaczy, co się stało z

Piorunem i jego gorącą przygodą?

Opadam na krzesło i natychmiast podrywam się z powodu mojej prywatnej gorącej przygody.

– Byłam zajęta. Nie oglądałam wiadomości. Co się stało? Przecież biegał po mieście, rażąc każdego opryszka piorunami i błyskawicami.

– Owszem, jeszcze półtora dnia temu. – Neeta marszczy wyregulowane brwi, wodząc palcem po ekranie. – Teraz jednak zaszył się w swojej elektrowni czy gdzieś. – Przewraca oczami. – Pewnie chrupki serowe i maratony pana Jeźdźca Znikąd są ważniejsze niż ratowanie Los Angeles przed gwałcicielami, złodziejami i wandalami.

Prycham, przechodząc do logicznej konkluzji.

– Niech zgadnę. A wycieczka zastanawia się teraz, po co pominęła Anaheim i siedzi tutaj?

– Nagroda wędruje do tej pani! – Neeta wymachuje niewidzialnym dzwonkiem.

Dziwaczny zbieg okoliczności sprawia, że mój komputer sygnalizuje dźwiękiem nadchodzącą wiadomość. Po lewej pojawia się okno z nazwiskiem osoby, która wywołuje mnie przez nasz wewnętrzny komunikator. Osoby, która ma taki poziom prywatności, że nie odzywała się dotąd nigdy. A już na pewno nie zapraszała mnie do znajomych.

Reece Richards.

Kurwa, kurwa, kurwa.

Zaciskam zęby, żeby nie powiedzieć tego na głos, ale nie potrafię stłumić nerwowego westchnienia.

Neeta od razu staje się podejrzliwa.

– Co? Kto to?

Wzruszam ramionami, modląc się, by przekonała ją moja rzekoma beztraska.

– Rick z administracji. – Dzięki Bogu, że w tym departamencie mamy kierownika o imieniu na R. Jeżeli Neeta zerknie na mój monitor, tylko tyle zobaczy, zanim zamknę okienko. – Podejrzewa, że wycieczka kradnie jednorazowe szampony. I chyba nadal jest trochę podenerwowany, że Ree..., pan Richards i ja zapomnieliśmy założyć rogi prześcieradeł za materac podczas sprzątania apartamentu.

Znów rozlega się sygnał wiadomości.

„Emmalina”.

A skoro mowa o prześcieradłach i materacach...

„Emmalina”.

– Wybacz. – Zerkam na Neetę przeprasza ją. Tym razem nie muszę udawać. – Powinnam się tym zająć.

„EMMALINA”.

– Oczywiście. – Neeta macha, nadal przewijając strony w internecie. Nie zamierza ruszać się z krzesła. – Nie przeszkadzaj sobie. Ja szukam jakiegokolwiek wzmianki o naszym gorącym Piorunie. Może oddał swoje seksowne skórzane wdzianko do jakiejś pralni?

Biorę głęboki oddech, by dodać sobie odwagi i się nie śpieszę. Jeśli będę zachowywać się tak, jakbym myślała, może faktycznie zacznę myśleć.

To sprawia, że moje palce pewniej uderzają w klawiaturę.

„Może pompony do tego megafonu, drogi panie?”.

Gdy Reece wpisuje odpowiedź, wąska linia pod moimi słowami wygląda jak kurczący się lont.

„Niezły wstęp”.

„Do czego?”.

„Akurat myślałem o pewnych puchatych kulkach, piękna”.

No oczywiście, musiałam go sprowokować.

Znów oddycham głęboko, z wyraźną frustracją.

„W takim razie miłej zabawy. Tylko nie baw się obiema naraz. Możesz zrobić sobie krzywdę. Ja muszę wracać do pracy”.

Kąciaki moich ust drżą. No proszę, kto właśnie hardo dopiekl swojemu szefowi? Jestem kobietą, usłyszcie mój ryk pełen zmysłowej mocy. Może to ja powinnam wyjść do miasta i skopać jakiemuś oprychowi tyłek?

„Jesteś w pracy od czterech godzin”.

Moje palce biegają po klawiaturze. Wykorzystują okazję do doskonałej riposty.

„Wiesz to tylko dlatego, że w kwestii moich dojazdów zachowujesz się jak dyktator”.

„Dyktator Richards. Ładnie brzmi”.

„W takim razie z tym też baw się dobrze, ekscelencjo”.

„Cztery godziny, Velvet. Prawo nakazuje, żebyś zrobiła sobie przerwę”.

O cholera.

Jakim cudem ten facet nie ma na drugie Upór? I jak to możliwe, że moje serce obija się o żebra tylko dlatego, że użył tego przydomka?

Prostuję plecy. Muszę być silniejsza. Muszę pamiętać, że prawdopodobnie nie jestem pierwszą kobietą na świecie, którą tak nazywa, niezależnie od tego, jak wyjątkowe mi się to wydaje i ile salt wykonuje mój żołądek, gdy to słyszę. Muszę

pamiętać, że bogaty łobuz z oczami jak rtęć, włosami jak satyna i ciałem boga szybko zapomni o wpatrzonyj w niego menedżerce, którą zostawi, gdy minie pierwsza fascynacja.

„Nieistotne. Mam stałą pensję, pamiętasz?”.

Uśmiecham się dumnie, po czym naciskam „wyślij”. Ka-bum.

Gdy czekam na jego kolejną wybuchową odpowiedź, Neeta zerka na mnie z domyślnym uśmiechem.

– Czy Richard znów zachowuje się jak dupek?

Żartobliwie puszczam do niej oko.

– Dam sobie radę.

„Zrób sobie przerwę, Emmalino”.

„Robię coś”.

„To może poczekać, aż wrócisz”.

„Po wizycie w Twojej wieży?”.

„Przecież lubisz moją wieżę”.

Znów wrywa mi się prychnięcie.

Ma rację, cholerną rację, a ja nie mogę pozwolić, by tak było. Naprawdę coś robię – a jeśli wycieczka jest tak wkurzona, jak twierdzi Neeta, moje obowiązki menedżera do spraw satysfakcji gości wkrótce się skomplikują – i nie mogę udawać, że „przerwa” z nim będzie relaksująca. Relaks to żadna opcja, gdy znajdziemy się w jednym pomieszczeniu.

Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wierzę, że to, co powiedział tamtej nocy, to jedyne wyjaśnienie dla tej wspaniałej strefy wojny.

Nie ma żadnego wytłumaczenia.

Chyba żeby rzeczy takie jak słońce, gwiazdy i grawitacja uznać za właściwą definicję. A tego nie da się zrobić.

To niemożliwe.

I dlatego muszę złożyć broń.

„Nie idę do wieży, Reece”.

Wysyłam wiadomość, zanim stchórzę. A potem siedzę jak na szpilkach, czekając na odpowiedź.

Ta jednak nie nadchodzi.

Stukam butem w plastikową matę, która chroni podłogę. Ten ruch dodaje mi odwagi. Mam dzięki niemu wymówkę, by podziwiać moje nowe ogniście czerwone szpilki. Okej, może kupiłam je, żeby nie myśleć o nim, ale i tak są zabójcze. Mimo to nawet ich supermoc słabnie po długiej chwili braku jego aktywności.

Przestaję poruszać nogą. I powstrzymuję się przed snuciem głupich dywagacji na temat tego, dlaczego nagle się wyłączył. Wyobrażam sobie, że siedzi tam, przy swoim eleganckim biurku, wpatruje się w te niezwykle okna, cudowny nawet w gniewie. Kto wie, skąd to nagłe milczenie? Ten facet ma milion innych rzeczy na głowie poza złością na jakąś menedżerkę, która obecnie służy mu za chętnie ciało.

Z tym już koniec.

To dobrze, że on też to przyznaje. Że oboje to wiemy.

Odpychając ciężar, który nagle zaległ mi na piersi, minimalizuję okno czatu jednym kliknięciem.

– Udało się? – pytam, koncentrując się na Neecie. – Piorun w skórze gdzieś się pojawił?

Podnosi głowę, odrzucając niezwiązane włosy na zwieszony ramiona.

– Masz na myśli kogoś oprócz marnego naśladowcy na Melrose, który wykorzystał sławę pierwowzoru, by obnażać się przed ludźmi?

Jęczę, a potem wybucham śmiechem.

– Jednym słowem: nie?

– Zgadza się, dzieciaku. – Neeta znów zaczyna uderzać palcem w ekran telefonu. – W związku z tym grupowa rezerwacja obejmie dwie noce zamiast czterech. Uch. – Odwraca aparat i kładzie go sobie na kolanach, a głowę odrzuca do tyłu. – To mnie nauczy, żeby nie wliczać rezerwacji z ostatniej chwili do cotygodniowej prognozy.

– Przecież możesz zamieścić w raporcie odpowiedni komentarz, prawda? Wyjaśnisz, że utrata zysku to вина okoliczności poza naszą kontrolą.

Posyła mi kolejne przeszywające spojrzenie, jeszcze surowsze niż jej ton.

– Kiedy ostatnio sprawdzałam, zniknięcie superbohatera nie stanowiło uniwersalnej wymówki na wszystko.

Uśmiech, którym próbowałam dodać jej otuchy, zamienia się w grymas.

– No to kto powie panu Richardsowi?

– Jego nowa ulubienica.

Mam nadzieję, że to żart, ale szybko dostrzegam niepokojącą prawdę, która kryje się w jej proszącym uśmiechu.

Neeta wstaje i kładzie telefon na biurku, żeby móc złożyć dłonie jak do modlitwy.

– Przyniosę ci tyle ladao, że wystarczy na kolejny miesiąc.

– To nieuczciwe.

Mam słabość do tych deserowych kulek, odkąd poczęstowała mnie nimi w

zeszłym tygodniu. Ta babka robi zabójcze ladao.

– Zrób dobry uczynek. On cię lubi, Emmo. A ty czujesz się przy nim swobodniej niż my wszyscy.

Jeszcze bardziej marszczę brwi. Nie nazwałabym tego, co toczy się pomiędzy nami, swobodą, ale to rzeczywiście coś innego niż w przypadku innych pracowników. Wszyscy zachowują się tak, jakby Reece był ruchomym składowiskiem odpadów nuklearnych i boją się, że zaczną świecić, jeśli znajdzie się w ich pobliżu. A ja? Ja muszę przypominać sobie, że ten blask nie potrwa wiecznie.

– I myślisz, że dzięki temu mniej się zdenerwuje, gdy to usłyszy?

– Co usłyszy?

Pytanie wypowiedziane z żądającą intonacją pada od progu, zwiastując nadchodzącego króla. Mężczyzna, który je sformułował, to uosobienie autorytaryzmu do tego stopnia, że dziwię się, iż na jego włosach nie spoczywa korona. Elegancki dwurzędowy garnitur. Królewska postawa. Wszystkowidzące spojrzenie.

Wszystko, co widzę, należy do mnie.

Ponownie ogarnia mnie zdumienie. Jak to możliwe, że pojawił się tutaj tak szybko? I dlaczego wygląda, jakby właśnie odwiedził galę z biletami po tysiąc dolarów albo jakąś kolację z okazji wręczenia nagrody, zamiast dokuczać mi zza biurka w swoim gabinecie pogrążonym w mroku?

– Pan Richards.

Neeta naprawdę wygląda tak, jakby miała mu się uklonić. A ja zastanawiam się, jak jej się to uda w tym dopasowanym granatowym kostiumie. Cieszę się, że wybrałam podobny ubiór. Nie włożyłam spódnicy, więc ten facet nie ma szans na utorowanie sobie drogi w górę. Choć srebrny ogień w jego oczach każe mi wierzyć, że właśnie znalazł się tam przez sekundę. Może nawet dłużej.

– Pani Jain. – Skłania głową z królewską obojętnością. – Przeszkadzam?

– Nie, nie. – Neeta zerka na mnie znacząco. – Tak się składa, że panna Crist właśnie miała pana odwiedzić.

– Czyżby? – Unosi brew, a ja zastanawiam się, czy nie ma jednak szlacheckich korzeni. Ten grymas wygląda tak, jakby dzięki niemu paru heretyków w przeszłości zostało posłanych na stos. – Uroczy pomysł. Wtedy nie musiałbym krzyczeć.

Mierzę go gniewnym spojrzeniem, a Neeta aż podskakuje.

– Krzyczeć? Ale dlaczego? – Zastanawiam, czy ona zaraz zanurkuje nosem w podłogę. – Czy wszystko w porządku? Możemy coś dla pana zrobić?

– Nic, czym nie mógłbym zająć się sam.

Nie odrywa ode mnie tych swoich cudownych ciemnoszarych oczu.

A Neeta nie odrywa od niego zaskoczonych i pytającego spojrzenia.

– Okej – mówi w końcu powoli, przygotowując nas na ponurą pauzę.

W końcu Reece wchodzi w głąb pokoju. Zerka na mnie wyczekująco.

– Zatem panno Crist? Chciała pani ze mną rozmawiać?

Wargi Neety, pomalowane szminką w odcieniu toffi, rozciągają się w szerokim uśmiechu.

– Ach, tak. Chciała.

– Wcale nie. – Posyłam jej gniewne spojrzenie. – W każdym razie to nic ważnego. – Przenoszę wzrok na niego. Wow. Wystarczy mi na niego spojrzeć, by znów poczuć zawroty głowy. – Poza tym widzę, że ma pan plany na wieczór.

– Miałem. – Wzrusza ramionami, przez co oficjalny strój rozkosznie marszczy się na jego barkach. – Kolacja ze starymi znajomymi – dodaje. – Wracałem właśnie do siebie, ale pomyślałem, że być może warto sprawdzić, co się dzieje w okopach.

– W okopach wszystko w porządku – oświadczam, zanim Neeta może cokolwiek powiedzieć. – Wręcz wspaniale.

– To świetnie. – Posyła nam uśmiech, który powinno się zarejestrować jako zabójczą broń. Neeta niemal zaczyna się do niego mizdrzyć. On zachowuje się tak, jakby to zauważył i ignorował jednocześnie, jeśli to ma jakikolwiek sens. – W takim razie, czy mogę zerknąć na ostatnie ankiety satysfakcji gości?

– Oczywiście.

– Doskonale. – Akcentuje każdą sylabę, po kolei pieszcząc nimi moje uszy. Jest przy tym tak diabolicznie zdeterminowany, że dopiero zauważam to po chwili. Zanim to jednak do mnie dociera, on już odwraca się do Neety i zakłada ramiona na piersi. – Pani na pewno ma inne obowiązki, panno Jain. Nie będę pani zatrzymywać.

Mogłabym zasztyletować go wzrokiem.

Nigdy nie rozumiałam tego idiomu, aż do tej chwili, kiedy muszę udawać, że sugestie tego faceta to nic, tylko interes, podczas gdy on patrzy na mnie z grzeszną determinacją.

Nawet Neeta wyczuwa tę prowokacyjną energię. W jej oczach pojawia się ciekawość. Zwalnia kroku i odwraca się od drzwi.

– Oczywiście, proszę pana. Będę w swoim biurze, gdyby pan czegoś potrzebował. I zapewniam, że Emma jest prawdziwą królową mierzenia satysfakcji.

Jego wzrok ciemnieje. Kąciki jego ust unoszą się w pożądliwym uśmiešku.
– Królową. – Przesuwa kciukiem po dolnej wardze. – Och, w to nie wątpię.
Ale naprawdę chciałbym usłyszeć więcej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

REECE

Idę za Neetą do drzwi i zamykam je za nią. Na klucz.
Zatrzasnąć się w klatce z zabójczym króliczkiem?

Cholera, mam nadzieję. Zwłaszcza po przeklętym wieczorze, który właśnie się dla mnie skończył. „Kolacja ze starymi znajomymi”. Teoretycznie nie kłamałem. Jeśli „znajomy” to z definicji „suka, która wydała mnie na pastwę bandy szalonych naukowców i ich elektrycznej sali tortur”.

Jestem jednak gotów o tym zapomnieć. Pozostawić Angelique – a nawet wszystkie te ponure miesiące – daleko w tyle. Może nawet zapomnieć o mojej superbohaterskiej misji, która jest moim sposobem na pokazanie Konsorcjum środkowego palca. Może to kiepskie dla interesów, ale miastu może przynieść korzyść. Może miejscowi kryminaliści pochowają się w swoich dziurach, zamiast próbować różnych sztuczek w imię przejścia do historii.

Los zaoferował mi coś lepszego, na czym mogę się skupić. Piękno. To piękno. Kobietę gotową dobrowolnie oddać mi swoją prawdę, nawet jeśli w grę wchodzi zapędzanie jej w kozi róg, gdy chowa się za biurkiem.

Wskazuje palcem na monitor, który przechyliła w moją stronę, i fotel, który przed chwilą zajmowała Neeta.

- Stąd będziesz widzieć wszystkie raporty. Ja zostanę tutaj.
- Jeśli tak wolisz – mówię z pewnością, bo jestem pewien.

Ona nie. Ona jeszcze nie wie. Próbuje poradzić sobie ze mną z tamtego kąta. Próbuje mnie postawić w kącie. Jakąś ideę mnie w każdym razie. Nadal ma na mnie bezpieczne wytłumaczenie: miliarder kobieciarz i jego najnowsza tymczasowa zabawka.

Może to nie takie złe? Może, jak na ironię, moja zszargana opinia posłuży wspaniałemu celowi?

Utrzymywaniu jej emocji na dystans.

Bo to jasne jak cholera, że ja nie mam pojęcia, gdzie się podziały granice, które sam wytoczyłem.

Ani czy w ogóle istniały.

Bo teraz nie istnieją na pewno.

Zanurzam się w pięknie każdego jej ruchu, nawet gdy na powrót siada na fotelu. Obserwuję, jak przetyka ślinę, która spływa w dół jej szyi nieosłoniętej

uroczym kucykiem. Patrę z niecną dumą, jak w przeciwną stronę pnie się rumieniec. Jej twarz staje się tak cholernie cudowna, gdy powleka się tym odcieniem różu!

Przypominając mi, jak rozkosznie różowieją też inne części jej ciała.

– Raporty z jakiego okresu chciałbyś zobaczyć? – Jej głos jest surowy i rzeczowy, a ja znów się uśmiecham. Czy ona naprawdę myśli, że ta fasada sprawi, iż zmienię podejście na bardziej biznesowe? Jeśli tak, po co rozwiewać jej złudzenia? Ta menedżerska wydajność tak mnie podnieca, że aż muszę sięgnąć w dół i poprawić kutasa w spodniach, podczas gdy ona wpatruje się w monitor i porusza kursorem. – Udało mi się skatalogować ankiety satysfakcji za sześć miesięcy. Zamierzam wprowadzić cały rok, żebyśmy mogli określić trendy i skupić się na szkoleniach w dziedzinach, które najbardziej potrzebują poprawy. A skoro o tym mowa, już zauważyłam kilka ciekawych tendencji. No co?

Pytanie pada, gdy w końcu zerka na mnie i zauważa, że aktywnie jej słucham. Wsparłem ręce na podłokietnikach, palce splotłem na piersi.

A skoro już o tym mowa, nie zamierzam zwodzić jej słodkimi słówkami. Zasługuje na więcej. Na moją prawdę. Przynajmniej na tyle, na ile mogę ją wyjawić.

– Wiesz, że naprawdę interesują mnie te raporty, prawda?

Jej uśmiech rozbłyska niczym anioł odwiedzający piekło...

– Teraz już wiem. Dziękuję.

...a ja jestem demonem kryjącym się w podziemiach tego Hadesu. Zastanawiam się, jak długo muszę czekać, zanim stanie ze mną naga w płomieniach.

– Ale wiesz też, że nie przyszedłem teraz tutaj, żeby je przeglądać.

Kursor nieruchomieje na monitorze, ona odsuwa dłoń. Zauważa, że ja to zauważam, i kładzie na niej drugą rękę.

– Ma pan za sobą chyba dostatecznie długą noc, czyż nie, panie Richards? – Gdy posyła mi spojrzenie z ukosa, jej opanowanie osiąga status elektrycznej chmury. Nie potrafię odczytać źródła tej energii. Zdenerwowanie? Furia? Podniecenie? Mieszanina wszystkiego? Nie jestem pewien, czy chcę to wiedzieć. Tajemnica działa na mnie cholernie podniecająco. – To znaczy, biorąc pod uwagę, jak się odstawiłeś – mamrocze, wykręcając palce.

– Odstawiłem?

– Tak. – Rozplata dłonie i obrzuca mnie przelotnym, lecz pożądanym spojrzeniem. O kurwa, co to spojrzenie wyprawia z każdym centymetrem mnie! – To wszystko. To więcej niż zwykle, jak sędzę – kontynuuje. – Ten krawat

jest tak symetryczny, że na pewno wiązałeś go kilka razy. We włosach masz jakiś inny kosmetyk. Są gładkie, ale usztywnione, jakbyś nie chciał zawracać sobie nimi głowy. Masz też sztywniejsze buty. Domyślam się, że bolą cię stopy.

Mrugam. Dwa razy.

– Owszem. Bolą.

Ona również mruga. W jej spojrzeniu maluje się domyślna duma.

– Tak jak mówiłam. Długa noc.

Milczę przez chwilę. Nie muszę nic mówić, jeśli mogę odpowiedzieć jej takim samym nastawieniem, uśmiechając się znacząco.

– Może jednak to mnie pozostawi pani decyzję co do tego, jak długa będzie ta noc, panno Crist?

Oddech więźnie jej w gardle. Jej policzki oblewają się rumieńcem, stają się gorące i czerwone, gdy orientuje się, że moja dwuznaczna uwaga zmieniła powietrze pomiędzy nami w zmysłowy dym. Mój diabelski ogon podryguje, ostre rogi się wydłużają.

Zrywa się na równe nogi, atakując mnie falą znajomej energii, choć jej spojrzenie wskazuje, że coś całkiem innego czai się w jej umyśle i sercu. Powinienem czuć się jak gówno za to, jak ją usadziłem, ale dręczy mnie zbyt silna obsesja na punkcie jej prawdziwego siedzenia.

I tego, jak cholernie seksownie wygląda, gdy pochyla się, żeby mi je pokazać.

I jaka jest urocza z tym wyzywającym wyrazem twarzy, gdy zrzuca najpierw jeden but, a potem drugi.

Jaka jest zdumiewająca, gdy odpina i zdejmuje spodnie w prążki.

Mierzy mnie gniewnym spojrzeniem, przerzucając je przez oparcie fotela i kładąc jedną dłoń na biodrze.

– Właśnie o to ci chodziło?

Obchodzi biurko dziarskim krokiem, roztaczając aurę zdeterminowanej zmysłowości, która zamienia mój kutas niemal w precel. Gdy żądza przestaje być powodem lekkiego rozkojarzenia, a staje się centrum mojej uwagi, mruczę.

Emma podchodzi bliżej.

– Nie taki miałem cel, ale...

– Nie? – Obie dłonie opiera na biodrach.

– Nie. – Przełykam ślinę, z wysiłkiem próbując wykrztusić z siebie coś logicznego. – Tęskniłem za tobą, Velvet. Serio, tylko o to mi chodziło. Jeszcze dziewięćdziesiąt sekund temu.

Zmuszam się do zachowania spokoju. Nie jest to łatwe zadanie. Sprawiała, że nie sposób wygrać racjonalnie tej dyskusji, choć rozumiem, co kryje się za jej

oskarżeniem. Nie mieliśmy okazji wyjaśnić sobie spraw pomiędzy nami przez tych parę dni, zwłaszcza że postawiłem sobie za cel trzymanie się jak najdalej od hotelowej gorączki i pozwolenie personelowi, by zajął się bardzo liczną grupą wycieczkową. Teraz więc pewnie nasza interpretacja „pracy zespołowej” w apartamencie 6969 – owszem, dostrzegam ironię – stała się gigantycznym wyrzutem sumienia, który można by podsumować słowami: „Kurwa, co ja właśnie zrobiłam ze swoim szefem?”.

I to niejednym razem.

Cholera.

Podchodzi jeszcze bliżej, a mnie od razu wpada w oko wąski pasek włosów pod panelem na jej kroczu. Nie jest naga, ale pragnę jej tak, jakby była. Jestem bardziej podniecony niż kiedykolwiek dotąd w obecności kobiety. Każda doświadczona uwodzicielka, z którą byłem, to jak jedzenie sucharków w porównaniu z głodem, z jakim pożądam bogatego nektaru Emmy Crist.

– No to co chcesz teraz robić?

Pewniej stawiam stopy na ziemi i mocniej wspieram ręce na podłokietnikach. Sześć miesięcy więzienia na stole laboratoryjnym sprawiło, że niełatwo mi się odprężyć, gdy ktoś inny sprawuje kontrolę, ale wyczuwam, że Emma pragnie teraz mojej uległości.

Może jeśli będę mieć szczęście, jeszcze nacieszę się owocami swojej wspaniałomyślności.

– Hm. Może ty mi powiesz, Velvet?

Przechyla głowę. Długi złoty warkocz nurkuje w zagłębieniu jej dekoltu.

– W jakim sensie?

Znow nabieram powietrza, pozwalając, by jej wzrok zawędrował ku wybrzuszącemu się materiałowi moich spodni.

– W jakim tylko chcesz.

Przysuwa się. Pożeram wzrokiem jej zmysłową kremową chwałę i wydaję głęboki pomruk, gdy mój kutas również podryguje z aprobatą. Mam taką erekcję, że aż boli, ale nie ma mowy, żebym chciał znaleźć się w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi.

Mój wybuch przyciąga wzrok Emmy. Kącik jej ust unosi się w rozkosznym uśmiechu. Niech to szlag. Naprawdę jej do twarzy z tą odrobiną władzy.

– Panie Richards – mruczy w końcu.

– Panno Crist.

Odrzuca do tyłu głowę i warkocz, a moje podniecenie jeszcze się wzmacnia. Ten zabawny gest pokazuje, że podoba się jej to oddanie wodzy. W jej oczach

skupia się całe światło świata.

Zaciskam palce na podłokietnikach. Przesuwam biodra do przodu. Zaciskam zęby. Wciąż jeszcze nie czuję się komfortowo jako poddany, ale moje kutas i jaja raczej się tym nie przejmują.

– No dobrze. – Podchodzi jeszcze bliżej. – Może po prostu przejdziemy do rzeczy?

Moje oczy ogromnieją.

– Przejdziemy do...

– ...rzeczy – powtarza i dla podkreślenia swoich słów kiwa głową, konkretnie i seksownie. – Wiesz, o czym mówię. Koniec z ckliwą szmirą. Z gładkimi słówkami. Z garnirunkiem na talerzu z przystawkami. Może w ogóle zrezygnujemy z przystawek?

– Uch... – wykrztuszam, gdy rozkłada nogi i dosiada mnie okrakiem.

Stęknienie przechodzi w jęk, gdy zaczyna mnie całować, wodząc swoim językiem po moim i leniwie rozkoszując się władzą.

Gdy się od siebie odrywamy, oboje oddechujemy nieco ciężiej. Ona zanurza palce w moich włosach i szarpie mocno.

– Chcę być na ciebie zła.

– Dlaczego?

– Bo nie powinnam tak bardzo tego pragnąć. – Przysuwa się, zamyka oczy i opiera czoło na moim czole. – Nie powinnam tak bardzo pragnąć... ciebie.

– To znaczy tak, jak ja ciebie potrzebuję? – Kładę akcent na czasowniku.

Mój głos staje się ochrypły. Dźwięk zamienia się w pomruk, gdy wsuwam obie dłonie pod jej bluzkę, rozkoszując się kontaktem z ciepłą, miękką, sprężystą skórą.

– Muszę czuć, że to jest niewłaściwe.

– Wiem.

– Ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że to właśnie bardzo właściwe.

– Wiem. – Przyciągam ją do siebie. – Niech to szlag. Emmalino...

Jej wilgotny i ciepły trójkącik wpasowuje się niczym klucz w moje krocze, otwierając drzwi podniecenia w mojej psychice. Nie, to coś więcej. Jeśli faktycznie jestem superbohaterem tego miasta, ona jest moją sekretną słabością. Rysą na mojej tarczy. Kamieniem, który obali moją wieżę. Czarodziejką, która powali mnie na kolana.

Tak, właśnie teraz.

Tak, dla miejsca, które tak bardzo pragnę jej pokazać

Do diabła z samokontrolą!

Tak, dlatego właśnie nagle odpycham fotel do tyłu, by móc opaść przed nią na kolana.

Tak, dlatego zaciskam dłonie na jej pośladkach, by ją unieruchomić i podsunąć sobie jej łono pod nos. Dolna połowa jej ciała znajduje się teraz pod moją kontrolą.

Jej zbroja pęka na moich oczach.

O kurwa. Właśnie tak.

Może ta wymiana władzy powinna odbywać się w dwie strony?

– Och! – jęczy, gdy zaciągam się jej seksownym aromatem. Jest jak ambrozja. Pachnie piżmowym miodem i jedwabistą słodyczą, aż ślinka napływa mi do ust nad tym satynowym trójkąciem. – Och. Ach. Och.

Te odgłosy to symfonia pożądania, osiągająca apogeum na jej kończynach i skórze. Jej mięśnie tężeją pod moimi palcami.

– Tak – mówię głośno i kończę z apodyktycznym jękiem na szwie jej majteczek. – Tak, mała Velvet.

– Oooh. – Wypycha biodra, ułatwiając mojemu językowi wsunięcie się pod materiał. – Reece. Reece. C-co ty...

– Smakuję swój posiłek. – Rozkoszuję się wibracją zarówno każdej sylaby na jej wargach, jak i jej reakcjami. Pod wpływem moich badawczych ust dygocze, zaciska się, wije i drży, jęczy i krzyczy. – Tak jak kazałaś, piękna.

– Nie. Nie to miałam... – Urywa, najwyraźniej zapomniawszy, co chciała powiedzieć.

– Nie to miałaś na myśli? – Nie waham się jej prowokować. Uśmiecham się nawet, gdy słyszę jej syk. – A co miałaś na myśli, gdy kazałaś mi przejść do rzeczy? – Sięgam dłonią, odsuwam satynowy trójkącik i obnażam ucztę jej intymności. – Bo, Velvet, to jest właśnie to, do czego chciałem przejść.

– Ale ja...

– Sza. Pozwól mi się tym nacieszyć.

Pozwała mi liznąć tylko kilka razy i znów zaczyna protestować.

– To nie jest... Aaach!

– To nie jest co? – Uśmiecham się jak samiec alfa, po czym skubię zębami jej wargi.

Jej cichy okrzyk świadczy, że to dobry pomysł.

Wyrywa się, walcząc z żelaznym uściskiem moich palców na udach.

– To nie jest cholerny posiłek!

– A co takiego?

– To jesteś ty, zmuszający mnie...! – prycha. Staje się przez to jeszcze bardziej

kuszająca. – To jest... To jest...

– ...deser? – Pochyliam się, by jeszcze parę razy skubnąć jej cipkę. Chryste, jest taka soczysta. Taka mokra. Taka różowa, bujna i kusząca. – Mnie to nie przeszkadza. Przecież wszyscy najbardziej lubią deser.

– Ale...

– Cicho.

– Ale...

– Cicho!

Teoretycznie jej gardłowy jęk nie oznacza całkowitego poddania. Ale stanowi cholernie dobry jego substytut. Kiedy językiem uwalniam jej najśłodszy guziczek z ochronnego kapturka. dźwięk elektryzuje i powietrze, i moją krew. Gdy tylko dotykam sztywnego czubeczka jej kobiecości, ona znów wydaje okrzyk.

Zaczynam grzesznie ssać. Jej kolana miękną, ale jestem na to gotowy – podpieram ją całym sobą.

– O mój Boże...

Nie zamierzam teraz domagać się jej milczenia. Prowadzę ją na miejsce, kładąc jedną z jej dłoni na biurku, a jej nogę przewieszając sobie przez ramię.

– Trzymam cię, króliczku – mówię w jej łono, po czym znów zanurzam język w jej cierpkim owocu. – Pochyl się. Odpręż. Trzymam cię.

Przez jedną niewiarygodną sekundę to właśnie robi. Ciężar jej ciała, jej zaufanie – to prawie tak dobre, jak wdzieranie się w nią głęboko kutasem, o czym moje ciało informuje mnie wyrzutem spermy w slipy.

Jęczę pod wpływem tej rozkosznej tortury, lecz ona interpretuje ten odgłos niewłaściwie.

– Ale... Ale kto trzyma c-ciebie?

Jej głos drży, tak jak jej łechtaczka, podniecony, niepewny, jakbym uniósł ją z podłogi siłą woli. Tymczasem ona to samo zrobiła właśnie moim zmysłom. Sztywniejący pręt w moich spodniach jest gotów wyskoczyć na pokład z podobnym planem.

Lewitacja dla wszystkich. Tak, kurwa.

– To już jest moje zmartwienie.

Zanurzam się władczo pomiędzy jej wilgotne fałdki, nie dając jej innego wyboru niż uległość. Choć z jej gardła wyrывa się zduszony pomruk, jej mięśnie odprężają się pod moimi palcami. Zaciska dłonie na moim karku i wbija pięty w mój kręgosłup.

– Oooch. Nie.

Jej jęki są gardłowe, lecz wysokie, gdy chciwie pieścę językiem jej soczystą

dziurkę, z góry na dół i z dołu do góry, akcentując każdy ruch zdeterminowanym pchnięciem w jej ciasną szparkę. Ale nie do końca. Jeszcze nie. Ten moment dopiero nadchodzi.

Na samą myśl z mojego kutasa ulewa się więcej. To tortura i zachwyty w tym samym zmysłowym momencie. Niewiarygodne. Czy to naprawdę się stanie? Czy ta kobieta sprawi, że eksploduję w spodniach od samego tylko zaszczytu pożerania jej cudownej cipki? To najsoczystszy owoc, jaki kiedykolwiek otworzyłem. Najśłodszy deser, jakim się rozkoszowałem. Najbardziej oszalamiająca kobieta, jaką zadowolilem kiedykolwiek.

Nieważne, że nie jestem w niej. Na wiele przerażających sposobów ona już znalazła się we mnie.

– Spróbuj czegoś nowego, Velvet – warczę w jej seksowny szew. – Spróbuj cudownego „tak”.

Na żartobliwą nutę w moim głosie odpowiada delikatnym szarpnięciem za moje włosy. Nie ma zamiaru ulec sugestii, która wcale nie była sugestią. Informuję ją o tym, przelotnie podgryzając wewnętrzną stronę jej uda.

– Och!

– Chyba miałaś na myśli: „Och tak”?

– Ty chyba sobie żar... Och! – Kolejne ukąszenie, tym razem na szczycie łechtaczki, co sprawia, że cofa się o kilka centymetrów. Na więcej nie pozwalam. – Niech to szlag! – jęczy gardłowo. – Niech to... Och, Reece!...

Nie po raz pierwszy kobieta wydyszała do mnie te słowa. Dlaczego zatem mam wrażenie, że to pierwszy raz? Dlaczego poraża mnie zachwyty, którego nigdy jeszcze nie czułem, dlaczego przepelnia mnie moc, jak mi się wydaje, bez powodu? Logiczne wyjaśnienie mam tuż przed oczami – mój kutas był tak skandalicznie zaniedbywany przez cały rok, że teraz całkowicie przejął dowodzenie nade mną. Ale to wyjaśnienie jest rozpaczliwie i nieprawdziwie. To konkretne pożądanie, które czuję do tej jednej kobiety. To coś więcej niż zakończenie długiego postu.

O ile więcej?

Nie jestem tym samym człowiekiem, którym byłem rok temu. „Przyjaciele” Angeliqe zmienili kolor moich oczu. Długość nóg. Odporność moich mięśni. Chemię mojej krwi. Ile pozostało mnie we mnie? I czy to ta właśnie część zakochuje się w tej kobiecie? Czy może wszystkie te doznania to całkiem nowy ja, feniks, który powstał z popiołów? Jeśli tak, to co ja w ogóle wiem o nim? I o tym, co on jest w stanie dać kobiecie takiej jak Emmalina?

Kobiecie, która pragnie więcej. Która zasługuje na więcej. Która powinna

mieć wszystko.

Wszystko, czego żadna część mnie nie będzie w stanie jej dać na dłuższą metę. Ponieważ ostatecznie, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, niedługo będę martwy.

Ale teraz, tutaj? Dać jej ostateczną rozkosz? Ustami obdarować ją najbardziej wstrząsającym orgazmem, jaki przeżyła kiedykolwiek?

To mogę zrobić.

Tego nie udało im się wypędzić z mojej świadomości elektrowstrząsami.

Przyzywam to wszystko siłą woli. Wykorzystuję każdą sztuczkę w swoim repertuarze, by Emma rozkwitła, otworzyła się, podnieciła, uległa. Muskam językiem jej cipkę nowymi ruchami i pociągnięciami, zachęcany jęczeniem, okrzykami, pchnięciami i poszturchiwaniem. Im intensywniej reaguje, tym bardziej angażuję się ja. Mój świat ogranicza się do oszałamiającego drżenia jej ud, zmysłowej opery jej oddechów i idealnych wibracji cipki, którymi zaprasza mnie, bym sięgał głębiej.

Głębiej.

Gdy to robię, mój kutas twardnieje. Coraz bardziej.

– O. Kurwa.

Strumień jej miodu napełnia mi usta. O tak. Kurwa. To takie dobre.

– Reece!

Zaczyna protestować, próbuje się odsunąć, ale ja przyciągam ją jeszcze bliżej. Zaciskając dłonie na jej pośladkach, jestem w stanie ukryć blask moich palców. Podwójne zwycięstwo?

Ten gest sprawia, że bardziej się otwiera, narażając rozgrzaną cipkę na nową inwazję.

Gdy unosi biodra nieco wyżej, ja zanurzam się głębiej. Jej uda naprężają się, dygoczą. Jej pośladki się zaciskają.

– M-myślałam, że chcesz mnie zerżnąć.

– Och, chciałem – warczę. – I jeszcze to zrobię, Velvet. Możesz mi wierzyć.

Wyczuwam w niej wewnętrzny konflikt – zapewne przygotowuje się na to, że zaraz wstanę, popchnę ją na biurko i wedrę się w nią. Oczywiście, wdzieram się. Językiem, który zanurzam w jej ciasnej szparce.

Zaciska dłoń w pięść na moich włosach. Ta druga ślizga się po biurku. Długopisy, papiery i butelka z wodą spadają na krzesło. W powietrzu rozlega się jej kolejny okrzyk.

Nie ustępuję.

Ona tego potrzebuje.

Czuję to w każdym centymetrze jej aksamitnych ścianek, które zaciskają się na moim języku i wciągają mnie w głąb jej rozdygotanego ciasnego wnętrza.

Ja tego potrzebuję.

Mój kutas, który nieustępliwie ociera się o materiał spodni, informuje mnie o tym z pulsującą jasnością. Moje jądra głośno mu kibicują, ignorując wysiłki, gdy próbuję poprawić spodnie. Dla tych frajerów to już nie jest kwestia „czy”, lecz „kiedy”. Choć jestem już prawie pewien, jak to się zakończy.

Wybuchnę razem z nią.

Kurwa, jak ona wybuchła!

– O wow. – Jej głos jest drżący i ochrypliwy. Ciało napięte i rozdygotane. Jej cipka jest gorąca i mokra. – Och, Reece. Ja... Ja...

Głos słabnie, gdy kontrolę przejmuje ciało, przekazując mi resztę.

Gdy tylko zaczyna pulsować wokół mnie i zalewa mój język kremem orgazmu, moje jaja kierują nieustępliwym ogniem do mojego kutasa. Ekspodują, przerażony i rozbawiony zarazem. Doszedłem jak szalony nastolatek! Z błogości zapewnienia jej rozkoszy!

To takie przyjemne. Tak cholernie przyjemne. I niepokojące. Przeróżające. Do tego stopnia, że na długą chwilę nieruchomieję.

Kurwa.

Właśnie się spuściłem – i to dosłownie – ponieważ przedłożyłem czyjeś potrzeby ponad własne. To kompletnie do mnie niepodobne, nie ma nic wspólnego z tym wszystkim, czego nauczył mnie Lawson Richards wieki temu. Na łodzi taty liczyło się tylko jedno: „Każdy troszczy się o siebie”. To dla patriarchy naszego rodu wartość, istotna o tyle, że właśnie dzięki niej jeszcze mnie całkiem nie wydziedziczył. Cieszył się w duchu, łądak, z tej mojej gówniarskiej rebelii. Okazało się, że mam kręgosłup, którego ani Chase’owi, ani Tyce’owi nie udało się wyhodować. I to właśnie z jego powodu zachowywałem się tak, jak się zachowywałem przed swoim spektakularnym upadkiem.

A może nie?

Gdyby moje życie nie potoczyło się dokładnie w ten sposób, nigdy nie dotarłbym do tego miejsca i najbardziej niezwykłego objawienia w całej mojej egzystencji. Ta właś-

nie chwila ma więcej sensu niż całe dwadzieścia siedem lat przed nią. U stóp osoby, która mnie tutaj doprowadziła.

Kobiety, przed którą upadłem na kolana. Dosłownie i w przenośni. Całkowicie.

Straciłem głowę dla tej istoty, która powoli osuwa się obok mnie, wstrząsana

ostatnimi paroksyzmami orgazmu, i układa mi się na moich kolanach jak kociak. Autentycznie zaczyna mruczeć, gdy zataczam palcami małe kółka na jej karku. Miękki blask oświetla pasma jej warkocza.

Biorę głęboki oddech, próbując nieco przygasić te miecze świetlne. Pulsują już tylko macierze paznokci, dostosowując się rytmem do bicia mojego serca. Próbuję je uspokoić, ale nie jest to łatwe, gdy jej twarz pochłania całą moją uwagę. Maluje się na niej satysfakcja, bije od niej blask. A ja rozkoszuję się świadomością, że ta błogość zaspokojenia to moja zasługa.

Po kilku minutach milczenia Emma bierze głęboki miękki oddech.

– Panie Richards?

– Tak, panno Crist?

– Musimy przestać się tak spotykać.

– Całkowicie się zgadzam.

Nerwowo unosi powieki. Jej źrenice są ogromne, akwamarynowe i zaniepokojone.

– Tak? – Jej twarz oblewa się rumieńcem. Emma odchrząkuje pośpiesznie. – To znaczy, oczywiście, że tak. – Zerka na swoje nagie ciało. – To się robi niedorzeczne.

– Znów muszę się zgodzić. – Czuję się trochę gównianie, że wprowadzam ją w błąd, ale tylko trochę. Czasami cel uświęca środki. Tylko zbijając ją z tropu, zdołam odrzec ją nieco z jej zbroi i pokazać jej powagę tego, co rodzi się pomiędzy nami. – Powiedziałbym nawet, że to po prostu głupie.

– Cóż. – Sztywnieje i próbuje się podnieść. – Dobrze, w takim razie...

– Och, nie ma w tym nic dobrego.

– Słucham?

Otoczam ją ramieniem w talii, uniemożliwiając ucieczkę.

Resztki lodu topnieją, gdy zaczynam ją całować, nie przestając, dopóki nie otworzy się na dominację mojego języka. Gdy w końcu się odsuwam, pozostawiam ją niezaspokojoną. I dobrze. Nie otrzyma żadnego wsparcia od mojego spojrzenia, które wbijam w nią, kładąc drugą dłoń na jej karku.

– No tak – mamroczę. Mój oddech się rwie. – To naprawdę głupie. I dlatego następnym razem nie chcę widzieć żadnych raportów ani ścierek do kurzu.

– Co takiego? – Jej oczy płoną. Jestem rozdarty pomiędzy pokusą uśmiechnięcia się do niej a pragnieniem pocałowania jej. – Zaraz. Następnym ra...?

– Ten raz nastąpi przed upływem dwóch nocy. W zasadzie nie godzę się nawet na jedną noc.

Marszczy brwi.

– Reece, co ty...

Uciszam ją pocałunkiem. Jest przelotny, pobieżny, bo jeszcze nie skończyłem.

– Co ja? – powtarzam. – Ja, Emmalino, mam już tego dość. Dość nas i naszego stosunku do tego.

– Tego?

– Tak. Do tego. Do nas.

Na jej zbroi pojawia się mała rysa. Kąciki jej ust unoszą się nieco, a jej oczy rozbłyskują, jakbyśmy stali w pełnym słońcu.

– To jest jakieś „nas”?

Gdy to słowo pada z jej ust, mam wrażenie, że przygniata mnie do ziemi ciężar, od którego może mnie uwolnić tylko jedno zdanie.

– Teraz już jest.

Tak. O tak. Idealnie. Doskonale.

Znów czując lekkość, czule muskam wargami jej usta.

– Ale to nie znaczy, że musimy teraz cokolwiek definiować. – Miód jej ust jest tak cholernie kuszący. – Żadnych przewidywań ani prognoz. Żadnych definicji ani szufladek. Nikt nie będzie nam mówił, czym jesteśmy albo nie jesteśmy. Tylko to się liczy. Tylko magia. Tylko my, okej?

Wydaje wysokie, miękkie westchnienie.

– Okej.

– Jeszcze jedna sprawa. – Mocniej szarpię ją za włosy, by skupiła się na mnie. – Odmawiam dalszego pieprzenia cię na podłogach, stołkach i wszystkich innych meblach niezaprotowanych po to, byś leżała na nich nago i horyzontalnie.

Znów się uśmiecha. Jest tak cholernie cudowna.

– Okej.

Szarpię jeszcze raz. Jej uległość sprawia, że postanawiam spróbować szczęścia.

– Dlatego też, gdy jutro rano skończysz dyżur, przyjdiesz prosto do penthouse’u.

Jej uśmiech staje się szerszy.

– Okej.

– I pozwolisz, żebym zrobił ci śniadanie.

Teraz jej uśmiech blednie, choć nie na tyle, żebym się zestresował. Jeszcze nie.

– Śniadanie. – Przechyliła głowę. – Ale przed czy po tym, jak położę się nago i

horyzontalnie?

Znów ją całuję. Nie potrafię się opanować. Opieranie się jej jest jak odmawianie sobie oddechu. Angażuję też język. Dużo języka. Jest szarpanie włosów, jej i moich. I dotykanie się, wszystkimi dwudziestoma palcami, gdy badamy, pieścimy, ściskamy i sięgamy, przypieczętowując tę nową więź pomiędzy nami w najbardziej pierwotny, najlepszy z możliwych sposób.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

EMMA

Wychodzę z biura, poruszając się jak we mgle. Otacza mnie gigantyczna różowa bańka, ale po raz pierwszy nie walczę z tym. Zachowuję się jak bohaterka kreskówki, nad której głową wirują ptaszki i gwiazdki albo – jak w wersji anime – której źrenice zamieniają się w wytrzeszczone serca.

Może to dobrze? Jeśli wszyscy będą się gapić na moje oczy, nie zauważą, że moje kolana zamieniły się w ciągutki. W zasadzie je także mogę spisać na straty.

Kolana nie są potrzebne, kiedy dziewczyna szybuje przez życie.

Okej, nie „Życie” pisane wielką literą. Na razie to tylko „życie”, wszystko minuskuła. Przecież Reece nie wkroczył do mojego biura i nie zamknął drzwi na klucz, by wręczyć mi pierścionek.

Chociaż na pewno udowodnił, jak potrafi być wspaniały, gdy klęczy.

Cudowny. Namiętny. Hojny. I śmiały.

Skradł mi oddech. Zażądał mojej kapitulacji. Porwał do gwiazd.

Tak, nawet teraz. Zwłaszcza teraz. Gdy tylko o tym pomyślałam, musiałam uchwycić się blatu biurka z matowego szkła, żeby nie stracić równowagi. Opuściłam też wzrok, żeby upewnić się, że stoję stabilnie na nogach, pomimo otaczającej mnie pastelowej chmurki. W stratosferze, do której uniósł mnie Reece Richards siłą jednego słowa.

„Nas”.

Muskam palcami wargi, powtarzając to szeptem. Czuję ich dotyk, co oznacza, że to musi być moje prawdziwe życie. Nie sen. Nie dziwaczny alternatywny świat, w którym Reece Richards nie jest ulubieńcem tabloidów i światowej klasy łobuzem i nie zakrada się z biura do windy z głupawym uśmiechem na ustach, wcześniej obwiązawszy się w pasie moją bluzą, żeby ukryć spodnie przemoczone od zadowalania mnie.

Cholera, ależ to była rozkosz! Jeszcze zanim przeszedł do czarowania. Do szczerości. Otwartości.

Do słowa, które zmieniło wszystko.

– Nas – nucę, niemal jak w piosence, przeglądając dziennik usług dla gości przy stanowisku recepcyjnym.

Jest tutaj również Fershan, rozmawia przez telefon na drugim końcu. W lobby panuje większy ruch niż zwykle, zapewne przez znużoną wycieczkę, która

postanowiła upić się w barze. Zostaję więc, na wypadek gdyby Fersh potrzebował wsparcia. Poza tym z głośników płynie niezła piosenka. Klasyk. W nastroju równie pogodnym jak melodia zaczynam cicho podśpiewywać refren.

– *Excusez-moi, mademoiselle?*

Wyłączam metaforyczny mikrofon w połowie wersu.

– Co? To znaczy, dobry wieczór pani – jąkam się. – Przepraszam. Sprawdzałam coś i...

– Zaczęła pani śpiewać? – pyta blondynka, oszałamiające połączenie Catherine Deneuve i Gwen Stefani, z odrobiną francuskiego akcentu dla egzotyki. Prawie otwieram usta, gdy unosi kącik swoich nieskazitelnie szkarłatnych warg w leniwym uśmiechu. – Czym byłby świat bez piosenek, *n'est-ce pas?*

– Słuszna uwaga – odpowiadam uprzejmie, lecz z rezerwą. Dlaczego to stworzenie w czarnej kaszmirowej sukience, o paznokciach z czerwono-czarnym efektem ombré wywołuje mrowienie na mojej skórze i niepokój w moim sercu? Okej, nie licząc kwestii oczywistych: bo jest światowa, wyrafinowana, a jej długie palce mają więcej seksapilu niż cała ja. Tak jednak bywa w wypadku połowy kobiet, które tu spotykam, więc to nie może być powód. Jest w niej coś jeszcze. Dystans, ale też czujność. – Jak mogę pani pomóc, *madame?*

– *Mademoiselle...* – Poprawia mnie beznamiętnie, przekrzywiając głowę. – ...La Salle. – Elegancką dłonią wręcza mi wizytówkę, której jeszcze dwie sekundy temu nie miała.

Wygrawerowany nagłówek zdradza mi jej imię. *Angelique.*

Oczywiście.

Niebiańskie imię dla kobiety, która mogłaby przywieść do grzechu tuzin mnichów. Jednocześnie.

– Handel międzynarodowy. – Czytam w następnej linijce. Poza tym na wizytówce jest jeszcze tylko numer telefonu poprzedzony kodem międzynarodowym. Nie ma nazwy firmy ani żadnego konkretnego stanowiska. A mnie z jakiegoś powodu ogarnia pokusa, by się tego dowiedzieć. – Brzmi kosmopolitycznie.

– Można tak powiedzieć.

– Czym pani handluje, jeżeli mogę spytać?

– Starociami. – Jej ton pozostaje obojętny. – Antykami. Wyjątkowymi znaleziskami. Arcydziełami sztuki.

W końcu się porusza i opiera łokieć na blacie. Przeciąga ostatecznie głoski z osobliwym akcentem. I nagle uświadamiam sobie, że ona raczej nie mówi o

renesansowych popiersiach ani olejowych obrazach dziewic wdzonych na pokuszenie przez diabły.

Mimo że teraz czuję się jak jedna z tych bezradnych panien. Unoszących wzrok do nieba i nieświadomych tego, że zaraz zgwałci je Lucyfer.

Doprawdy, co też chodzi mi po głowie?

To zapewne dlatego, że zapomniałam o moim proteinowym batoniku i jogurcie, ponieważ ucztował na mnie mój szef. Mój mózg pożera sam siebie i zaczął od logicznego myślenia.

Deficyt logiki to jednak jeszcze nie powód, by zachowywać się nieuprzejmie.

– Jak mogę pani pomóc, *mademoiselle* La Salle? – Na powrót koncentruję na niej wzrok. Kaszmir wygląda na kosztowny, ciasno obejmuje jej zgrabną sylwetkę. Żadnych ozdób, nie licząc brylantowych kolczyków, które płoną takim blaskiem, że muszą być prawdziwe. Błyszczą też stopy obute w szpilki bez palców, z czarnymi wstawkami. – Potrzebuje pani transportu? – Uśmiecham się porozumiewawczo. – Nie ubrała się pani w ten sposób, aby pozostać w naszym barze. Kim jest ten szczęściarz, z którym się pani spotka?

W jej śmiechu pobrzmiwa elegancka chryпка.

– Och... Już się spotkaliśmy.

– Och. – Znacząco podnoszę brew. – To wiele wyjaśnia.

– *Comment ça?* Wiele czego?

– Właściwie wszystko. – Kiwam głową. – Tu, w LA, nazywamy to aurą. Energią. Francuzi mają na to zapewne jakiś bardziej melodyjny termin.

– *Je ne sais quoi?*

– Brzmi nieźle. – Uśmiecham się do niej, ale gdy odpowiada mi jedwabista cisza, powracam do bycia zagapionym okularnikiem, który próbuje zagadać do królowej balu maturalnego. – No tak. Po prostu widać, że jest pani kobietą, którą czeka świetny wieczór.

– Hm. – Pochyla się nieco. Wygląda jak kot wpatrzony w miskę śmietanki. Mam wrażenie, że mnie obwąchuje. – To zależy od tego, jak definiuje się dobrą zabawę. – Jej oczy, ogromne i pytające jak u syjamskiego kota, podnoszą się na moją zaczerwienioną twarz. – Myślę, że pani również dobrze się dzisiaj bawiła, droga przyjaciółko?

Żar zalewa moje policzki. Ona uśmiecha się szerzej.

Macham dłonią.

– Ja pracuję.

– Hmm. – Ponownie przeciąga głoski, unosząc z rozbawieniem brew. – Oczywiście. – Kładzie jedną dłoń na drugiej i obie opiera na blacie. Porusza się z

kocią gracją, niczym dziewczyna Bonda w jednej z tych scen, kiedy nie wiesz, czy masz do czynienia z grzeczną dziewczynką, czy z zabójczynią. – Czyli tylko wyobrażam sobie ten interesujący zapach na pani, tak?

Moje podejrzenie się potwierdza i wprawia mnie w zakłopotanie. Ona naprawdę mnie powąchała!

– Do pracy spryskuję się tylko lekką wodą toaletową – mówię. – Może w pani stronach to dziwne, ale w moich to zwykła uprzejmość.

– Ach. Oczywiście. – Wycofuje się i przechyla głowę. – *Desolée*. Nie chciałam być wścibska. To tylko...

– Co takiego?

Jestem bardziej poirytowana niż zaciekawiona. Jedyne stworzenie zafascynowane kocią zabawką to sam kot. Chociaż w jej wypadku na końcu sznurka znajduje się tabliczka psychologicznej czekolady. Mam tylko nadzieję, że bez arszeniku.

– *C'est rien*. – Znów uśmiecha się półgębkiem. Zero szczerości. – Nic, nic.

Odwzajemniam spojrzenie z osobliwym entuzjazmem. Obracając się w najwyższych kręgach Orange County, gdzie irytował mnie co drugi pretensjonalny dupek, opanowałam tę umiejętność do perfekcji. Zamęcz ich uprzejmością. A jeśli nie stać cię na nią, udawaj.

– W takim razie jak mogę pomóc, *mademoiselle*?

– Ach.

Unosi palec, a ja reaguję tak, jakbym spodziewała się zobaczyć na nim sznurek. Kobieta otwiera jednak swoją torebkę od Balenciagi z graficznym nadrukiem i wyjmuje z niej coś o wiele ładniejszego niż sznurek. Spinki do mankietów są proste, lecz kosztowne, takie srebrne ramki z czarnymi brylantami. Z rodzaju tych, których żaden mężczyzna nigdy by nie kupił, ale każdy nosiłby je z dumą, gdyby podarowała mu je wyjątkowa kobieta.

– Ach – powtarzam znacząco. I z ulgą. Deneuve ma jednak jakąś słabość. – Oszałamiające.

– *Merci*.

– A mężczyzna, dla którego są przeznaczone? – Zapuszczam się na ten teren, ale ostrożnie.

– Równie oszałamiający.

Ulgą tak po prostu znika, choć tym razem w jej miejsce nie pojawia się nerwowość. Raczej konsternacja.

Jej słowa nie pasują do wyrazu jej oczu. *Je ne sais quoi* poszło *au revoir*.

– Niestety, daliśmy się ponieść rozmowie. Zostawił je w samochodzie.

– Cóż. – Próbuje skupić wzrok na monitorze, przełączając się na księgę gości, żeby nie gapić się na tę jej tajemniczą minę. Bez powodzenia. Ta kobieta w osobliwy sposób przykuwa uwagę. Nie uśmiecha się, ale jej tęsknota jest wręcz wyczuwalna. – To musiała być ciekawa rozmowa.

– Z nim często tak jest.

To nie twoja sprawa, Emmo.

Mademoiselle La Salle i ja już zbyt długo wymieniamy się niepotrzebnie informacjami.

– A jego nazwisko? – O, proszę. Serdecznie, lecz obojętnie. Zapewne od początku tego właśnie oczekiwała. – Żeby mogła zadzwonić do jego pokoju – dodaje. – Chyba że woli pani, bym przechowała je w hotelowym sejfie, a w pokoju zostawiła wiadomość.

Kolejne zwycięstwo profesjonalizmu.

Niestety, w tej samej chwili kobieta postanawia wybuchnąć lekkim śmiechem.

– W pokoju? Och, on nie jest gościem tego hotelu, *mon amie*.

Moja twarz wykrzywia się w grymasie. Wokół mojej piersi zaciska się imadło.

– On... Co takiego? – jąkam się, choć wszystkie moje instynkty krzyczą, wiedząc, jaka będzie odpowiedź. Obawiają się jej.

– *Non*. – Znow uśmiecha się znacząco. – On jest właścicielem. Znasz go, *oui*? *Monsieur* Richards.

Wystrzeliwuję ze swojej mgły tylko po to, by zanurzyć się w innej. Mroczniejszej. Koniec z chmurami z waty cukrowej. Szarość Sherlocka i czerni Kuby Rozpruwacza to nowe kolory, które widzę teraz przed moimi oczami i które mnie paraliżują.

Jakimś cudem udaje mi się wykrztusić wymówkę, która jest o wiele prawdziwsza niż ta kobieta może się domyślać. Mówię, że źle się poczułam. Przekazuję ją pod opiekę Fershana i odchodzę chwiejnym krokiem. Jak najdalej stąd. W jakiś ciemny kąt. Do pustego biura. Gdzieś, gdzie będę mogła dać upust szokowi, przeklinać i walczyć z mdłościami.

Niestety.

– Hm? Skarbie?

Neeta znajduje mnie w pokoju ksero – tyłek opieram na niszczarce, głowę zwiesiłam pomiędzy nogami nad pustym koszem.

Powrót do biura nie był dobrą opcją. Nie po tym, co właśnie zrobiłam tam z Reece'em.

Po tym, co on zrobił wcześniej z *Angelique* La Salle.

„My”.

Perfekcyjne zakłęcie.

Przy niej też je wykorzystał? Przed czy po tym, jak uwolniła go od tych spinek? Jeśli odpięła spinki, musiała też zdjąć mu koszulę. Ja nigdy nie widziałam go bez koszuli. A jeszcze godzinę temu dwa pomieszczenia stąd pozwoliłam mu, by wizją „nas” wmówił mi, że istnieją różowe zamki z piasku, wirujące gwiazdy i omlety pieczone w tej jego dekadentckiej dizajnerskiej kuchni.

Ta myśl znów sprowadza mgłę. I mdłości.

– Skarbie. – Neeta przysiadła w kucki obok mnie. W jej oczach maluje się troska. – Co się stało?

– Nie wiem. – Nie kłamię. Przecież nie wiem, kim naprawdę jest Reece Richards. Czy przez cały ten czas miałam wypisane na czole „naiwna” i „zdesperowana”? – Miałam jakiś atak. – Zaczyna mnie mdlić jeszcze bardziej, gdy uświadamiam sobie, że jego kłamstwo z początku tygodnia zapewni mi teraz doskonałe alibi. – Może wcale się nie pozbyłam tej grypy żołądkowej?

Twarz Neety tężeje. Kręci głową.

– I w obu wypadkach spędziłaś najpierw trochę czasu w towarzystwie Reece’a Richardsa...

Wydaję przeciągłe westchnienie.

– Kobieto, przecież ten facet to nie jest wirus Zika!

– Jest równie dziwny. – Kręci głową. – Przystojny, ale dziwny.

– Odmawiam kontynuowania tej rozmowy. – To też prawda. Lecz zarazem wygodne przejście do prawdziwego problemu. – Ja... Ja chyba muszę wracać do domu.

Wszędzie, tylko nie tutaj.

Nie w środowisku, które on kontroluje. Potrzebuję miejsca, w którym mogę pomyśleć.

Nie, lepiej takiego, gdzie mogę przestać myśleć.

– Oczywiście. – Neeta podnosi się i zerka na zegarek. – Ale dochodzi jedenasta. Dasz sobie radę sama w metrze? Może Fersh albo Wade odwiozą cię...

– Mowy nie ma.

W duchu gratuluję sobie, że uparłam się, by Z. wysadzał mnie za zakrętem. Jestem przekonana, że teraz czeka w tym samym miejscu, a to świetna wiadomość. Do metra idzie się w przeciwną stronę.

Zresztą wszystko mi jedno. Nie muszę się spowiadać jego pracodawcy.

To dziwne, ale podnosi mnie na duchu to, że znów jadę metrem, zwłaszcza o tej porze. Godziny szczytu minęły już dawno, dzięki czemu mam więcej przestrzeni, by odetchnąć. I pozostaję anonimowa. Łomot wagoników również mi odpowiada – to doskonały partner sparingowy dla szалу moich zmysłów i burzy w sercu.

Ostatni przystanek linii fioletowej to Union Station.

Przechodzę na peron linii żółtej ze zwieszoną głową i ramionami. Wieczór jest ciepły, w czerwcowym powietrzu czuć już lato, ale ja nie mogę opanować dreszczy. I choć nienawidzę zimna, ten chłód witam z radością. Nie chcę, żeby było mi ciepło. Nie chcę nawet myśleć o ostatnim razie, kiedy czułam ciepło.

Zaledwie godzinę temu.

Całe życie temu.

Złamane serce temu.

Kiedy chichotałam na widok tyłka Reece'a owiniętego moją bluzą i jego zawstydzonego uśmiešku.

Zapytał, jakie jajka lubię. Odparłam, że „gorące i twarde jak twój niezły tyłeczek, panie Richards”.

Uśmiechnął się jak wariat i powiedział, że w takim razie zasłużyłam też na szampana do śniadania.

Ciekawe, jakie jajka lubi Angelique. I czy ona też pija szampana do śniadania.

Nadjeżdża pociąg. Wchodzę do wagonu chwiejnym krokiem, ze łzami w oczach.

Gdy w końcu się uspokajam i wydmuchuję szklankę glutów w chusteczkę, uświadamiam sobie, że przeryczałam trzy przystanki.

Jadąc w złym kierunku.

Jęczę w trzech różnych oktawach, wpatrując się gniewnym wzrokiem w reklamę salsy nad drzwiami. Są na niej trzy papugi w strojach *mariachis*. Mają nawet małe haftowane kamizelki i sombrero. Z ich ptasich oczu wylewa się upokorzenie.

– Wy też macie trudny wieczór, co?

Wysiadam na następnym przystanku. Pociąg odjeżdża, a ja zostaję na peronie sama, czekając, aż przyjedzie skład zmierzający we właściwą stronę.

Nie, nie jestem całkiem sama, jeśli wziąć pod uwagę rodzinę oposów kryjącą się w cieniu obok torów.

Przez peron przetacza się z wyciem powiew nocnego wiatru. Jest mi coraz zimniej, postanawiam zatem schować się przy drzwiach na schody. Od następnego pociągu dzieli mnie piętnaście, może dwadzieścia minut. Zaczynam

tęsknić za swoją bluzą z o wiele praktyczniejszych powodów.

– Myśl o ciepłe – mamrocę do siebie nisko, szorstko, żałośnie. – Myśl o Palm Springs. Myśl o gorącej kąpieli z bąbelkami. Myśl o Malibu w lipcu.

Tak. Malibu. Moje ulubione miejsce na długie popołudnia na leżaku z książką i puszką cactus coolera. Ten napój to jedna z moich słabości, pamiątka z dzieciństwa, zanim wszyscy przerzuciliśmy się na zieloną herbatę i witaminizowaną wodę.

Jaskrawopomarańczowy drink. Migoczący błękitny ocean. Bezchmurne turkusowe niebo. Tak jasne, że oczy bołą, gdy wpatrujesz się w horyzont. Taki błyszczący i srebrzysty...

Jak oczy Reece'a.

Nie.

Na powrót koncentruję się na Malibu. Potężny szum fal kontrastujący z ich łagodnym szmerem przy brzegu. Pełen siły i mgły...

Jak głos Reece'a.

– Nie, do cholery!

To zaledwie stęknienie, ale odbija się echem na schodach. Jak krzyk.

Odpowiada mi kolejny podmuch zimnego wiatru.

I cichy śmiech.

Kolejny.

Obejmując się ramionami, odwracam się i rozglądam wokół. Lecz wciąż widzę tylko oposy.

Zerkam na schody...

...i staję oko w oko z trojgiem pożądlivych spojrzeń.

Mężczyźni.

No dobra, chłopcy.

Chociaż kołyszą się na piętach, gapią i ślinią jak mężczyźni. Obserwują mnie jak sfora wygłodniałych wilków zająca. Próbuję uprzejmie skinąć głową, jednocześnie się cofając.

Wszyscy trzej idą za mną. Jeden z nich przyśpiesza i zachodzi mnie od tyłu.

– Dobry wieczór, panowie. – Staram się nie spodziewać po nich najgorszego. Kogo ja oszukuję? Robię to dla siebie. Nie mogę pozwolić, by mój strach sprowokował jeszcze bardziej to, co widzę w ich oczach. To chyba prawda. To, co mówią o drapieźnikach, które potrafią wyczuć strach. Z tą myślą wkładam dłoń do torebki. – Trzymam palce na gazie łzawiącym, więc zachowujmy się tak, żebym nie musiała go użyć, okej?

Jestem tak zajęta udawaniem spokoju, że tracę czujność. Dowodem tego jest

fakt, że torebka znika z mojego ramienia i ląduje daleko na schodach, razem z całą zawartością oprócz puszki z gazem. Ta wylatuje na dziesięć metrów w górę, gdy do akcji wkracza środkowy oprych i popycha mnie na ścianę.

Jest największy z nich. Jego mięśnie wyraźnie rysują się pod spodniami od dresu i zwykłą koszulką.

– Pokażemy ci, jak się używa tego gówna, nie ma problemu. – Wyciska oślizgły pocałunek na moim policzku, podczas gdy jego kumpel podchodzi bliżej i zaczyna się do mnie dobierać. Gdy czubkiem noża rozcina moje ubranie, serce mi staje, a oddech więźnie w gardle. – Jeśli będziesz cicha i grzeczna, nie będziemy musieli pokazywać ci, do czego jeszcze Freddie lubi używać swojego ostrza.

– Jest ładna – mamrocze ten pierwszy. – Podoba mi się, stary.

– Suka będzie niezła – mówi Freddie, bawiąc się nożem. – Już to widzę. Nazwała nas panami i w ogóle. Hej, chyba powinniśmy użyć prezerwatyw.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

Ratunku, ratunku, ratunku, ratunku!

Błagania odbijają się echem w mojej duszy, w rytmie powiewów wiatru, który krąży pomiędzy moimi płucami a nozdrzami. Ten dupek posługuje się nożem z tak nieustraszoną finezją, że widać, iż nieraz użył go już na ludzkiej skórze. Nie zawaha się zrobić tego ponownie. Nie ma co marnować sił na błaganie ich o litość. W oczach tego faceta jest tyle szaleństwa i żądy, że na pewno podnieciłyby go moje prośby. I mój ból. Potwierdza moją teorię, gdy nawet się nie wzdryga, kiedy jego wysoki kumpel kopie go w goleń.

– Ty popieprzu! – stęka ten wielki. – Zużyliśmy ostatnie na to maleństwo z różowymi włosami wczoraj, w Santa Monica.

– No tak. Sorry, stary. Byłem upalony.

– Tak jak teraz?

– Hm. Może.

– No. To załatwione. – Pierwszy facet opuszcza spodnie. – Ja idę przodem. Freddiemu zajmuje to całą wieczność, gdy jest na haju. A mnie się nie chce czekać jak wczoraj.

– Tak? – wtrąca Freddie. – A co miałeś do stracenia? Wypieprzyłem ją dobrze i mocno. Nawilżyłem ją dla ciebie, kutasie. Nie musieliśmy się martwić o tego Piorunochrona wyskakującego z krzaków.

Te słowa prowokują mnie do łez, co uświadamia mi, że jednak uchwyciłam się kurczowo strzępka nadziei – że ktoś, ktokolwiek zjawi się i będzie mieć tyle odwagi i siły, by temu zapobiec. Ale Samotny Jeździec to tylko postać z komiksu,

a Piorunochron zrobił sobie tajemniczą przerwę od dobrych uczynków.

Co oznacza, że to się jednak stanie.

Zaciskam mocno powieki z nadzieją, że na koniec nadal będę w jednym kawałku.

Za późno.

Fizycznie wciąż stanowią całość. Psychicznie już zaczynam się rozsypywać.

Przetrzeć. Ten cel jest wryty w moim umyśle. Jest jak latarnia w ciemnościach tego, co zamierzają mi zrobić te potwory.

Wysoki rechocze, jeszcze mocniej krępując moje ręce. Odsuwa się na bok, wpychając mi swoją pachę w twarz. Staram się nie oddychać, ale nie jest to możliwe, bo znów napływają łzy. Odór atakuje moje zmysły – oni nie myli się od co najmniej trzech dni! Tłuszcz, olej silnikowy, pot, trawka. Te składniki potrafię zidentyfikować. Inne stanowią paskudną zagadkę.

Za co zapewne byłabym wdzięczna losowi, gdybym czuła coś więcej niż czyste przerażenie.

– Ha. Nieźle, stary – mówi Wysoki. – Piorunochron. Ten dupek jest taki twardy jak kawałek zużytej gumy.

– Ładny od zewnątrz, rozmemłany w środku? – Ten z nożem nadal bawi się swoim członkiem.

– Co gdybym ja kiedyś wpadł na tego koleś? To jasne. Od razu bym go zdemaskował. Marne sztuczki, efekty specjalne, niskobudżetowe triki.

Przerywa, ale tylko na chwilę. Zachęcony wybuchami śmiechu swoich kumpli dupek najwyraźniej ma więcej do powiedzenia.

Tyle że nie mówi.

Powietrze wokół nas wybucha i zostaje zassane. Ten ruch jest tak potężny, że wszyscy czworo lądujemy na betonowej posadzce. Zupełnie jakby ktoś wyszarpnął spod nas dywan.

Łup.

Koleś, który właśnie przyciskał mnie do ściany, sam się na niej rozpłaszcza. Rozkłada szeroko ręce i nogi, przygwożdżony jak wielkimi niewidzialnymi pinezkami. Inaczej nie potrafię tego opisać. Dupek wije się, walczy z niewidocznymi okowami. Na jego twarzy maluje się pełen niedowierzania szok, a na jego dzinsach pojawia się mokra plama.

Siła natury, która mu to zrobiła, wynurza się z mroku otaczającego tory.

Bohater w czarnej skórze. Hybrydowe buty ninja. Maski maserati. Wargi wykrzywione w gniewnym grymasie.

– Abrakadabra, skurwysyny.

REECE

Dzięki Bogu, nie jest to jeden z tych występów, podczas których musi mi się za pierwszym razem. W tej chwili bowiem jestem superbohaterem z absolutnie skrzywionym podejściem.

Jestem tak wściekły, że tracę rozum.

Po trzech nieudanych próbach, wskutek których dwóch z trzech palantów lata po peronie niczym po flipperze obsługiwanym przez wariata, w końcu udaje mi się osiągnąć to, co założyłem – zderzam ich ze sobą z taką siłą, że lądują na ziemi w nieprzytomnej kupie. Na ten widok obiecuję sobie, że prześlę miastu czek za zniszczenie pięciu latarni, dwóch automatów z napojami i kilku filarów, i nieruchomieję, czekając, aż spłynie na mnie spokój. Próbuję głęboko oddychać. Wycofać się. Skoncentrować się na rozluźnieniu pięści.

To na nic. Niech to szlag.

Podnoszę głowę i zauważam swoje odbicie w jednej z chromowanych poręczy. Zdumiewa mnie, że nie przybrałem barwy płonącego brokołu. Na papierze moja reakcja ma sens, ale mojego brzucha nie przeszywają wyłącznie ostrza zwykłego strachu. To gównie to przerażenie, mocne i przyprawiające o mdłości, które zrodziło się we mnie, gdy wszedłem do penthouse'u i za podszeptem instynktu sprawdziłem zapisy monitoringu w holu. Widziałem, jak Emma niemal wyczołguje się z pokoju ksero, wsparta na ramieniu ewidentnie zaniepokojonej Neety. Gówniane uczucie jeszcze się wzmocniło, gdy przełączyłem się na recepcję – w sam raz na scenę z moją odstrzeloną byłą dziewczyną, która mizdrzy się do Fershana Bennetta z moimi spinkami w dłoni.

Te przekłete spinki.

Tak, te same, na które przez rok nie mogłem nawet patrzeć, tak głęboki wyrobiły we mnie odruch Pawłowa.

Paniczny strach.

Strach, który nie mógł się nawet umywać do tego, co mnie ogarnęło, gdy pojąłem, w co gra Angelique. W coś, co zaowocowało ucieczką Emmy z Brocade.

Ucieczką ode mnie.

W środku pieprzonej nocy. W samym centrum LA. Prosto w sytuację, której miała uniknąć dzięki temu, że płaciłem Zalkonowi za jej transport. Ale to nie jego wina. To gównie spada na mnie. To ja muszę posprzątać bałagan spowodowany myśleniem, że neutralne spotkanie z Angelique nie zakończy się próbą złapania mnie ponownie na haczyk. Nieważne, do jakich brudnych trików

by się uciekła.

Na przykład do pokazania się w recepcji mojego pieprzonego hotelu i obrzucenia błotem jedynej osoby, która na pewno na to nie zasługuje.

Ten śmieć będę musiał usunąć ze swojego życia innego dnia.

Teraz mam ważniejsze sprawy na głowie.

Na szczęście dwóch z trzech palantów jeszcze sobie poleży na ziemi. Teraz czas na wielkiego miśka.

– Co jest, kurwa? – wrzeszczy ten kutas. Pozwalam mu wisieć, by mógł zakosztować jednej z moich „marnych sztuczek” z tyłkiem przyciśniętym do ściany. Dając upust swoim sadystycznym skłonnościom, koncentruję kolejny impuls elektryczny na jego kroczu. Ryczy, gdy napieram energią mocniej, miażdżąc jego jaja jak ustrojstwo w jaskini BDSM i zmieniając jego erekcję w rodzinę. – C-co ty robisz? – sapie. – Daj spokój, stary. T-to mój fiutek, chłopie!

– Sam lepiej bym tego nie ujął, chłopie. – Przekręcam nadgarstek w drugą stronę, wyzymając jego gonady. – Przestań jęczeć. Za dwa, trzy tygodnie wszystko wróci do normy.

– Za dwa, trzy tygodnie?

Wzruszam ramionami.

– Mniej więcej. Ale jeżeli nadal będziesz wkładał to gównno tam, gdzie nie jest mile widziane, wrócę i zamienię je w coś, co się nada tylko do śmieci. – W końcu wycofuję pole magnetyczne, a gość osuwa się na ziemię i zwija w kłębek. – Rozumiemy się? – Gdy odpowiada pośpiesznym potakiwaniem, podchodzę nieco bliżej. – Wybacz. Mów trochę głośniej. My, Piorunochrony, mamy gówniany słuch.

– Tak – stęka po chwili. – Rozumiemy się.

Kiwam głową, choć wcale nie jestem zrelaksowany.

Teraz trudniejsza część wieczoru. Muszę zwrócić się do Emmaliny i przekazać jej wiadomość od Reece'a jako Piorun.

Gdy tylko na nią spoglądam, odczuwam szok i nieszok zarazem. Tak, to będzie cholernie trudne zadanie.

Z powodów, których nie przewidziałem.

Jej uroda, jak zwykle, na chwilę pozbawia mnie tchu. Nawet teraz, z rozczochranymi włosami, policzkami, po których spływa makijaż, i w rozdartym ubraniu oszałamia mnie tak, że nie potrafię tego opisać. Naciska wszystkie odpowiednie guziki wyłączności. Budzi we mnie prymitywną zaborczość.

Pragnę wziąć ją w ramiona. Oddychać nią, aż przestanę czuć wszystko inne. Całować ją do utraty zmysłów, a potem zakazać jej podróżowania tym

cholernym metrem przez resztę życia.

Niestety nie jest to możliwe. Nie, nie z powodu maski, za którą się ukrywam. Z powodu zbroi, którą musiała zdjąć i z powodu obcości istoty, którą obnażyła. Kobieta, która wpatruje się we mnie, szeroko otwiera oczy, ale ze strachu, nie z zachwyty. Trzęsie się w powiewach nocnego wiatru, ale dreszcz sięga głębiej niż tylko pod powierzchnię skóry. Otwiera usta, próbując formułować słowa, ale wydaje z siebie tylko bezradne jęki. I najwyraźniej nienawidzi za to samej siebie.

Zagubiona, błagająca mnie wzrokiem o odpowiedzi, pokonuje dzielący nas dystans trzema chwiejnymi krokami. Osuwa się na mnie, nie odrywając ode mnie czerwonych oczu i wykrztusza dwa słowa, które trafiają mnie prosto w brzuch.

– Jesteś prawdziwy.

Kiwam głową, zastanawiając się, dlaczego nagle czuję się jak miraż ukazujący się podróżnikowi na pustyni. Lecz to nie ja znikam. To jej oczy uciekają w tył czaszki, gdy wiotczeje nieprzytomnie w moich ramionach.

Z cudownie łagodnym uśmiechem na twarzy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

EMMA

Uśmiecham się.

Wiem to, jeszcze zanim otwieram oczy.

To intrygujące, ponieważ czuję, że nie leżę we własnym łóżku – czy to w ogóle jest łóżko? – chociaż teraz te „istotne” szczegóły nie mają żadnego znaczenia. Czuję się tak, jakbym budziła się po nowokainie. Coś powinno mnie boleć, ale mało mnie to obchodzi. Może już nigdy nie będzie mnie obchodzić? Wszystko jest takie miękkie, ciche i pachnie tak cholernie dobrze.

Przewracam się na bok i jęczę. Okej, uch. Co mnie boli? Odpowiedź brzmi: wszystko.

Potrąciła mnie ciężarówka?

Powątpiewam w to, gdy otwieram oczy.

Jeśli była to ciężarówka, rąbnęła mnie tak, że wylądowałam w cholernie ładnym miejscu. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że wróciłam do penthouse’u w Brocade. Widok jest równie oszłamiający, brzask przebija się przez labirynt miejskich świateł na dole. Geograficznie jednak wszystko jest inaczej. Ocean znajduje się nieco bliżej. Okolica jest nieco ładniejsza. Z okna widać też szerokie połacie zieleni. Jestem przekonana, że jedna z nich to pole golfowe LA Country Club.

Sypialnia również zapiera dech. Choć utrzymana w paletcie barw typowej dla Kalifornii – brązu, piasku i złota – umeblowana jest bardzo nietradycyjnie. Wszystko jest eleganckie, lecz praktyczne i nowoczesne. Wygląda na stworzone specjalnie do tego pokoju.

Nigdy jeszcze nie leżałam w tak ogromnym łóżku zarzuconym poduszkami. Przy szafce nocnej jest panel sterowniczy z większą liczbą guzików niż statek kosmiczny z gier Wade’a i Fershana. Choć nad każdym z nich znajduje się piktogram, boję się nacisnąć którykolwiek z nich, ponieważ wciąż nie myślę jasno.

– Co do cholery...

Pytanie cichnie. W zasadzie to nie jest pytanie.

Wszystko stoi na głowie.

Co mi się stało, do cholery?

Przyływ niepokoju wywołuje szalone przebłyski wspomnień.

Reece, który macha do mnie z windy. Uczucie w jego oczach. Moja bluza wokół jego pasa.

To wszystko zostało unicestwione przez Angelique La Salle. Przez jej syreni uśmiech. Spinki do mankietów w jej dłoni.

Znów błysk, jedyny wybór, na jaki zezwala moje serce. Ucieczka. Bunt przeciwko konfrontacji z własną głupotą. Ślepa wiara w tę bajeczkę dla idiotów.

I prawdziwy atak tych oprychów na stacji. Ich ręce na moim ciele. Ich nóż na moich ubraniach. Ich groźby w moich uszach.

A potem największa eksplozja ze wszystkich.

On.

Rzucający nimi w powietrzu. Przyciskający ich do ściany. Czarna skóra. Ponura furia. Naturalna siła. Turbodoładowanie. Ponaddźwiękowość.

Superbohater, który mnie ratuje.

– O cholera.

Siadam. Uwalniam się od pościeli serią kopniaków i wymachów rękami. Jakbym pragnęła potwierdzić, że jest prawdziwa. Że ja jestem prawdziwa. Że ta prawdziwość nie unicestwi wspomnień.

Wspomnień? A może to był tylko sen?

– O cholera! – szepczę z naciskiem.

Przebiegam dłonią po pościeli i zwykłym białym podkoszulku, w który jakimś cudem zostałam przebrana. Pasuje na mnie jak jutowy worek na ziemniaki, ale jest równie miękki jak te kosztowne prześcieradła. Pachnie drzewem cedrowym i bije na głowę Eau de Gwałciciele, którą cuchną teraz zapewne wszystkie moje ciuchy.

Mimo to nie mam pojęcia, do kogo to wszystko należy.

Co się tu dzieje, do cholery?

Przed dalszymi dywagacjami ratuje mnie przenikliwy odgłos wibracji telefonu na blacie szafki nocnej. Z łatwością wyciągam go z torebki. Uśmiecham się z radością na widok nazwiska i szybko przesuwam palcem po ekranie.

– Neeta.

– Emma! – Siła jej głosu każe mi na chwilę odsunąć słuchawkę od ucha. – Dobry Boże! Nic ci nie jest!

– Chyba nie.

– Gdzie jesteś? – W jej głosie pobrzmiwa panika. Zanim przychodzi mi do głowy przyzwoita odpowiedź, instynkt podpowiada, bym unikała oczywistości. – Widzieliśmy cię. W wiadomościach. Wszyscy o tym mówią.

– W wiadomościach? – Kręcę głową, próbując zebrać myśli. – Co? Dlaczego?

Jak?

– Monitoring ze stacji Soto. – Bierze głęboki oddech. Jej ton łagodnieje. – Zostałaś zaatakowana, Emmo. Pamiętasz?

– Tak – odpowiadam pośpiesznie i powoli rozcieram skroń. Tak wiele muszę przyswoić. Zbyt wiele, zanim ta najbardziej niepokojąca myśl przebije się do mojej szarej istoty. – Tak, pamiętam wszystko.

Wyczuwalny bezruch. A potem nabożny szept:

– Nawet zakończenie?

– Nawet zakończenie.

– Czyli Piorun jest prawdziwy?

– Tak.

I chyba jestem właśnie w jego mieszkaniu.

Na szczęście Neeta jest zbyt zaafierowana własnym wysokim okrzykiem.

– Bogowie kochani! Emma!

Wykrzywiam twarz w grymasie. Jej rozgorączkowanie uderza we mnie. Przerasta mnie. Czuję mdłości, jakbym cierpiała na chorobę lokomocyjną, a przecież jedyne, co się porusza, to ziemia wokół własnej osi. Może jeśli się pomodłę, Bóg odda mi przysługę i na kilka minut ją zatrzyma?

– Czy... Czy mogę do ciebie oddzwonić za jakiś czas? – Wszechmogący będzie się zapewne domagać całej mojej uwagi, jeśli ma mnie posłuchać w tej kwestii.

– Oczywiście. Czekaj. – Po drugiej stronie słycać szuranie. Oddech Neety jest płytki, jakby przesłaniała dłonią mikrofon. – Jesteś teraz z nim?

– Nie. – To nie jest kłamstwo. Wciąż nie mam pojęcia, co to za miejsce ani jak się tutaj dostałam. Cholera, nie wiem nawet, czy jestem gościem, czy zakładniczką. Choć gdy gdzieś w pobliżu otwierają się drzwi, wyczuwam, że odpowiedź jest blisko. Serce podchodzi mi do gardła, gdy mamrocę: – Oddzwonię do ciebie.

Po czym się rozłączam.

Wstaję z łóżka, by podążyć za hałasem pomimo lęku. Ostrożnie zbliżam się do źródła dźwięków.

– Wow.

Tego się nie spodziewałam.

Dostrzegam wykonaną na zamówienie architektoniczną wyspę z odpowiednio ociosanych kamieni i łukowatych wstawek z ciemnego drewna. Pośrodku znajdują się półki na książki o księżycowatym kształcie, zawieszane nad półokrągłym kominkiem. Wąskie schody po obu stronach kominka

prowadzą na niższy poziom, gdzie stoją pluszowe kanapy. Drugą połowę wyspy również okalają półki na książki, lecz pod nimi zamiast kominka znajduje się barek.

W skrócie: moje wyobrażenie nieba na ziemi.

Wisienka na torcie? Plus mój anioł w komplecie.

Stoi na lewo ode mnie, w drzwiach do łazienki równie ogromnej jak łóżko. Z jego sprężystych mięśni i bioder owiniętych ręcznikiem unosi się para, jakby naprawdę właśnie zstąpił z nieba i nie otrząsnął się jeszcze z chmur. Czy tym chmurom można się dziwić? Jest wspaniały – od śmiałego rysunku brzucha po naprężone równiny dumnych barków.

W każdym wilgotnym, wyraźnym prążku pomiędzy...

Nie.

Nie chcę tego. Nie chcę jego. Nie mogę go chcieć.

To nie jest mój anioł. Jakimś cudem, jakimś osobliwym zrządzeniem losu wylądowałam z nim tutaj – gdziekolwiek jesteśmy – i teraz muszę się z tym jakoś uporać. Ze świadomością, że koszula, którą zdjął, by się wykąpać, miała spinki w mankietach.

Te spinki.

„Daliśmy się ponieść rozmowie”.

– Obudziłaś się – mówi.

Cofam jedną nogę, potem drugą.

– Tak. – W końcu się od niego odsuwam. – Pod wieloma względami.

– Velvet.

– Nawet się nie waż! – Dla tej dyskusji warto się zatrzymać. Staję pewnie na nogach, czuję płonący we mnie ogień, oskarżycielsko wymierzam palec. – Nie masz prawa mówić do mnie „Velvet”. Ani „króliczku”, ani „myszko”. Czy co tam jeszcze wysmażysz. – Pozwalam palcowi opaść. – Ja nie zamierzam więcej tego jeść, panie Richards.

– Nie proszę cię o to. – Należałoby przyznać mu punkty za to, że nie odrywa się od framugi. – Nie powinienem cię nigdy prosić, byś kosztowała.

Odwracam się na pięcie. Wiem, że powinnam pozwolić, by miał ostatnie słowo – przecież wziął na siebie odpowiedzialność za nadanie naszemu przelotnemu romansowi większego znaczenia, niż należało – ale moje stopy wrastają w podłogę. Moje serce nie zamierza ustąpić, pragnie logicznego wyjaśnienia. Jest takie głupie! Tu nie ma żadnej logiki. Nie przy takim graczu, który biegle rozgrywa tę partię szachów dla dużych chłopców.

Traktując prawdziwych ludzi jak pionki. Bawiąc się ich sercami.

Nie. Nie moim sercem.

Tego nie dostaniesz, do cholery!

– To dlatego kazałeś mu przywieźć mnie tutaj? – Rozglądam się wokół. Nie chcę, muszę znów opierać się wystawności wnętrza. Ale nie potrafię się powstrzymać. – Gdzie my w ogóle jesteśmy?

Prycha ponuro.

– Myślisz, że mieszkam w Brocade?

Nie odpowiadam. Oczywiście, że tak właśnie myślę, zwłaszcza teraz. W hotelu łatwo wtłoczyć go w określone ramy: aroganckiego, przyprawiającego o drżenie serca szefa. Tutaj staje się dostępniejszy. Prawdziwszy. Tu robi takie rzeczy, jak czytanie, spanie, branie prysznic.

– I komu niby kazałem ciebie tutaj przywieźć?

– Wiesz komu. – Przeszywam go spojrzeniem równie zjadliwym, co mój ton. – Temu... człowiekowi. Kimkolwiek on jest. Piorunowi. Znasz go skądś, tak? Skontaktowałeś się z nim po tym, jak zemdlałam. A może kazałeś mu jakoś pozbawić mnie przytomności...?

Myśl jest tak niepokojąca, że jej nie kończę.

– Dlaczego uważasz, że go znam?

Ignoruję subtelny skalpel w tonie Reece'a. Nie chcę, by zraniło mnie to, co go wyostrzyło. Lęk? Napięcie? Czy w ogóle mnie to obchodzi?

Nie powinno. Nie może.

– Przecież zna pan wszystkich wyjątkowych ludzi, czyż nie, panie Richards? – Prycham drwiąco, po czym schodzę po schodach do czytelniczego nieba. Nie powinnam tego robić. Nie powinnam zmniejszać dystansu do tak nieodpartej pokusy, ale nie mogę rozmawiać z nim w pobliżu łóżka. – Ludzi takich jak Angelique La Salle.

Doskonałe słowa dla wzmocnienia mojej determinacji.

Być może teraz ma na sobie tylko ręcznik, ale mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu siedział w samochodzie tej kobiety. I pozwolił, by odpięła te spinki.

Wiadomo, co stało się potem.

Reece nie idzie za mną. Pozostaje na wyższym poziomie. Krzyżuje ramiona na piersi, szeroko rozstawia stopy i znów wygląda jak faraon. Gdyby tylko inaczej zawinął ręcznik i włożył na głowę jeden z tych wielkich złotych turbanów...

Tyle że wtedy zakryłby włosy.

– Sądzisz, że Angelique La Salle jest dla mnie kimś wyjątkowym?

Również krzyżuję ramiona na piersi i wydaję wystraszone prychnięcie. Pytanie nie jest retoryczne, ale ewidentnie brak w nim współczucia.

On pragnie – żąda! – odpowiedzi.

– Zamierzasz wmawiać mi, że nie jest?

Reece bierze głęboki oddech. Wypuszczając powietrze, schodzi na mój poziom, choć poza tym niewiele się zmienia. Wciąż wygląda jak Władca Nilu. Jego oczy mają odcień pancerza w deszczu.

– Była, hm, dobrą przyjaciółką – mamrocze w końcu. – Przyjechała do miasta. Umówiliśmy się, żebym mógł oddać jej różne rzeczy.

– Na przykład spinki do mankietów?

Kolejny oddech jest nieco płytszy.

– Tak. Między innymi.

Zerkam na niego gniewnie.

– Dobrzy przyjaciele. – Powtarzam, by nie dodawać nic więcej. Ale czy mam wybór? Wykrwawiać się powoli czy po prostu zerwać ten cholerny plaster? – Jak dobrze?

– Byliśmy w związku. Mniej więcej półtora roku temu.

Cofam się o krok. Z trudem przełykam ślinę.

Prosiłam o krew, a nie o ból.

– W związku. – Skoro już krwawię... – Byliście kochankami?

Jego mięśnie tężeją.

Ten widok zachwyca i druzgoce jednocześnie.

Ten facet nie jest zbudowany jak czołg, ale Stwórca nie poskąpił uwagi jego szczupłemu, pięknemu ciału. Mięśnie są misternie wyrzeźbione, absolutnie dekadentkie.

– Nie – mówi w końcu. – Nie byliśmy kochankami.

– Nie pieprzyliście się?

– Och, pieprzyliśmy się jak cholera. Ale nie była moją kochanką. – Reece przeszywa mnie spojrzeniem intensywnym jak błyskawica. – Wmówiła ci coś innego, prawda? Gdy przyszła do hotelu. Gdy próbowała zostawić te przekłete spinki.

– Ale skąd...? – Kręcąc głową, sama odpowiadam sobie na to pytanie: – Monitoring. To stąd wiedziałeś, że wyszłam z hotelu, tak?

– Ooowszeeem – mówi przeciągle, przez co w jego głosie pojawia się osobliwy podtekst. Nazwałabym to napięciem, ale nie takim, jakie obserwowałam u niego dotychczas. Tym razem jest inaczej. Nie jest przerażający. Jest bezbronny. – Coś w tym rodzaju.

– Coś w tym rodzaju. – Cholera, pragnę zignorować tę kruchość! Udawać, że to nie ta jego strona odezwała się w najgorszym możliwym momencie. Ale nie

mogę. – To znaczy?

Reece napręża mięśnie.

– Co powiedziała ci Angelique? – odpowiada pytaniem na pytanie. – Rozmawialiście. Stała przy recepcji przez dłuższą chwilę.

Znów odwracam się do niego plecami, z różnych powodów. Po pierwsze, trudno mi przypomnieć sobie własne imię, gdy widzę go w ręczniku, a co dopiero temat mojej rozmowy z jego byłą seksbombą z zeszłej nocy. Otrząsam się jednak i wypowiadam na głos ten drugi powód.

– Dlaczego mam odpowiedzieć na twoje pytanie, skoro ty ignorujesz moje?

– Ponieważ twoja odpowiedź pomoże mi zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Bezpieczeństwo? – Niemal wybucham śmiechem. Jeśli nie będę się śmiać, zacznę płakać. A prędzej szlag mnie trafi, niż pozwolę mu to zobaczyć! – Zabawnie to brzmi w twoich ustach, koleś.

– Jestem tego świadomy, Emmo.

– Czyżby? – Teraz jest pora, żeby stracić głowę. Wkurzyć się. Oburzyć. I przestraszyć. Słowo „strach” chyba na stałe weszło już do mojego słownika. – Naprawdę jesteś świadomy tego, panie Richards, że twoja sprytna była dziewczyna zagraża mojemu „bezpieczeństwu”?

Zaciska dłonie w pięści. Wysuwa szczękę. Potrząsa głową, a krople wody z jego włosów opadają na naprężone równiny jego torsu i wyrzeźbioną tacę deserową jego brzucha. Tyle że żadne z nas nie myśli o deserze, gdy on powoli podchodzi bliżej, przesywając mnie gniewnym spojrzeniem. Jego nozdrza drgają.

– Sprytna? – warczy, akcentując to słowo ostrym prychnięciem. – Sprytna. Cóż, to nawet zabawne.

– Słucham?

Wciąga powietrze przez nos i wypuszcza je z gniewną siłą.

– Moim zdaniem gównie wiesz o sprycie, Emmalino. I to właśnie przeraża mnie najbardziej. – Pochyliła się, przez co ręcznik zsuwa się niżej, odsłaniając ściągnięta na jego biodrach. Nie żebym mogła dostrzec coś więcej, gdy jego gniew ewidentnie się wzmacnia. – Sprytny to jest pies, który zjada buty, sąsiadka, która tworzy albumy z wycinkami, albo babcia, która na Boże Narodzenie robi wieńce ze zużytych puszek po napojach. A już na pewno nie należy tym słowem opisywać tej szalonej suki, mojej byłej dziewczyny. – Pokonuje dystans pomiędzy nami i otwiera dłoń, by chwycić mnie za ramię. – Czy wyrażam się jasno, do kurwy nędzy?

Oddech więźnie mi w gardle, tężeje i zamienia się w kamień, który miażdży

żołądek. Myliłam się, nazywając to jego oblicze „bezbronny”. On całkowicie obnaża przede mną własną kruchość. Jest autentycznie przerażony tym, że Angelique w ogóle się do mnie odezwała zeszłej nocy.

Angelique. Jego była dziewczyna. Szalona suka.

To musi coś znaczyć. Coś więcej, niż oznacza teraz. Za każdym razem jednak, gdy ten mężczyzna zrywa przede mną maskę z twarzy, zastępuje ją jakaś inna, którą przykleja mocno. Wiem, że mówi mi prawdę.

Ale nie jest to cała prawda.

Brakuje najważniejszej części.

– Reece? Co z tobą, do cholery?

Chcę, by usłyszał każdą nutę mojego rozpaczliwego strachu. Chcę, by poczuł siłę mojego pytającego spojrzenia. Jeśli jednak udało mi się przedrzeć jakoś przez jego gniew, nie okazuje tego. Jego twarz nie przestaje wyglądać jak wykuta z twardego nieprzeniknionego granitu.

– Zapytałem – warczy w końcu – czy wyraziłem się jasno?

Wzdycham słabo.

– Tak. – Wyrrywam ramię z jego uścisku. To znaczy, próbuję. – A teraz mnie puść. – Gdy nie reaguje, podnoszę głos: – Reece!

Podnosi na mnie wzrok. Jego oczy są szkliste.

– Puszczaj! Albo powiedz mi, co się dzieje, do cholery! Czy ja wyrażam się jasno?

REECE

Moja dłoń zsuwa się z jej ramienia.

„Puszczaj!”.

Jej pierś unosi się w powolnym oddechu.

„Albo powiedz mi, co się dzieje, do cholery!”.

Smutna cofa się o krok. I jeszcze o jeden.

Gdy opuszcza głowę, a jej ramiona sztywnieją, jak obuchem uderza mnie potworna myśl.

Ostrzegając ją przed Angelique, nie zrobiłem niczego, by ją chronić. Za to wszystko, by ją od siebie odsunąć.

Jest równie cholernie poważna, jak ja byłem. Jeśli ją puszczę...

Odejdzie.

Nie. Nie, do cholery. Nie ma takiej opcji!

Oznacza to, że muszę wziąć pod uwagę ujawnienie, co znajduje się za bramką numer dwa.

– Emmalino.

Zatrzymuje się z jedną stopą na schodach. Czeka, wbijając paznokcie we wnętrza dłoni. Jej nadgarstki drżą z wysiłku.

Wiem, że sprawiam jej ból. I nienawidzę siebie za to.

Niech to szlag.

Nienawidzę się za każdy głupi, gówniarski krok, który zrobiłem – od włożenia kutasa w szaleństwo Angélique aż po lądowanie teraz, tutaj. I zastanawianie się, jak ja, do cholery, mam powiedzieć prawdę najwspanialszej kobiecie, jaką znam.

Nie istnieje żadna instrukcja.

A chyba powinna istnieć, no nie? „Gratulacje! Jesteś superbohaterem! Oto krótkie i łatwe FAQ, gdzie znajdziesz informacje o tym, jak rozmawiać ze swoim lekarzem, pralnią chemiczną i dziewczyną”.

Dąsam się jak głupi, a ona odsuwa się, odwraca i wchodzi na schody.

– Emmalino!

Tym razem się nie zatrzymuje. Pochyla się nad łóżkiem, by sięgnąć po telefon. I znów rozprasza mnie całkowicie, pokazując mi tyłek, idealnie otulony przez bladoróżowe majteczki.

Chryste. W tej instrukcji powinien być także rozdział o tym, jak radzić sobie z takimi majtkami.

– Proszę cię. Kurwa. Emmo. Niech to szlag!

Nieruchomieje i prostuje plecy, ale nie odwraca się do mnie.

– Reece... Ja... – Światło lampki nocnej rzuca złote cienie na jej profil i chmurę włosów, zamieniając ją w obraz niewinności i grzechu zarazem. – Posłuchaj, chcę tylko... – Odkłada telefon i cmoka cicho, jakby besztła siebie za rodzące się między nami napięcie. – Chcę ci tylko podziękować, okej? Cokolwiek jest, a raczej było... Było naprawdę wspaniałe. Ale...

– Cholera jasna! – Wbiegam na stopnie. – Nie ma mowy. Nie ma żadnego było! Nie jesteśmy...

– Reece. – Ujmuje moją dłoń w swoje i uśmiecha się smutno. – Nie ma żadnych nas, ale to nic. To nie jest ani dobre, ani złe, właściwe ani niewłaściwe. Tak po prostu jest. Masz dużo na głowie. No wiesz, ty to ty, a...

– Kurwa. – Wyrrywam rękę, by przeczesać włosy palcami. Śmieję się drwiąco. – Nie, Emmo. Ja to nie ja. To znaczy, ja nie jestem nim. Tym facetem, którym myślisz, że jestem. Tym kutasem...

– Nie jesteś kutasem.

– Już nie.

– Nigdy nie byłeś. – Podchodzi bliżej i obejmuje dłońmi moją twarz. Tonę w jej przepastnym spojrzeniu; turkusowy blask oszałamia każdy neuron w moim ciele. – Po prostu jakiś czas zabrało ci uwolnienie dobrego człowieka ukrywającego się pod tym drugim. Ale on tu jest. Widzę go, wierzę w niego, jest piękny. Teraz tylko ty musisz w niego uwierzyć.

Mój pomruk jest gardłowy, głęboki i... gniewny. Kręcę gwałtownie głową, przybierając minę, która mówi „nie zadzieraj ze mną”.

– Nie masz pieprzonego pojęcia, o czym mówisz!

W odpowiedzi słyszę autentyczny warkot.

Jej bunt zapiera dech w piersi. Mogę tylko wpatrywać się w nią w oszołomieniu, gdy ripostuje:

– Czyżby? A kto wyszedł ze swojej wieży, zakasał rękawy i pomógł posprzątać pokoje dla wycieczki, gdy zabrakło nam rąk do pracy?

– Sama przyznasz, że nie byłem całkiem bezinteresowny. – Uśmiecham się znacząco.

– Okej. A kto upiera się, żeby codziennie płacić Zalkonowi za to, by woził mój tyłek do pracy i z pracy?

– Masz na myśli te rzadkie chwile, kiedy twój tyłek jest w pracy?

– Mój tyłek zasługuje chyba na usprawiedliwienie za wczorajszą noc.

– Moim zdaniem twój tyłek zasługuje na wszystko.

Wzrusza ramionami.

– Nie o to mi chodziło.

– A o co?

Nie żebym zapomniał. Raczej mam nadzieję, że ona zapomniała. Bo ja zaczynam. I to szybko. Omawianie każdego szczegółu anatomii tej kobiety, zwłaszcza gorącej pokusy jej tyłeczka, oszałamia moje zmysły, obraca w proch moją siłę woli, rozpala każdą kroplę krwi. Po raz pierwszy w życiu naprawdę wiem, co to jest obsesja. Pod wszelkimi względami, tymi złymi i tymi dobrymi.

– O to, że nie zamierzam pozwolić, byś wyłgał się wymówką, że jesteś „tylko kutasem”. – Ton ma zadziorny, ale nie zabrała dłoni z moich ramion. Przyglądam się im, gdy zaczyna wodzić palcami po moich obojczykach.

To takie cholernie dobre uczucie. Zaciskam zęby, by stłumić jęk rozkoszy.

Tylko kutas. Och, Velvet. Gdybyś wiedziała, jak bardzo pragnę to potwierdzić...

Zmienić jej odkrywanie w uwodzenie. Zredukować jej punkt widzenia tak, by

zaczęła pragnąć mojego. Sprawić, by zapomniała o wszystkim.

Poza tym jednym, co naprawdę potrafię robić lepiej niż inni.

Co jednak zyskam?

Odsunę tylko w czasie nieuniknione, ot co.

Powiedz jej. Albo pozwól jej odejść.

– Wciąż nie jesteś przekonany, prawda?

Jej pytanie prowokuje mnie do śmiechu.

– Że jestem kutasem?

– Uch! – Znów wymierza mi cios. Zaczynam się śmiać, ale nie dołącza do mnie. – No dobra. Skoro już rozmawiamy o moich głupich decyzjach zeszłej nocy, to kto odnalazł mnie na stacji, przyszedł po mnie i mnie zabrał? Po tym jak zemdlałam w ramionach innego faceta?

Znów niemal wybucham śmiechem. Tak właśnie reaguję, gdy przeznaczenie otwiera przede mną drzwi z taką siłą, że wali mnie nimi między oczy. Tym razem jednak nie na tyle mocno, bym nie zauważył okazji, która właśnie się nadarza.

Pora na skok.

Niezależnie od tego, jak czarna otchłań zieleje po drugiej stronie.

– No tak. Hm, jeśli chodzi o tego „innego faceta”...

EMMA

Dziwny.

To słowo wyszeptali Neeta, Wade i Fershan tamtej pierwszej nocy, gdy poznałam Reece'a. Słowo, które mnie zirytowało, którego nie potrafiłam zrozumieć. Słowo, które miałam gdzieś z tyłu głowy przez cały tydzień, głównie dlatego, że nie miało żadnego cholernego sensu w jego wypadku.

Aż do teraz.

Teraz jest dziwny. Nie, nawet nie. Emanuje czymś, czego nie pojmuję. Zagadką? Tajemnicą?

Przerażeniem?

Ten opis pasuje lepiej niż inne, ale nie akceptuję go.

Sposób, w jaki bierze mnie za rękę i prowadzi na łóżko, przeszywa mój kręgosłup wszystkim, tylko nie przerażeniem. Niepokój się wzmacnia, gdy uwalnia mnie i cofa się o krok. Bierze głęboki oddech, jakby przygotowywał się do tego, by unieść wargi i odsłonić błyszczące kły.

Prostuję plecy.

– Okej – mamroczę w końcu. – Reece? O co chodzi? – Udaje mi się znów chwycić go za rękę. Zaciskam dłoń na jego sztywnych palcach. – Ten inny facet? Co chciałeś...? – Marszczę brwi. – Masz na myśli Pioruna? – On sięga do szuflady szafki nocnej, jakby szukał w niej chusteczki, a mnie ponownie przeszywa strach. – Coś mu się stało? Niech to szlag! Co zrobił? – Gniewnie rozszerzam nozdrza, by nabrać powietrza. – Zaatakował cię? Bo jeśli choć próbował, przysięgam na Boga, że...

Gdy odwraca się do mnie, nieruchomieję. W długich palcach trzyma coś, co wyjął z szuflady.

To nie chusteczka.

To maska.

Gładka, czarna. Maska maserati.

– Co do...?

Upuszcza miękką skórę na moje kolana. Patrzę na nią jak na zabójczego pająka.

– Nie rozumiem. Skąd masz...? – Oddycham coraz szybciej. – Dał ci to? Na pamiątkę?

Reece wybucha śmiechem. Niegłośnym, ale i tak pragnęłam go trzepnąć. Nie, uderzyć. Powinien zapewniać mnie, że mam rację. Że skórzana maska na moich kolanach to tylko prezent od kumpla albo pamiątka znaleziona na stacji metra.

Bo jeśli nie, to by znaczyło...

O kurwa, kurwa, kurwa!

– On nie podarował mi tej maski, Emmalino.

... że każda nuta w jego głosie oznacza pewność...

– To dlaczego masz ją w szufladzie?

... że każda odrobina mojego przerażenia ma uzasadnienie...

– Bo to moja maska.

... że nierealne stało się właśnie bardzo realne.

Zrywam się z materaca. Moje stopy wykonują dziwny taniec, odpowiadając mojemu eksplodującemu umysłowi i ciężkiemu żołądkowi. Zaciskam pięść na miękkiej skórze, która właśnie zmieniła wszystko. Drugą dłoń otwieram i zamykam w rytm szalonych kroków.

– Ale nie twoja, prawda?

Gdy odpowiada mi cisza, nieruchomieję i wbijam w Reece'a gorączkowe spojrzenie. W myślach ściągam z niego ręcznik i odziewam go w czarną skórę. Moja wyobraźnia zasłania maską jego zdecydowane rysy.

Oczywisty rezultat jawi się od razu. Zbyt wyraźnie widzę go w tej całej jego

boskiej skórzanej chwale. Jego królewską postawę. Wizualną poezję jego kroków, jego wdzięk.

Włada powietrzem wokół siebie.

Kontroluje je. Używa go.

Jako broni.

Ten facet jest dziwny, Emmo.

On nie jest taki, jak ci się wydaje, Emmo.

– Kurwa. – Osuwam się na łóżko. – Kurwa.

– Emmo...

– Ta maska jest twoja. – Unoszę głowę i wbijam w niego wzrok, jakbym widziała go po raz pierwszy. – Ponieważ ty to on.

Unika moich oczu. Wykrzywia wargi w bezwzględny grymasie.

– Ja to tylko ja, Emmo. Po prostu próbuję, po raz pierwszy w życiu, zrobić coś, zamiast być tylko żarciem dla paparazzi. To, jak wszyscy to nazywają, to, że chcą to gloryfikować... – Wzrusza ramionami. Ostatnie krople wody rozplývają się na nich w błyszczące kałuże. – To już nie zależy ode mnie.

Po jego słowach zapada głucha cisza.

– I właśnie dlatego utrzymujesz to w tajemnicy – mruczę.

– Między innymi tak.

– Ale w końcu mi powiedziałeś.

Unoszę dłoń, w której nadal spoczywa maska. Nie jestem pewna, co próbuję mu powiedzieć tym gestem, ale Reece wpatruje się w skórę z takim samym napięciem jak ja. Jakby wiedział, że ten gest coś oznacza. Może nie moje całkowite zrozumienie – bo może ono nigdy nie nadejść – ale może moją wdzięczność. Fakt, że tak się przede mną obnażył... Okazał mi zaufanie, które zmieniło jego ciało w blok napięcia, a jego energię w naprężoną matrycę.

Bierze ode mnie maskę i odrzuca ją na szafkę nocną. Siada obok mnie i dotyka mojej dłoni.

– Mogłem albo ci powiedzieć, albo cię stracić.

Odwracam się do niego, by spojrzeć mu prosto w oczy. To z nich przemawia teraz do mnie prawda.

– Ale wciąż nie masz pewności, czy nie ucieknę.

Nie spodziewałam się sardonicznego prychnięcia.

– Jestem tylko facetem, który dostrzegł szansę, piękna!

Odwracam dłoń i splatam nasze palce.

Uderza mnie kolejna myśl. Świadomość, że pomimo informacyjnej bomby atomowej, którą zrzucił na mnie przed momentem, ta chwila jest jeszcze

ważniejsza. Szorstki zbawca naszego miasta, idol, który zafascynował rzesze cyników, siedzi obok mnie w ręczniku i emanuje niepewnością. Superbohater, który trzyma maskę w szufladzie przy łóżku, właśnie złożył swoje serce w moje dłonie.

Czy to naprawdę jest moje życie?

Czy naprawdę unoszę jego dłoń, delikatnie ją odwracam i muskam palcem puls na jego nadgarstka? Czy naprawdę obserwuję, jak dreszcz przetacza się przez niego niczym letnia burza, zamieniając jego naczynia krwionośne w pajęczynę światła? Czy jego palce naprawdę emanują niebiesko-złotym światłem w rytmie ciężkich oddechów unoszących jego umięśniony tors?

– Powiedz mi. – W moim szepcie pobrzmiwa zarówno żądanie, jak i ciekawość.

Do pierwszego palca dołączam drugi i prowadzę je w górę jego ramienia. Obserwuję zdumiewające światło w jego żyłach pod skórą.

Kończyny Reece'a prężą się i dygocą. Chwyta mnie mocniej, wbija palce w moje biodra. Niemal błaga, żebym nie przestawała go odkrywać.

– Co mam ci powiedzieć? – pyta ochryple. – Możesz mieć wszystko, Velvet. Wszystko.

Pochylam się i kładę dłoń na grubej aorcie pompującej jego krew z boku szyi. Rozpala się, niczym wąż pełen radioaktywnego kwasu. Naciskam mocniej. Blask się intensyfikuje.

– Czy to dlatego za każdym razem kazałeś mi zamykać oczy?

Z trudem przełyka ślinę.

– Tak.

Unoszę głowę, by zmierzyć się z cudownym blaskiem jego źrenic.

– To jest piękne.

– Ty jesteś piękna.

Unosi moje palce do ust.

Jego pocałunek przyprawia mnie o lekki wstrząs, prowokuje do cichego okrzyku. A on znów to robi, posyłając znajomą błyskawicę ku wrażliwym tkankom pomiędzy moimi nogami.

Odwracam się do niego całym ciałem. Reece wypuszcza moje palce i opada tymi swoimi niewiarygodnymi wargami na moje usta. Wplątam palce w jego włosy, gdy całujemy się długo i czule. Czuję w opuszkach mrowienie prądu, który przenosi rozpaloną do białości energię do mojej dłoni i w górę ramienia.

– Wow! – Wybucham zachwyconym śmiechem.

– Nie żartuj. – Hipnotyzuje mnie jego żaloszny uśmiech.

– Głuptas – mówię żartobliwie, lecz poważnieję na chwilę, by dodać: – Bo dla ciebie to wszystko jest niby nowe?

Znów mnie całuje.

Tworzą się pomiędzy nami kolejne połączenia energetyczne, aż oboje zaczynamy drzeć.

– Każda chwila.

– Kłamiesz.

– Wcale nie. – Prowokuje mnie do sprzeciwu mocniejszym, głębszym pocałunkiem. Minutę później, gdy pozwala mi zaczerpnąć tchu, bez wahania otwieram usta.

– Czyli... Nie żartowałeś tamtej nocy? Gdy powiedziałeś, że minął jakiś czas?

Powoli, miarowo kręci głową.

– Przez to, co cię w ten sposób zmieniło? – Nie zamierzam akceptować jego milczenia jako odpowiedzi, więc szarpie go za włosy. Są jak jedwab, ale próbuję się nie rozpraszać. – Powiedziałeś, że mogę pytać o wszystko, Reece. Że dasz mi wszystko.

Marszczy brwi. Przeklina pod nosem, ale to go nie uratuje. Muszę wiedzieć.

– To gównu to teraz część mnie – mamrocze w końcu. – Mam to we krwi, w pocie, w systemie nerwowym.

– I nie wiedziałeś, jak to wpłynie na drugą osobę w intymnej sytuacji? – Powoli wypuszczam powietrze z płuc.

Odpowiada mi lekkim skinieniem głowy.

– Szczerze mówiąc i tak nie miałem ochoty. Moje życie stanęło na głowie, a ja marzyłem tylko o tym, by wszystko wróciło do normy.

– Skąd się tutaj wzięłeś w takim razie?

– W LA?

– Tak.

– Nie rozumiem.

– Główna siedziba Richards Resorts International znajduje się w Nowym Jorku. Uciekłeś stamtąd najdalej, jak tylko się da.

– I?

– Cóż, skoro próbujesz wszystko naprawić, dlaczego ojciec zesłał cię tutaj? – Przechyliam głowę. – Na pewno wiesz, że wszyscy tak właśnie mówią. Że to rodzinne zesłanie za jakieś poważne gównu, za coś, co przeskrobałeś w Europie. Imprezy? Kobiety? Narkotyki?

Prycha śmiechem.

– Tak. Nadal mnie to bawi.

Prostuję plecy.

– Czyli tak nie było?

W jego oczach błyszczy ironia.

– Cholera wie, Velvet.

– Byłeś tak naćpany, że nie pamiętasz?

– W ogóle mnie nie było.

Mrugam raz, a potem drugi.

– Ale przecież twoje zdjęcia...

– Odpowiednio przycinane, poprawiane i zmieniane. A potem strategicznie ujawniane mediom – podpowiada.

– Co? – Szczęka mi opada. – Jak długo?

– Prawie sześć miesięcy.

– Dlaczego?

– Żeby nikt się nie domyślił, gdzie naprawdę jestem. – Już mam zadać kolejne pytanie, gdy ucisza mnie spojrzeniem, które mógłby mi posłać żołnierz z pierwszej linii frontu. Zaciska szczęki, po czym bierze kolejny głęboki wdech. – To było sześć miesięcy pieprzonego piekła, i to wszystko, czego się dowiesz na ten temat.

Czuję ucisk w żołądku i w gardle. Powietrze to mój nowy wróg – rani mnie przy każdym oddechu, gdy kładę dłoń na karku Reece'a. Drugą ręką oplatom jego talię i oddycham z ulgą, gdy przyciąga mnie jeszcze bliżej.

Tak po prostu powraca to jego przesywające, obezwładniające pole siłowe, które splata nasze energie niczym błyskawice burzowe chmury, tyle że magii jest po tysiącokrotnie więcej. Poddaję się temu z urywanym westchnieniem i przyciskam wargi do jego szyi. Wyciskam pocałunki na linii od jego ucha do szczęki i z powrotem. Jego oddech muska moje włosy, rozpalając pomiędzy nami jeszcze gwałtowniejsze pragnienie. Mój puls próbuje doścignąć jego puls. Wodzę dłonią po jego kręgosłupie. Zachwygam się prądkowaną siłą, która pręży się pod moimi palcami niczym kable pod napięciem owinięte satyną. Opaloną, naprężoną, umięśnioną satyną. Pragnę się w nim zanurzyć, spleść się z nim. Wyznanie przedziera się przez kolejny drżący oddech, a z jego piersi wydobywa się ten sam dźwięk.

Pomiędzy płytkimi oddechami w końcu udaje mi się wykrztusić:

– Wow.

Okej, jedno słowo. Mówi wszystko, zarazem nie mówiąc nic. Jak mam mu powiedzieć, że usmażył neurony w moim mózgu? Że rozerwał na strzępy każdy obraz mojej duszy? Podarował mojemu sercu jeden z najwspanialszych

prezentów, jakie otrzymało kiedykolwiek? Jak mam powiedzieć mu to wszystko, unikając przy tym nawiązań do Pioruna?

Przecież nigdy mi nie uwierzy.

Zastanawiam się, czy sama sobie wierzę.

Bez piekła, przez które przeszedł, zapewne nie byłby teraz mężczyzną w moich ramionach.

A ja zakochałam się w tym mężczyźnie gwałtownie i beznadziejnie.

W mężczyźnie, który jeszcze mocniej mnie obejmuje, budząc w moim ciele deszcz iskier świadomości i pobudzenia, po czym szepcze:

– Wow, to cholernie dobry początek.

– Początek. – Muskam ustami jego ramię. Oddycham jego sandałowym aromatem z nutą naturalnego dymu i cedru, wodząc językiem po każdym fascynującym mięśniu. – Ale to dopiero początek, prawda?

– Tylko jeśli pragniesz więcej. – Z jego ust wyrывa się cichy warkot, który przechodzi w gwałtowny pomruk. Dźwięk przeszywa powietrze, gdy zaciskam zęby na skórze jego szyi. – Kurwa, Emmo. Powiedz, że chcesz więcej.

Wbija palce w moją talię, zaciskając je na mojej koszuli. Swojej koszuli. Rozkoszuję się tą świadomością. Jestem w jego łóżku, mam na sobie jego koszulę. A teraz wykręcam się, by dosięść go okrakiem, i opieram kolana na jego materacu. Otula mnie całą – swoim zapachem, swoimi tkaninami, swoim łóżkiem, swoją energią – i rozpala mnie od czubka głowy aż po podeszwy stóp, budząc we mnie obezwładniające pragnienie.

Pragnę otoczyć go sobą.

– Pragnę więcej, Reesie Richardsie. – Podpieram jego brodę kciukiem i palcem wskazującym i spoglądam na niego zaborczo. – Pragnę ciebie. Całego ciebie.

Kocham cię.

Ogarnia mnie przelotny lęk, że powiedziałam to na głos.

Gdy Reece nieruchomieje nagle, jakbym postrzeliła go w pierś, opuszczam rękę. Jego twarz tężeje. Jego wzrok pała siłą, której nikt nie ośmieliłby się zakwestionować. Przekazuje mi wiadomość, którą potwierdza każda pulsująca, dygocząca komórka w moim ciele.

On również mnie pragnie.

Okazuje mi to, pochylając się, by nasze wargi się zderzyły. Jest jak nieokiełznany pocisk w moich ustach – wszędzie naraz. Rozpala we mnie ogień każdym muśnięciem języka.

W odpowiedzi wydaję drżący złakniony jęk. Padłam ofiarą jego napaści,

skapitulowałam w obliczu jego namiętności.

Zdzieram z niego ręcznik.

Patrzę na niego – całego – i ogarnia mnie rozkoszny głód.

Zachwygam się każdym wspaniałym mięśniem, jaki widzę. Pieszczę go. Budzę iskry, gdy jego krew się rozgrzewa, pulsuje i spływa do najbardziej fascynującego miejsca w jego ciele.

Obejmuję jego kutasa obiema rękami i głaszczę go od nasady pulsujących światłem jąder po śmiały czubek jego żołądki, pragnąc go mocniej niż kiedykolwiek dotąd.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

REECE

Emmo. Kurwa.

Oba te słowa to zaledwie westchnienia, które przedzierają się przez moje zaciśnięte zęby, gdy jej utalentowane palce rozniecają więcej żaru na powierzchni mojego kutasa. Na powierzchni? Kogo ja oszukuję? Każdy centymetr mnie, od centrum pulsującej magmy do żył łomoczących pod naprężoną skórą, to nowy niewolnik jej biegłości. Nowy wyznawca jej religii.

A co ta nowa bogini daje mi w zamian? Spojrzenie pełne adoracji, uwielbienia, zdumienia, oddania. Zniewala mnie. Oszałamia moje zmysły. I to zanim mówi cokolwiek.

– Reece, to jest piękne. – Opuszcza głowę, by wargami zebrać kroplę błyszczącą na mojej żołądki. – Ty jesteś piękny.

Uśmiecham się. A przynajmniej tak mi się wydaje. Trudno powiedzieć, co jest prawdziwe.

– Ty mówisz poważnie, prawda? – Moje zdumienie jest autentyczne. – Nie uważasz, że jestem dziwolągiem? Że to jest potwornie dziwne?

– Oczywiście, że to jest dziwne. – Oblizuje usta, rozprawdzając blask mojej spermy na rozkosznych łukach, niczym kosmiczny błyszczak. – Ale też wspaniale. Niewiarygodne.

– I dziwaczne?

– Och, to jest właśnie najlepsze.

Rozmarzona zaczyna chichotać i znów mnie dotykać, a ja wtóruję jej szorstkim śmiechem. Ściska mnie. Patrzy na mnie. O kurwa, tak. To jest właśnie najlepsze – fakt, że mogę zobaczyć jej oczy, przepastne jak karaibskie morza, oblewające moje ciało swoim żarem, światłem i pragnieniem. Że chociaż mógłbym swoim kutasem prowadzić sanie pieprzonego Mikołaja, ona mimo to nie przestaje go dotykać i raz jeszcze składa na nim pocałunek.

– Kurwa. – Moje biodra podrygują, gdy zlizuje więcej kropel z naprężonej główki. – Velvet, skarbie. To...

– ...dziwaczne. – Śmieje się, obsypując pocałunkami mój tors. Jej wargi, wciąż rozgrzane kroplami, które właśnie połknęła, zamykają się na mojej brodawce. – No to chyba dobrze, że mam słabość do dziwolągów? – Przenosi usta na drugą.

– Cholernie dobrze. – Obejmuję jej kark, by ponownie nakierować ją na siebie.

Przyciska język do mojego torsu i pozostawia gorący mokry ślad między moimi piersiami, a ja podciągam jej podkoszulek. Choć biała bawełna wygląda na niej jak model z pokazu mody, który nigdy mi się nie znudzi, teraz wolę widzieć ją nagą. Pragnę jej cycków, rozplaszczonych na mojej piersi i rozgrzewających ognistą rzeką równinę wokół mojego serca.

W końcu udaje mi się ją rozebrać.

Z wygłodniałym pomrukiem pociągam ją na siebie. Całujemy się jak szaleńcy. Gryziemy. Pożeramy. Mocujemy się. Próbuje wyrzucić z siebie pasję, jednocześnie karmiąc tego przekłętego potwora.

To gorączkowe, ogniste, namiętne i przerażające. A ja marzę, by czuć to już do końca życia.

Piekło. Tak właśnie opisałem to, co sprawiło, że taki jestem.

Piekło, przez które przeszedłbym znowu, po tysiącokroć, gdyby na końcu czekała na mnie ona jako nagroda.

– O mój... Wow! – wykrzykuje Emma w moje usta, gdy jej piersi wciskają się w mój tors.

Uśmiecham się w odpowiedzi, smakując delikatny nektar jej ust.

– Tak też można to nazwać. – Skubię jej podbródek zębami, po czym szarpnię ją lekko za włosy, by odchyliła głowę.

Jej odsłonięta szyja jest kremowa, gładka. I gotowa na mój znak. Domaga się naznaczenia.

Unoszę głowę z pomrukiem, gdy wydaje cichy okrzyk, i kaleczę jej skórę szorstkim pocałunkiem. Mój kutas dygocze i rośnie pomiędzy naszymi ciałami. Tryskają z niego kolejne krople pobudzenia, moczając bawełnianą barierę jej majteczek. Pochylam głowę niżej, by tam spojrzeć. Widok plamy, którą zrobiłem, wyróżniającej się ciemniejszym odcieniem różu, budzi we mnie coś zwierzęcego. Coś, co pragnie pozbyć się tej bariery natychmiast.

Wkładam dwa palce pod słodką różową koronkę i szarpnię mocno.

Materiał odpiera mój atak.

Niech to szlag.

Podnoszę ją i przewracam. Gdy szukam przewagi, moim oczom ukazuje się najwspanialszy widok świata; krajobraz jej ciała jest jak jedwabiste marzenie ukoronowane mięsistymi jagodami sztywnych sutków. Pragnę zobaczyć już tylko nagą brzozkwinę pomiędzy jej udami.

Żądam tego natychmiast.

– Zamknij oczy, Emmo. Tylko na chwilę, piękna – dodaję, gdy posyła mi gniewne spojrzenie. Spełniam się, podciągając koronkę na jej biodro tak, by utworzyła napięty różowy sznureczek, który stanowi doskonały cel dla błękitnego lasera mojego palca wskazującego.

W sekundę rozcinam materiał.

Gdy dymiąca satyna osuwa się z jej ciała, Emma wydaje cichy okrzyk. A ja oddycham głęboko, zmuszając żar, by wygasł, choć cholernie dobrze mi z tym, że nie muszę już ukrywać moich dziesięciu mieczów świetlnych.

Cholernie dobrze.

– O cholera... Wow.

Powoli poruszam palcami, po czym opieram ich koniuszki na wdzięcznych krzywiznach jej łona.

– Wow – powtarzam za nią, rozkładając palce, a tym samym i uda, szerzej. – Lubisz to słowo, prawda?

– W tym wypadku pasuje idealnie. – Gdy moje kciuki spotykają się na szczycie jej zaróżowionej szparki, podrywa biodra. – Idealnie pasuje do ciebie.

Przesuwam kciuki niżej i rozcapierzam palce wzdłuż jej pulsujących warg, rozkoszując się tym, jak chciwie całują powietrze.

– Wpasowanie się w ciebie to mój cel, panno Crist.

– Och – mruczy.

Gdy przesuwam kciuki tak, by rozpostrzeć jej mokre głębiny, dźwięk pogłębia się i nabiera gardłowych tonów. Zaraz potem wkładam w nią palce i pieprzę ją nimi czule, miarowo. Cały czas rozkładam jej uda. Wspieram się łokciami po bokach jej kolan, które zaczynają drżeć, podniecając mnie jeszcze bardziej.

Niech to szlag. Przez nią stałem się amatorem kolan.

Przez nią stałam się amatorem wszystkiego.

– Reece.

– Emmo.

– Reece!

Zastępuję palce biodrami i z trudem przetykam ślinę, gdy obejmują mnie wewnątrz jej ud. To takie wspaniałe uczucie – mieć ją przy sobie.

– Otwórz się na mnie szerzej, piękna. – Pochylam się i obsypuję ją długimi, namiętymi pocałunkami, gdy mi ulega. – O tak. Właśnie tak. – Mój oddech się rwie. – Wiesz, ile razy wyobrażałem sobie ciebie i siebie w ten sposób? Tak kompletnie nagich? – Wodzę palcami po jej naprężonych piersiach. Jej sutki rozpalają się pod moim dotykiem, co podnieca mnie jeszcze bardziej niż w

marzeniach, o których właśnie mówiłem. – Koniec powstrzymywania się. Koniec ukrywania.

Chwyta moją dłoń i przykłada ją sobie do policzka.

– Nigdy więcej. – Jej płowe rzęsy unoszą się. Spojrzenie emanuje czystym błękitnym przekonaniem i pochłania moje. – Koniec ukrywania się.

Zaciskam palce na jej policzku, muskając linię jej włosów. Obrysowuję jej twarz eterycznym blaskiem.

Moim blaskiem.

– Kurwa.

Z trudem przełykam ślinę, próbując ubrać uczucia w słowa, ale w końcu godzę się z tym, że to bezcelowe. Mogę tylko patrzeć na nią, obnażony i wdzięczny za to, co dla mnie robi w tej chwili. Jej elegancki profil, podświetlony w ten sposób, zmienia moją dziwaczność w dar, a moje przekleństwo – w inspirację.

Dzięki niej nie jestem już ofiarą. Jestem zwycięzcą.

Jestem silniejszy.

Może pewnego dnia zdołam nawet nazwać siebie bohaterem?

Teraz jednak liczy się tylko to, co ona we mnie widzi.

Jej oczy błyszczą. Rozchyła wargi, puszcza moją dłoń i sunie palcami wzdłuż mego ramienia. Gdy dociera do barku, nie zatrzymuje się. Przechodzą mnie dreszcze, gdy zsuwa rękę w dół, wzdłuż pleców, do talii, aż w końcu obejmuje nią pośladek. Zanim mogę oswoić się z tym cholernie dobrym uczuciem, obejmuje też drugi.

Przyciska mnie do swojej miękkości. Ponagla mnie głębiej w swoje piękno.

Opieram się na łokciach. Nasze twarze dzielą zaledwie centymetry. Jej oczy wyglądają jak szafirowy dym. Jej skóra pokrywa się mgiełką podniecenia. Ja biorę wdech, a ona wydycha powietrze.

Pachnie seksem. Esencją, którą scałowała z mego kutasa. Pożądaniem, które pragnę zaspokoić.

Namiętnością, z jaką ściska mój tyłek, osadzając mnie mocniej pomiędzy swoimi nogami.

– Rozpal mnie, Reece. – Jej głos brzmi jak szemrzące zdecydowane błaganie. – Zrób to. Rozpal mnie. Od środka.

– Emmo. – Ja też dygoczę, próbując się opanować.

Potrzeba więcej słów. Pewne muszą paść. Całe to gówno o ostrożności, prezerwatywach i...

– W porządku. – Kołysze się pode mną, gibka i spragniona, prowokując

mojego kutasa miękkimi, wilgotnymi wargami swojej cipki. – Biorę pigułki. Nie powiedziałam ci wcześniej, bo... – Urywa i oblewa się rumieńcem. – No cóż, bo...

Całuję jej nos, by zapewnić ją, że niczego nie mam jej za złe.

– W porządku, piękna, rozumiem.

– Ale teraz mnie masz. – Unosi nogi i krzyżuje je na moich plecach. – A ja potrzebuję ciebie. Proszę. Całego ciebie. Każdego dziwnego, dziwnego, wspaniałego rozjarzonego centymetra. Och!

Jestem gorący, ale ona jest jeszcze gorętsza.

Jestem naprężony, ale ona jest ciaśniejsza.

Jestem rozpalony, ale ona jaśniej. Płonie. Jest zmysłowym, niewiarygodnym aniołem i wygląda jak cholerna bohaterka komiksu. Jej włosy rozsypują się na mojej pościeli, jakby frunęła. Jej twarz, otoczoną moimi neonowymi palcami, rozświetla duma, zmysłowość, uległość, radość. Jej ciało, rozpostarte pode mną, składa się z mięśni, siły i mocy – zwłaszcza w centrum klejnotu, który nas łączy. Gdy się kołyszemy, idealnie zsynchronizowani, światło w miejscu połączenia zaczyna pulsować i wzmacniać się.

– Och! – krzyczy znów, gdy nacieram na jej nogi.

– Och! – Raz jeszcze, gdy rozciągam ją w głąb.

– Och! – Jeszcze głośniej, gdy wdzieram się w jej ciasny wilgotny owal kutasem.

Nieruchomieję na chwilę. Sięgam po poduszki i podkładam je pod jej głowę.

– Nie musisz już zamykać oczu, Emmalino. – Kieruję jej spojrzenie niżej, upewniając się, że skoncentruje je na swoim ciele, wciągającym mnie coraz głębiej. – Patrz – nakazuję. – Patrz na mnie.

– Tak. – Jej zdyszane posłuszeństwo jest dla mojego kutasa jak paliwo raketowe. – Tak.

Moje jądra się naprężają.

Fuzja naszych ciał to nagi blask.

– Podoba ci się, jak pieprzy cię dziwołąg?

Bestia w moim wnętrzu wdziera się w moje słowa. Cholernie dobrze jej z tym, że ją wypuściłem.

– Nie widzę tu żadnych dziwołągów, panie Richards. – Uśmiecha się Emma z fałszywą skromnością. – Jest pan pewien, że to dobry adres?

– O tak, jestem pewien.

– Lepiej proszę sprawdzić. – Jej powieki opadają, podkreślając żartobliwy grymas odętych ust. – Albo... zapukać mocniej.

Moje wargi rozciągają się w uśmiechu.

Mój kutas puchnie w jej wnętrzu.

– Naprawdę się o to prosisz, panno Crist.

– Masz cholerną rację, dziwołagu.

Nie jestem pewien, co bardziej przyprawia mnie o błogie szaleństwo: seksowny sarkazm w jej głosie czy ponaglenie w jej oczach. Koniec końców nie ma to znaczenia. Koniec końców wdzieram się w jej ciasną, idealną cipkę z całą siłą, jaką mogę wydobyć z bioder, całą mocą, jaką potrafię przelać w kutasa. Całą namiętnością, jaką mogę zebrać w swojej duszy.

Cała ta rozkosz, żar i ogień, które mogę jej dać, wybuchają w wysokiej, obolałej radości jej orgazmu.

– Reece!

– Emmo.

– Potrzebuję... cię... przy sobie!

– Już pędzę, piękna.

Nie kłamie.

Pędzę. Jestem już prawie u celu.

Mój kutas nie tylko lśni jak laser. Jest jak laser napędzany kataklizmem. Przedziera się przez kosmos oślepiającego żaru i furii, aż wybucha jak cholerna gwiazda, przelewając płynne życie w ostateczną ciemność. Pieprzy, pieprzy i pieprzy, aż nie zostaje nic z jego światła.

Wszystko obraca się w popiół. A dziwołag otrząsa się z niego niczym osobliwy nowy feniks. Nie jestem pewien, czy rozpoznaję tego faceta. Mężczyznę, który może nawet jest gotowy na robotę superbohatera.

Jakby faktycznie miał coś wartościowego do dodania w tej opowieści.

Nie żebym czuł się gotów rozpowiadać o tym gównie.

To tylko myśl. Ostatecznie bliżej mi do ścianek dla VIP-ów niż miejsc zbrodni. Jestem szczęśliwszy, doszukując się niezgodności w arkuszach kalkulacyjnych, niż tropiąc opryszków w ściekach. Uznałem, że to chyba dobry krok po tych wszystkich gównianych numerach, na które naraziłem świat. Chciałem odpłacić karmie – i tak, Konsorcjum też – odchodząc w glorii zamiast w nagłówkach skandali.

Kto by pomyślał, że jeśli kilka razy postąpię dobrze, dobrze się także poczuję.

Nie żebym w ogóle wiedział cokolwiek o tym, co jest dobre. W szkołach z internatem „sprawowanie” i „charakter” były ideologiami, z których robiliśmy sobie jaja, uganiając się za spódniczkami i żłopiąc gorzałę. Nie były to też życiowe

lekcje, których udzieliłby mi Chase Richards.

Może dlatego próbuję kwestionować to, jak dobre wydaje się wszystko teraz. Jak właściwe.

To ona. Emmalina. Mam obsesję na punkcie jej urody, obezwładnia mnie jej pasja, inspiruje mnie jej cel, pochłania mnie jej skromny, lecz wyjątkowy cud. I wiem, nawet jeśli świat nigdy się o tym nie dowie, że z tym – z nią – postąpiłem właściwie przynajmniej raz w życiu.

Ta pewność przepełnia mnie nawet kilka godzin później, gdy otwieram oczy i znów widzę ją w swoim łóżku. Wiem to, gdy sięgam dłonią, by odsunąć włosy z jej twarzy, i czuję, jak na moje usta wypływa uśmiech podobny do jej uśmiechu. Czuję to w każdym uderzeniu serca, które przyspiesza, wychodząc na spotkanie jej dotykowi, gdy ona przesuwa się i przytula do mnie.

– Mmm – mruczy jak kociak. – Jesteś ciepły.

– I nawet nie musisz podłączać mnie do gniazdka.

– Och, kolejny argument za tym, żeby cię zatrzymać. – Przygryza dolną wargę. – To znaczy, nie o to chodzi, że chciałabym cię zatrzymać. Znaczy, nie w tym sensie. Znaczy... – Przełyka ślinę. – O cholera. Czy mogę zacząć jeszcze raz?

– Mowić nie ma. – Wyciskam stanowczy pocałunek na jej czole. – Podoba mi się, że chciałabyś mnie zatrzymać. – Zsuwam wargi na jej nos. – Tylko powiedz, że ty też będziesz moja.

– Chciałabym, ale... Reece...

– Tak?

Pozostań otwarty. Zachowaj spokój.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Nie przywykłem do radzenia sobie z takim stresem. Cierpienie to nie jest dobra zabawa.

Znów kładzie dłoń na moim mostku i spogląda mi prosto w oczy.

– Muszę wiedzieć wszystko. – Przełyka ślinę. – O Angelique.

Przewracam się na plecy i biorę głęboki oddech. Ona też się przesuwa. Układa się przy mnie na boku.

– Co chcesz wiedzieć?

– To ona, prawda? – Jej wzrok jest łagodny i przenikliwy. – To jej zaufałeś. To ona poprowadziła cię do piekła, które zmieniło wszystko.

Wybucham śmiechem.

Emma robi taką minę, jakbym właśnie zwymiotował na kołdrę. Może nawet mam na to ochotę, zwłaszcza gdy odpowiadam:

– To nie jest tak, że przed tym wszystkim byłem uosobieniem niewinności, okej? Poznałem tę kobietę w Paryżu, w klubie, gdzie kondomy i koka widniały w

jadłospisie zaraz obok przystawek, a w prywatnych pokojach tłoczyło się więcej osób niż na parkiecie. Kręciliśmy się tam razem przez tydzień, a ja byłem zachwycony, bo знаła tam więcej ludzi ode mnie.

Nie czuję się komfortowo, ale kontynuuję. Emma zasługuje na prawdę, choć w tym wypadku prawda nie wygląda jak album ze zdjęciami otoczonymi serduszkami i kwiatkami.

– Gdy powiedziała mi, że w Barcelonie jest ciekawiej niż w Paryżu, od razu zadeklarowałem, że z nią tam pojadę. Rozegrała to idealnie, doskonale wiedziała, czym mnie skusić. Chciałem mieć coś, czego nie widział jeszcze żaden z moich kumpi. Doświadczeń, których żaden z nich nie kupiłby normalnymi kanałami.

Emma zaciska dłoń w pięść, obejmuje ją drugą, a potem opiera na nich brodę.

– Chciałeś więcej.

Dwa proste słowa, które tak wiele znaczą. Zbyt wiele.

– Być może.

Raczej „pewnie tak”. Ale nie zamierzam przesłaniać filtrem jej szczerości mojego zdeprawowanego życia. Dla niej „więcej” to synonim rozwoju jej świata. Dla mężczyzny, którym byłem, oznaczało okazję do przeżycia kolejnego dreszczyku i powiększenia imperium zakazanych doznań.

Żałosny, głupi człowieczek chwytający się drobnych, nic nieznaczących marzeń!

Miałem możliwości, by osiągnąć o wiele więcej. By stać się kimś więcej.

Dzięki Bogu, ona jest obok. Jej czuły głos wyrывa mnie z ponurych rozmyślań.

– I co się stało?

– Spędziliśmy w Barcelonie kilka dni. Ja się coraz bardziej nudziłem, ale ona trzymała mnie na sznurku. W końcu powiedziała mi o prywatnej imprezie na obrzeżach miasta. Prawdziwie dekadencckim jublu w jakimś ukrytym magazynie z designerskimi narkotykami, członkami rodziny królewskiej i tym podobnym głównem.

Emma przez chwilę rozważa to ze ściągniętymi brwiami.

– Tyle że to nie była impreza – mówi.

Odpowiada jej tylko głucha cisza.

Wykorzystuję tę przerwę, by wbić wzrok w sufit. Sięgam do jej włosów i zaczynam przeczesać je palcami, by tym gestem sprowadzić na siebie spokój.

– Znasz tę miejską legendę o biznesmenie, który sypia z prostytutkami, zostaje otumaniony narkotykami i budzi się bez nerki? To było właśnie coś

takiego. Tyle że jeżeli najpierw był seks, musiałem to przeoczyć. A w roli prostytutek wystąpiła grupa wielkich kolesi w białych fartuchach, którzy tworzą globalny konglomerat o nazwie Konsorcjum.

– Słucham? – Sztywnieje. – Co to w ogóle znaczy, do cholery?

– Nie jestem pewien. Mało mnie to obchodziło w sytuacji, w której właśnie zostałem gościem czegoś, co na pewno nie było przeklętym Ritzem. Powoli, lecz pewnie wtajemniczali mnie w kolejne szczegóły. Że zostałem zrekrutowany do przełomowego projektu badawczego w dziedzinie poprawiania ludzkiego DNA poprzez działanie elektroniki.

Emma podrywa się i wpatruje we mnie, jakby spodziewała się, że zaraz powiem, że to tylko żart. Ale jej zębra unoszą się tak gwałtownie, że musi wiedzieć, iż to nie jest żart. Słyszy moją prawdę. I co najbardziej szalone, co najważniejsze, wierzy w nią.

– O mój Boże – szepcze.

Znów wzruszam ramionami. Wygląda to beznamiętnie, ale ona w tym również dostrzega moją prawdę – że to wyłącznie tarcza sarkazmu, dzięki której wspomnienia są mniej bolesne.

– Boga to tam nie było – mamrocze. – Za to mnóstwo jego skurwiałych kumpli. Jak brzmi to powiedzenie? Diabeł tkwi w szczegółach?

Teraz już nawet koncentrowanie się na suficie nie pomaga.

Odsuwam kołdrę, przetaczam się na krawędź łóżka i opieram stopy na podłodze, by pokój przestał wirować. I by powstrzymać karaluchy wspomnień przed najazdem na mój umysł.

– Te bydlaki przywiązywały ogromną wagę do szczegółów.

Zamykam oczy i uciekam myślami w wizje gór, dolin i spokoju. To było moje wytchnienie, gdy laboratorium, jego mury i ból próbowały pochłonąć wszystko, czym byłem.

Ale to nie działa. Już nie.

Teraz pomaga mi...

Ona.

Jej palce, miękkie jak wiatr, muskają moje zwieszony ramiona. Jej ciało niczym wodospad otula moje plecy. Jej pocałunki jak lecznicze zioła obejmują linię mojej szczęki. Sprowadza moje ciało z powrotem na ziemię, choć mój duch wciąż drży ze strachu. W moich myślach rozbrzmiewa przysięga, którą powtarzałem sobie bez końca przez długie miesiące. Aż pewnej nocy jeden ze strażników zapomniał o kajdanach, dzięki czemu udało mi się uciec z piekła.

Razem z tym wspomnieniem powraca moja mantra. Przysięga, której miałem

nigdy nie zapomnieć.

I nie zdradzić.

Nigdy. Nikomu. Nie ufaj.

Rok. Honorowałem każdą gównianą sylabę tej przysięgi w każdej sekundzie każdego dnia przez cały ostatni przeklęty rok. Nigdy nie poczułem pokusy, by od niej odejść.

Aż do teraz.

Teraz, skąpany w perfekcji dotyku Emmy i świetle jej otuchy, czuję rozdzierające pragnienie, by o tym wszystkim zapomnieć. By wszystko jej ujawnić. Już powierzyłem jej prawdę swojego istnienia, a ona odwzajemniła ten podarunek uczuciem, akceptacją, namiętnością. Ale jest tego więcej. O wiele więcej. Wciąż tyle rzeczy jest przesłoniętych i zablokowanych – te części mnie, które były młode, aroganckie i głupie.

Może już nie istnieją? Nie zaglądałem za ten mur od roku. Może usmażyła je błyskawica i teraz stanowią już tylko poczerniałe skorupy w sednie czegoś, co kiedyś utrzymywało je przy życiu w nadziei, że pewnego dnia zjawi się ktoś wyjątkowy, by je uleczyć?

Ktoś taki jak ona.

– Wyrwałeś się stamtąd, Reece. Jesteś teraz tutaj, całkowicie bezpieczny. Przy mnie.

– Dzięki.

Pragnę dodać więcej, ale nie mogę. Przysięga wryła się głęboko w moją psychikę.

Nigdy. Nikomu. Nie ufaj.

– Hej. – Świeży ton, w którym nawet pobrzmiwa odrobina wesołości, sprawia, że podnoszę głowę. – Masz tu jakiś samochód? Inny niż limuzyna Z.?

Wybucham śmiechem.

Zanim ona wykrzywi się do mnie skonsternowana, ściągam ją z materaca, sięgam po jej podkoszulek i rzucam nim w nią. W szufladzie znajduję parę szortów ze sznurkiem w talii, w których zazwyczaj ćwiczę w domu, i dodaję jeszcze bluzę pożyczoną od niej zeszłej nocy.

– Będą na ciebie pasować. Chodź.

Kilka minut później jesteśmy w garażu pod moim budynkiem, gdzie stoi rząd błyszczących BMW w różnych odcieniach szarości i błękitu. Emma na ten widok otwiera usta ze zdziwienia, a ja uśmiecham się jak dzieciak, który chwali się swoją kolekcją Lego.

– Witamy w przedszkolu.

Rozgląda się wokół, ogarniając wszystko wzrokiem. W tym świetle jej oczy mają taki sam odcień jak lakier Long Beach modelu M2, który stoi tuż za nią.

– Słucham?

– Jedna z przewag LA nad Nowym Jorkiem, nie licząc zeszłotygodniowego strzału przeznaczenia w dziesiątkę... – Przesuwam wygłodniałym wzrokiem po jej ciele. – ...jest taka, że mogłem nieco pofolgować swojemu uzależnieniu od beemek.

Wybuchła śmiechem.

– Nieco?

– Winię mojego kupca. Shannon wynajduje dla mnie okazje, z których nie potrafię zrezygnować. Nazywa te maszyny swoimi dziećmi.

– I stąd przedszkole.

– Bingo. – Zacieram dłonie w geście radości. – No to z kim chcesz się dzisiaj pobawić? – Poruszam brwiami w górę i w dół. Śmiech Emmy odbija się echem od ścian garażu. – Może weźmiemy ten w odcieniu twoich oczu? Jest ładny. I szybki.

Kręci głową i wskazuje palcem jeden z kabrioletów M4 za moimi plecami.

– Lubię podróżować bez góry. Zaraz zajdzie słońce. Wybierzmy się na plażę.

Przeszywam ją żartobliwie kpiącym spojrzeniem.

– Przepraszam bardzo, czy ty właśnie powiedziałaś, że lubisz podróżować półnago?

Znów wybuchła śmiechem.

– Głupek!

– Twój głupek.

Gdy siada w fotelu pasażera, uśmiech rozświetla jej twarz.

– Jeśli nalegasz.

Czekając, aż złoży się dach M4, przechyliłam się ponad konsolą i porywam Emmę do stanowczego pocałunku.

– Nalegam.

Nasze palce pozostają splecione przez całą drogę na wybrzeże.

Miała cholernie dobry pomysł.

Gdy zatrzymujemy się w Pacific Palisades, słońce wygląda jak złoty dysk na horyzoncie. Wciąż rzuca jasne promienie na fale. Piasek, nagrany po całym dniu, teraz otacza nasze stopy ziarnistym ciepłem, gdy wędrujemy w kierunku wydm. Trzymamy się za ręce, co wydaje mi się cholernie wspaniałe.

Siadamy na zboczu w miękkim piasku i opieramy stopy na wilgotnej łasze obmywanej falami przyływu. Wydaję usatysfakcjonowane westchnienie, a

Emma kładzie głowę na moim ramieniu. Jej westchnienie zagłuszają okrzyki mew i rytm fal. Odbija się w nim zaufanie.

To całkiem niezłe miejsce na teraz.

Nawet lepsze niż niezłe.

– Reece?

– Tak?

– Powiedz mi, jeśli będę zbyt wścibska. Ale biorąc pod uwagę, że to z tego wziął się ten cały dramat zeszłej nocy...

Odwracam głowę i przyciskam wargi do jej czoła, pokazując, że rozumiem niewypowiedziane pytanie.

– Nie mam pojęcia, dlaczego Angelique przyjechała do LA, Velvet. – Dostrzegam na wodzie żaglówkę zmierzającą do Marina Del Ray i modłę się, by jej spokojny rejs złagodził moje napięcie. – Zadzwoiła do mnie z nienacka przedwczoraj. Uparła się, że musimy się zobaczyć. Że musi ze mną omówić coś ważnego.

Emma gwałtownie unosi głowę.

– Niby co?

Oddycham ciężko.

– Nie wiem. Nie dotarliśmy aż tak daleko.

– A jak daleko dotarliście? – Nieruchomieje.

– Do momentu, w którym próbowałem oddać jej te spinki. – W końcu zerkam na nią, pozwalając, by zobaczyła ból, którego nie słychać w moim głosie. – Podarowała mi je w noc przed... – Ochrypliły pomruk. – Cóż, zanim wszystko się zmieniło. – Szorstki śmiech. – Wtedy naprawdę wiele dla mnie znaczyły. Jeśli masz więcej pieniędzy niż każda twoja partnerka, pojawia się oczekiwanie, że to ty będziesz kupować prezenty, rozumiesz? Ujęło mnie, że ktoś pomyślał, by podarować coś mnie.

– Choć szybko okazało się, że ona jednak czegoś od ciebie chce...

– Można tak powiedzieć.

To bolesne i gorzkie, ale to moja prawda.

Emma opiera swoje czoło na moim, by mnie pocieszyć, a ja wiem, że nie mogę zignorować tego, co jeszcze muszę powiedzieć. Gdyby to tylko nie było tak cholernie konieczne! Tak cholernie odrażające.

– Emmo. – Cofam nieco głowę, by się upewnić, że naprawdę mnie słucha. – Bardzo możliwe, że ona wciąż czegoś ode mnie chce.

Fale są coraz wyższe, zwiastują nadchodzący przypływ. Dwie mewy walczą o kawałek porzuconej kanapki. Wiatr niesie zapach soli i dymu, a także zapowiedź

końca balsamicznego popołudnia i początku chłodnej nocy.

Kobieta obok mnie nieruchomieje ponownie.

– To znaczy?

– Dokładnie to, co mówię. – Obejmuję dłonią jej kark. – Angelique przyjechała po mnie wczoraj do Brocade rzekomo po to, by zaprosić mnie na kolację. Ale gdy wsiadłem do samochodu, nakazała kierowcy jechać „z powrotem do domu”. Nie do restauracji. Nie do innego hotelu. Do domu. Dlaczego kobieta, która wpada do miasta z krótką wizytą, miałaby zatrzymać się w domu?

Emma marszczy brwi.

– Może to dom jej przyjaciół?

– Też tak pomyślałem, ale instynkt podpowiada mi co innego. Potem okazało się, że cholernie łatwo rozszyfrować niewiadome – moi prawnicy w dziesięć minut dowiedzieli się, że Konsorcjum złożyło już wniosek o pozwolenie na prowadzenie działalności na terenie stanu. Jako adres podali posiadłość położoną na osiemdziesięcioarowej działce w Rancho Palos Verdes. Nie grzebałem głębiej, ale jestem gotów się założyć, że drugim właścicielem tego domu jest Angelique La Salle.

Emma wysuwa się z moich objęć. Wstaje, kręcąc głową, a wiatr zamienia jej włosy w powódź biało-złotych strumieni.

– I co to wszystko znaczy?

Przecieram twarz dłońmi. Jej skrzyżowane i zwieszane ramiona tak wiele dla mnie znaczą. Zrzuciłem na nią zbyt wiele cholernych bomb w ostatnich godzinach, a teraz szykuję kolejną.

Ale na to też nic nie mogę poradzić.

– To znaczy, że Konsorcjum zamierza prawdopodobnie rozszerzyć swoje badania na terytorium Stanów. A ich pierwszym celem jest Los Angeles.

Jej barki wyraźnie tężeją. Pochyla głowę w moją stronę.

– Z powodu Pioruna?

– Pewnie tak – mamroczę. – To jeden powód. A drugi to taki, że w tym mieście jest masa ludzi, którzy już wyobrażają sobie, że mogą zostać kimś takim.

– I co my z tym zrobimy?

Sięgam po jej dłoń i delikatnie ściągam ją na ziemię. Sadzam ją sobie na kolanach i napełniam jej usta długim leniwym pocałunkiem, od którego wszystko w nas topnieje i który pozbawia nas tchu.

W końcu udaje mi się wykrztusić:

– Dziękuję.

– Za co? – Jest autentycznie ciekawa.

– Za to, że pytasz, co my z tym zrobimy.

Jej oczy łagodnieją. Obejmuje palcami moją szczękę i delikatnie pociera zarost.

– Jestem w tym razem z tobą, Reesie Richardsie. – Kąciaki jej ust unoszą się, ukazując urocze dołeczki. – Dopóki nie wykopiesz mnie z łódki, jestem gotowa na każdy sztorm, jaki spróbuje sprowadzić na nas ta suka.

Unoszony na fali silnych uczuć całuję ją znowu, dwa razy dłużej i dwa razy głębiej. Jej dłonie – jedna szarpie mnie za włosy, a druga zaciska się na moim ramieniu – ponaglają, bym także jej dotykał. Jej twarzy. Krągłych piersi, talii, ud i ich wnętrza, gdzie znajduje się ciepły trójkącik.

Miękko jęczy mi w usta. Ja odpowiadam z większą determinacją. Smakuje solą morską i podnieceniem. Pachnie wiatrem i potem. Moim potem. Pragnę zanurzyć się w niej ponownie. Pragnę poczuć ją wokół siebie. Pragnę, by potwierdziła to, co Angelique próbowała mi ukraść.

Że nadal jestem człowiekiem. Nadal jestem sobą. Nadal jestem namiętnością i ogniem, pragnieniem i uczuciem.

Miłością.

O cholera. Cholera jasna.

Ja ją kocham.

Powinienem jej powiedzieć.

Ale co wtedy?

A jeśli wszystkie moje podejrzania co do Konsorcjum się potwierdzą? Czy to dlatego Angelique chciała się ze mną spotkać? Aby dołączył do jej zespołu badawczego tutaj? A gdybym odmówił – w wolnym tłumaczeniu: mowy nie ma, do kurwy nędzy, ty popieprzona suko – co wtedy? Czy zaciągnięto by mnie do kolejnej sekretnej jaskini? Czy wciąż czeka mnie taki los? Czy po tak długim czasie, po walce z najbardziej odrażającymi kryminalistami w LA, nadal jestem skazany na śmierć na noszach w jakimś laboratorium, usmażony przez błyskawicę własnej krwi?

To pewne, jeśli ci łajdacy znów mnie złapią. Tym razem żaden strażnik nie zapomni o łańcuchach.

Co się wtedy stanie z kobietą, w której zakochałem się po uszy?

Będzie za mną tęsknić. Zmarnuje sobie życie – życie, w którym pragnęła osiągnąć znacznie więcej – w tym szaleństwie, bezowocnym czekaniu, abym uwolnił się od roli szczura laboratoryjnego numer jeden Konsorcjum.

Nie zrobię jej tego. Nie mogę.

Ale wiem, co mogę jej zrobić.

– O cholera! – woła, śmiejąc się, gdy wkładam dłoń w nogawkę szortów, które o wiele lepiej wyglądają na niej niż na mnie, i szybko odnajduję drżącą perłę jej rozkoszy. – Reece... Cholera. – Zaczyna dygotać, gdy odsuwam intymny kapturek i zaciskam palce na gorącym wzgórku łechtaczki. – C-co ty...

– My – poprawiam ją rozpalonym pomrukiem. – Chciałaś zapytać, co my robimy?

Masując jej łechtaczkę, kładę się i sadzam ją na sobie okrakiem. Tak, tutaj, pośrodku plaży. O zmierzchu. W porywie wszystkiego, co mogę jej zakomunikować wyłącznie w ten sposób. Biorę we władanie jej ciało, by pokazać jej, jak bardzo zawładnęła moim sercem.

– Okej. – Gdy pociągam ją na siebie, przygryza dolną wargę, prowokując mnie do pocałowania zaróżowionej poduszeczki. – No to... Co my robimy?

Gdy unoszę wzrok, by spojrzeć w jej błękitne oczy, mój oddech się rwie.

– Nie podnoś bluzy – instruuję ją cicho. – Bo zaraz rozepnę spodnie i wyjmę kutasa. Potem wsunę go w ciebie i będziemy się pieprzyć, jakbyśmy nie mogli się sobą nasycić.

– Co takiego?

Uśmiecham się uwodzicielsko, pieszcząc ją leniwie.

– Mówisz mi, że masz mnie już dość, króliczku? Twoja cipka twierdzi inaczej. Mocniej przygryza wargę.

– N-nie o to chodzi. I d-dobrze o tym wiesz.

– No to obciągnij bluzę.

– Tutaj?

– Tutaj.

– Teraz?

W odpowiedzi rozpinam rozporek, z którego wystrzeliwuje kutas.

Emma zasługuje na więcej niż tylko szybki numer. Zasługuje na romantyczne deklaracje i leniwe, mokre pocałunki. Na erotyczne wizje i kwiecistą poezję. Na sonety, piosenki i pieprzone monologi o tym, jak rozpala moją krew. Bo moja krew naprawdę jaśnieje, więc zanim stanę się główną atrakcją całej plaży, muszę ukryć dłonie pod jej ubraniami, a kutasa zanurzyć w jej słodkim, jedwabistym wnętrzu.

Muszę pieprzyć jej ciało.

Gdy zaczynamy się kołysać, jej nogi tężeją wokół mnie. Jej cipka zaciska się niczym gorący tunel na sztywniejącym kutasie. Jej plecy prężą się pod moimi palcami, gdy nacieramy, zderzamy się i pniemy razem ku ostatecznemu, zmysłowemu wybuchowi.

Najważniejsze są jednak jej oczy.

Przyzywają mnie niczym letni dym. Tonę w ich oceanicznych głębinach. Jej nieustraszone, śmiałe pożądanie sprawia, że wbijam wzrok w jej twarz, gdy gnamy razem ku spełnieniu.

Emma wręcza mi kolejny dar, na który nie zasługuję, lecz po który sięgam chciwie.

Którego absolutnie, bezwstydnie potrzebuję.

Jej blask – emanujący z najlepszego źródła mocy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Jej serce – mój bezcenny skarb.

Być może pewnego dnia, jakimś cudem, stanę się godny tego, by o nie w pełni poprosić.

Teraz jednak mogę przekazać jej to wyłącznie siłą mojego spojrzenia i pasją ciała. W nadziei, że to wystarczy.

Dobry Boże, spraw, by wystarczyło.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

EMMA

Koleś się bzyka.
– Bez dwóch zdań.

– I to regularnie.

– Na pewno.

– Jasne.

Zatrzymuję się w progu pokoju socjalnego w Brocade i przerywam nucenie *Believer* – co wychodzi mi tak dobrze, że jestem przekonana, iż zarobię miliard dolarów, kiedy już usłyszą mnie Imagine Dragons i zażądają, bym ruszyła z nimi w trasę – by z większą uwagą wsłuchać się w dyskusję Wade’a i Fershana.

– Nie no, stary. – Wade wbija pałeczki w swój ramen i nabiera nimi kluski znaczącym gestem. – Dzisiaj ramen bar Hagakure, a w piątek Sandwich Heaven? Świeże kwiaty na wszystkich stołach na zapleczu?

Fershan unosi brew.

– To ty kwiaty zauważyłeś? Obaj dostaliśmy premie w gotówce za pozytywne ankiety satysfakcji gości.

– A czyj to był pomysł, tak w ogóle? – pytam z naciskiem, wpychając się pomiędzy nich, by ukraść strączek edamame z miski, którą się dzielą.

Fershan zaczyna chichotać.

– Oficjalnie kłaniam się królowej dobrych pomysłów!

– Ukłony nie są konieczne. – Częstuję się jeszcze kilkoma strączkami. – Chcę tylko więcej tego. – Z pomrukiem zadowolenia wysysam kolejną delikatną zieloną fasolkę z ciepłej osłonki. – Cholera. Ale to dobre.

– Okej – wtrąca Wade. – Gratulacje dla Em za premie. Ale cała reszta tych bajerów? – Zatacza w powietrzu krąg pustą pałeczką, po czym kieruje ją ku głównej hotelowej wieży. – Ja trzymam się swojej teorii. Moim zdaniem, przyjaciele, dziwołać w złoconej wieży moczy gdzieś swojego złotego knota z regularną częstotliwością.

– Fuj.

Próbuję ukryć gwałtowny rumieniec, nurkując w daniach przywiezionych z ramen baru. Pojadałabym sobie samą edamame, ale pochylam się z udawanym namysłem nad sosami, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Małe „podarunki” Reece’a dla personelu, którymi obsypuje nas troskliwie od dwóch

tygodni, znaczą dla mnie więcej niż biżuteria, słodczyce i pluszowe zabawki. A kwiaty? Upewnił się, że będą częścią mojego świata codziennie, nawet w pokoju socjalnym w podziemiach.

Mój bohater. Rozłożył mnie na łopatki. W każdy możliwy sposób.

– Bzdura! – prychnął Fershan, kontestując teorię przyjaciela. – Moim zdaniem nie masz racji. Nasz książkę zaleca się pewnie do jakiejś damy i dzieli się swoim szczęściem z ludem.

Wade stęka.

– Zaleca się? Co to w ogóle znaczy, stary? Zaleca się?

Zerkam na niego przez ramię, z grymasem na ustach.

– To o wiele lepsze niż moczenie złotego knota.

– Hej!

– Serio, Wade. Knot tego człowieka to nie nasza...

– Nie. Hej!

Na widok szoku na jego twarzy okręcam się na pięcie w tej samej chwili, gdy Wade sięga po pilota do telewizora. Gdy podkręca głośność, na ekranie pojawiają się obrazy, które powodują u mnie ściskanie serca. Umieśniona postać w czarnej skórze wyskakuje w górę, jakby napędzały ją rakiety.

Faktycznie – hej!

– Nasz kumpel znów rzucił się do akcji – woła Wade. – I to dosłownie.

Fershan wstaje i wypuszcza patyczki z rąk. Zaciska dłonie w pięści.

– Och, zamknij się! – Jego oczy ogromnieją. – Zaraz... Czy to nie jest elektrownia w El Segundo?

– No! – prychnął Wade.

– O bogowie. A co on tam robi?

– Kopie tyłki, razi prądem dupków i ratuje miasto – informuje przyjaciela Wade.

– No racja. – Fershan okrąża stół, wykonując zwycięskie gesty pięściami. – Piorun to mój chłop!

Cóż. Siadam na krześle przy stoliku za nimi i uśmiecham się jak wariatka, gdy obaj popadają w fanowski nastrój. To jest mój chłop.

W takich wypadkach jednak nie przeszkadza mi, że muszę się dzielić. Ani trochę. Jedyne, co mi przeszkadza, to fakt, że sama muszę nosić maskę. W zasadzie cały strój. Przebranie jest niewidoczne, ale równie ewidentne jak skóra i przepaska na oczy Reece'a. To fasada, która pozwala mi kibicować razem ze wszystkimi, ale też ukrywać to, co czuję, gdy widzę, jak on skacze, obraca się, walczy i wymierza ciosy ciałem, które już dobrze znam, którego pragnę i które

wielbię.

I kocham.

O Boże, ja go kocham!

O Boże, zdarzają się chwile, kiedy o wiele trudniej ukryć ten fakt. Na przykład teraz.

– Niezły koleś – woła Wade.

– Daje radę! – dodaje Fershan.

– Powinniście zobaczyć, jak daje sobie radę z palcami i odrobiną poślizgu. – Mój ledwie słyszalny szept ginie w zalewie ich podekscytowania.

– Naprawdę daje radę!

– I to jak!

Uśmiecham się nieco szerzej. I zaczynam wiercić się na krześle. Mój chłopak naprawdę daje radę. I to jak. A to oznacza, że będzie mnóstwo dodatkowych woltów do wyładowania dziś wieczorem.

Ależ ze mnie szczęściara.

Najpierw jednak zobaczę, jak – jak ujął to Wade? – kopie tyłki, razi prądem dupków i ratuje miasto.

Brakuje tylko jednego elementu. Serio.

Zauważam to w tej samej chwili co Wade i Fershan.

– Gdzie są te wszystkie dupki? – pyta Fershan jako pierwszy, pochylając się do przodu.

Wade wstaje.

– Nie ma żadnych dupków.

Fershan też się podnosi.

– Tylko jakaś dziewczyna?

Zrywam się na równe nogi, a moje serce, przygniecione nieznośnym ciężarem, opada. Ląduje w moim żołądku i wybucha jak eksperyment w polu zimnej fuzji, zasypując mnie całą odłamkami przerażenia.

– N-nie dziewczyna.

– Co takiego?

Ledwie słyszę pytanie Wade'a.

– Em? Dobrze się czujesz?

I zaniepokojone pytanie Fershana.

– To. Nie. Jest. Dziewczyna – cedzę przez zaciśnięte zęby. – To suka. – Zmuszam stopy do stawiania kroków, by stanąć przed nimi. – Suka, którą musi zabić.

Nigdy jeszcze nie wypowiedziałam tych słów. Nigdy też jednak nie padłam

ofiara tak bezwzględnego przerażenia, które jeszcze się pogłębia na widok tego, co rozgrywa się na ekranie telewizora. To nie jest film. To rzeczywistość, której nie mogę kontrolować i której się boję.

Reportaż jest nadawany z powietrza. Pokazuje Reece'a w pełnym rynsztunku Pioruna – jak skacze po przewodach i dachach ogromnej elektrowni na drugim końcu miasta, niedaleko oceanu. Na pozór wygląda to tak, jakby uganiał się za niczym, ale nagle kamery przenoszą się na jeszcze jedną postać – z długimi blond włosami, nogami striptizerki i cyckami gwiazdy porno. Widzi to cały przeklęty świat, dzięki skórczanemu gorsetowi Angelique, dopasowanej mini i krwistoczerwonym kozakom za kolano. Wszelkie wątpliwości co do jej tożsamości rozwiewa widok jej barków, gdzie pomiędzy łopatkami rozpościerają się wytatuowane czarno-czerwone anielskie skrzydła.

Szczerze mówiąc, mało mnie obchodzi, że wygląda jak ladacznica w stroju dzina. Pojedynkuje się jeden na jednego z mężczyzną, którego kocham, w imieniu kryminalistów, którzy go porwali, przetrzymywali i zmodyfikowali jego krew, powołując się na dobro nauki. Odebrali mu życie, a teraz powrócili, gotowi je zakończyć.

Nie wiem, jak inaczej interpretować to, co robi mu Angelique.

Na każdy jego impuls elektryczny odpowiada czymś w rodzaju wielkiej tarczy, która jest jakoś powiązana siłowo z elektrownią. Zmienia nią ich kierunek i odbija je. W strategicznych momentach zatrzymuje się i opiera całym ciężarem na masywnych dźwigniach, uwalniając coś na kształt pomniejszonych wersji elektromagnetycznych impulsów. Światła migoczą, kłębi się dym, wyją alarmy, a Reece zwija się na ziemi w kłębek niczym pies porażony wysokotonowym gwizdkiem. Gdy tylko impuls słabnie, wstaje, choć wyraźnie osłabiony ciosem.

Serce podjeżdża mi do gardła. Z moich ust wrywa się jęk przerażenia. Zaciskam palce na krawędzi blatu i tylko dzięki temu nie osuwam się na ziemię na miękkich nogach. Tylko co to daje? Co mogę zrobić? Nie mogę stanąć obok niego, choć tego pragnie moja dusza. Nie mogę do niego biec, pomóc mu, być tam dla niego. Nie mogę nawet krzyknąć, żeby wstał, jak Wade i Fershan. A jeśli się zapomnę i wymknie mi się jego imię? Mogę tylko patrzeć, rozdzierana tą samą paniką co reszta miasta, gdy kobieta ubrana jak dziwka z Santa Monica i poruszająca się jak gwiazda kina akcji powala naszego superbohatera na kolana.

Po czwartym impulsie Reece nie jest w stanie się podnieść. Przewraca się na plecy, zakurzony i pokonany. Podchodzę bliżej telewizora. Po moich policzkach płyną łzy, zachłystuję się powietrzem, koncentrując się na klatce piersiowej. Szukając oznak życia u mężczyzny, którego kocham, a który leży na ziemi w

powodzi elektrycznych iskier i próbuje pogodzić się z tym, że w końcu przegrał.

Wyczuwam to, gdy obserwuję go z oddali przez soczewkę obiektywu. Cholera, może jednak kamery wyostrzają mój wzrok i intuicję? Czuję się tak, jakbym cierpiała tam obok niego. Wiem, co myśli, choć tylko na niego patrzę.

Poddaje się.

– Nie – wykrztuszam ochryple.

Przygotowuje się na nieuniknione.

– Nie!

Porażkę ma wypisaną na stężącej twarzy. Dłonie zacisnął w pięści. Jest śmiertelnie blady, co widać nawet z wysokości, na której unosi się helikopter stacji telewizyjnej.

– Nie!

Lada chwila Angelique stanie u jego boku, triumfująca niczym niepokonana Deneuve, tyle że bez torebki od Balenciagi i eleganckiego francuskiego papierosa. Wątpię, czy poda swojej ofierze choć szklankę wody.

Chyba że...

...szklanka wody sama wprosi się na tę imprezę.

Chyba że...

Choć straciłam nadzieję na cud, aniołowie sprowadzają go na Reece'a w postaci mgiełki, która zamienia się w deszcz. Po minucie betonowa płyta pod plecami Pioruna staje się całkiem mokra.

A potem jeden z luźnych przewodów elektrycznych przesuwają się nieco, dotyka wody i rozpala beton oślepiającymi wstęgami elektryczności, unosząc mężczyznę, którego kocham, wprost ku ciemnemu niebu.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

– Kuuurwa! – krzyczy Wade.

– O, tak! – piszczy Fershan.

– Reece! – wrywa się z moich ust w tej samej chwili.

Nie dbam o to. Mogę tylko okręcić się na pięcie i popędzić do miejsca, w którym zostawiłam torebkę. Muszę znaleźć komórkę.

Gdy tylko zaciskam na niej palce, od razu wybieram numer. Niewyraźnie widzę przez łzy, przeklinam, gdy wybieram złą ikonę. Rozmowa z pralnią chemiczną to ostatnia rzecz, na jaką mam teraz ochotę. Wezwanie Zalkona na pomoc? Jak powiedziałby Reece?

Bingo!

Reece.

Jego imię to jedyna rzecz, którą wpuszczam do swojego umysłu. Mój

priorytet. Tylko to się teraz liczy. A moi dwaj koledzy z pracy śledzą każdy mój ruch jak kociaki kropkę lasera i w końcu zbierają się na odwagę, by zabrać głos, gdy czekam w nieskończoność, aż Z. podniesie słuchawkę.

– Co, do cholery? – mamrocze Wade.

– Na jaja Kriszny... – wtrąca Fershan.

– Nie teraz – warczę na obu.

– Ale...

– Ale...

– Nie teraz. – Wychodzę z pokoju z telefonem przy uchu. Z. odbiera, rzuca jakiś zabawny tekst, lecz jemu również przerywam. – Reece nas potrzebuje. Nie musisz podjeżdżać po mnie pod frontowe wejście do hotelu. Wyjdę od tyłu. Pośpiesz się!

REECE

– C-co, do cholery? – mamrocze. – Gdzie do cholery...

– Cicho!

W chaosie, który kiedyś nazywałem swoimi zmysłami, głos tej kobiety to jedyne dostatecznie wyraźne doznanie. Przedziera się przez szalejące w mojej krwi napięcie, przepełnione kondensatory mięśni i przepalone obwody mózgu.

– Emma?

– Spokojnie.

– Kurwa. – Próbuję się podnieść. – Nie mogę sobie zrobić przerwy, Velvet. Nie teraz. Angeliq...e...

– Znikła – informuje mnie rzeczowo, choć jej głos przerażająco drży.

Jej strach to nie wstążki, to grube liny, które ją pętają. Nie, trzymają ją w kupie. Bo próbuje nad sobą panować. Dla mnie?

Dlaczego?

Odsuwam na razie to pytanie na rzecz innego, łatwiejszego.

– Nie żyje?

Nie jestem dumny z tego, jak wyraźnie słycać nadzieję w moich zimnych słowach.

Angeliq...e powiedziała mi o sobie dość, bym uwierzył, i wierzył nadal, że głęboko w niej skrywa się jeszcze dobro. Poza tym jestem dupkiem, ale nie mordercą. Wziąwszy jednak pod uwagę, że mam usmażony cały system, nic dziwnego, że opory też pochłonał ogień.

– Nie wiemy. – Jej głos nadal drży.

Obok przejeżdża ogromna ciężarówka, więc ledwie go słyszę. Biorę się w garść na tyle, by uświadomić sobie, że leżę na warstwie błota w płytkim rowie, w połowie drogi między elektrownią a szosą.

– O kurwa – mamroczę.

– Bez jaj – wtrąca Zalkon.

Stoi kilka kroków za Emmą. Poluzował krawat, jego czarny garnitur jest poplamiony błotem, a na jego śniadej twarzy maluje się autentyczne przerażenie.

– Było spięcie. – Kropelki mgły podkreślają profil Emmy, gdy zerka na elektrownię, na terenie której roi się teraz od policji, strażaków i przedstawicieli koncernu energetycznego. – Przewód spadł na mokry cement i...

– Pamiętam. – Przynajmniej tak mi się wydaje. Trudno mi się myśli. Mój mózg to kula bólu. Pulsujące światła samochodów służb ratunkowych przeszywają jego szarą istotę niczym czerwone i niebieskie lasery. – Cholera. Musiało mnie przerzucić przez płot.

Emma drżącymi palcami odsuwa pasmo włosów z mojego czoła.

– Pamiętasz coś jeszcze? Co wydarzyło się wcześniej?

– Tak. – Jest ciemno. Wciąż kręci mi się w głowie jak na karuzeli, ale udaje mi się chwycić ją za rękę. – Mniej więcej. – Gównianie się z tym czuję, ale korzystam z jej ciepła, które daje mi siłę, by mówić. – Na moim policyjnym skanerze pojawiło się zgłoszenie, którego nie mogłem zignorować. Włamanie w elektrowni. Ktoś nieźle kombinował. Wyglądało to tak, jakby chciano zakłócić działanie elektrowni.

Emma sztywnieje.

– To była ona.

– Tak.

– Doskonale wiedziała, jak można się z tobą zabawić w takim otoczeniu.

– Tak. – Emmę przebiega gwałtowny dreszcz, zaraz potem całkiem traci nad sobą panowanie i wybucha szlochem. A ja czuję się jak jeszcze większy dupek. Rozpaczliwie pociągam ją na siebie, absorbując falę jej żalu ramieniem. – Hej. Hej, piękna. Już dobrze.

Wplata palce w moje włosy i znów wybucha szlochem, wciskając twarz w moją szyję.

– Wcale nie jest dobrze!

– Emmo? – Z. podchodzi bliżej.

Posyłam mu spojrzenie, którym wyrażam wdzięczność, ale zaznaczam, że ma się trzymać z daleka. Uspokajam tym samym w sobie opiekuńczego jaskiniowca,

choć narażam się jednocześnie na opinię zreformowanego dupka. Nie mam prawa tak się do niej przytulać. Kurwa, w zasadzie nie mam nawet na to siły. Ręce mam jak spaghetti. W moim obolałym mózgu wszystko się rozmazuje.

Choć wiem, że to wyczerpanie systemu jest tylko tymczasowe, jego implikacje dla mojego życia już takie nie są. Nigdy jeszcze tak wyraźnie nie dostrzegąłem tej prawdy. Ona powinna być tego wieczoru w domu z mężczyzną, takim jak... Cóż, jak Z. – miłym facetem w niezłym garniturze, ze stabilną posadą i poczuciem humoru. Z kimś, kto zawsze będzie ją wspierać, a nie szukać wsparcia, leżąc w rowie i oferując jej tylko nerwy, łzy i błoto.

– Nic mi nie jest – oświadcza, zalewając się łzami. Podnosi się i prostuje. – Nic mi nie jest. Ale Bóg mi świadkiem, jeśli Angelique La Salle choćby pomyśli, by znów się do ciebie zbliżyć...

Przerywam jej paplaninę, mocno ściskając za przedramię.

– Będę bardziej przygotowany niż dzisiaj.

– Kim jest Angelique La Salle?

– Założę się o twój gorący tyłek, że będziesz przygotowany. – Emma kiwa głową z większym namaszczeniem niż raper podczas występu. Unosi dłoń. – Będziesz przygotowany, a ja będę obok, żeby pokazać jej, że skajowe wdzianko i kozaki do ud na szpilce działają wyłącznie na zdesperowanych frajerów w Santa Monica.

Z. milknie. Ewidentnie nie jest pewien, czy się śmiać, narzekać, czy przybić mojej dziewczynie piątkę. Mam ten sam dylemat, tyle że dysponuję jeszcze jedną dostępną opcją, z której chętnie korzystam.

Całuję ją.

I znowu.

A potem, po raz trzeci, nasze wargi łączą się na dłużej. Sięgamy głębiej, splatamy się mocniej. Jęczę ochryple, spijając jej siłę niczym cholerny wampir, zwłaszcza gdy potęga namiętności Emmy toruje sobie drogę ku elektronom w moim ciele, komórkom mojej duszy, ścięgnom moich mięśni.

I nagle to do mnie dociera.

Nie zdołam już żyć bez niej.

I właśnie dlatego muszę bez niej żyć.

Nigdy jeszcze nie czułem takiego przekonania. Ani takiej rozpacz. Ta świadomość uderza w moje serce jak fala przyływu, przenosi góry w moim umyśle. Jest katastrofalna jak trzęsienie ziemi, ale takie już moje przeznaczenie. I moja pewność. Gdy dociera do mnie powód, wybucham miękkim śmiechem.

Właśnie dokonałem wyboru, całkowicie ignorując własne potrzeby.

– Reece? – Emma zauważyła moją reakcję. Poddaje mnie uważnym oględzinom. Jej dłonie delikatnie badają moją twarz. – O co chodzi?

– To znaczy, poza tym, że on jest... – Głos Z. przechodzi w oszołomiony szept.

– ...gotów odpalić torpedę numer jeden? – Znow wybucham śmiechem i poruszam świecącymi palcami, jakbym w niego mierzył. – Czyli jednak twój szef jest fajnym facetem, co?

Na zaniepokojoną twarz Z. wypływa lekki uśmiech.

– Niech szef tylko powie, gdzie jest Gwiazda Śmierci, a zaraz ją wysadzimy.

Zaczynają mi wracać siły, więc przetaczam się na klęczki. Elektrony pędzą przeze mnie jak eskadra myśliwców otaczająca własną Gwiazdę Śmierci, każąc mi podejść do mercedesa. Wziąwszy pod uwagę bliskość Emmy, chyba domyślam się, w który kwadrant wszechświata się kierują z ponaddźwiękową prędkością.

– Dowiedziałeś się tylu ściśle tajnych rzeczy, że będę musiał cię zabić.

Z., który aż do teraz dotrzymywał mi kroku, poślizgnął się na błocie i znieruchomiał.

– Eee...

– Żartuję.

– Dzięki Bogu! – mamrocze.

– Dzięki Bogu – wtóruje mu chrapliwie Emma. Zamieram w połowie drogi pomiędzy drzwiczkami samochodu a tylną kanapą i zerkam na nią z niepokojem. Posyła mi nerwowe spojrzenie spod rzęs. – Możliwe, że tak się zestresowałam tym twoim pojedynkiem z Angeliqwe w wiadomościach...

– Że? – ponaglam.

– Że powiedziałam o tobie także Wade'owi i Fershanowi.

Stojący obok drzwi kierowcy Zalkon wybuchają śmiechem.

– Dla tych koleśi na pewno jesteś teraz najlepszym szefem na tej planecie!
Emma chichocze.

– Co do tego nie ma wątpliwości.

Pochyliłam się i całuję jej wesoło uniesione kąciki ust.

– Nawet jeśli uznam, że ich też trzeba zabić?

– O nie. – Jej oczy ogromnieją jak u lalki. – Tylko nie to, panie Richards.

– Cóż... – Obrzucam ją spojrzeniem od stóp do głów. – Może wystarczy mi twoja pokuta.

Jej oczy rozbłyskują.

– Moja pokuta?

– Mhm. – Kiwam głową z lubieżnym rozleniwieniem. – Odbiorę ją sobie, hm, w naturze.

– Och. Jeśli tak. – Osuwa się na kanapę i pociąga mnie za sobą. Gdy tylko zamykam za nami drzwi, a Z. odpala silnik i samochód rusza, nasze wargi spotykają się dzięki czystej magii trzeciej zasady dynamiki Newtona.

Moja usta opadają na nią raz po raz. Gryzę, dominuję, wsuwam się w nią, błędząc językiem w jej mrocznej, gorącej głębinie i symulując to, co mój kutas zrobi z jej cipką. Odpowiada mi świadomym jękiem. Splata palce na mojej szyi i pozwala mi wypełniać i posiadać swoje usta.

– Z. – Podnoszę głos, nie odrywając od niej wzroku. – Podnieś zasłonę.

Wargi Emmy rozciągają się w uśmiechu. Unosi nogę i wbija jeden z obcasów w przesuwne drzwi między nami a przednim siedzeniem. Zaczyna chichotać, gdy jej but zsuwa się ze stopy i spada na podłogę.

– Chyba już to zrobił.

– Rozsądny człowiek.

Emma wzrusza ramionami i korzysta z tej wymówki, by położyć dłonie na guzikach bluzki.

– Pracuje dla najlepszego szefa na tej planecie. Oczywiście, że to rozsądny człowiek.

Gdy odsłania każdy nowy centymetr alabastrowej skóry i koronkowy stanik, obserwuję jej palce jak zahipnotyzowany. Nagle uderza mnie mocno bolesna myśl, że to ostatni raz, kiedy jestem z nią w taki sposób. Kiedy patrzę na nią – taką otwartą i pozbawioną barier. Kiedy doświadczam jej uroku, którego jej fizyczna doskonałość jest zaledwie początkiem.

Ale jakim udanym początkiem.

– Nie jestem dobrym człowiekiem, Emmo.

Pomruk wydobywa się z mojego gardła, gdy przesuwam dłonie w górę jej nóg, zaciskam palce na czarnych majteczkach, gotów rozerwać je z szorstkim zniecierpliwieniem. I nagle okazuje się, że to tylko pończochy zabezpieczone cholernie seksownym pasem. Pośrodku znajduje się maleńki trójkącik czarnej satyny, który tylko w jakimś szalonym, alternatywnym wszechświecie może nazywać się bielizną.

Oddech więźnie mi w gardle.

Unoszę wzrok ku jej twarzy, gdzie czeka już na mnie żartobliwie uwodzicielski uśmiech.

– Co ty nie powiesz? – Przerzuca drugą nogę ponad moim ramieniem. – Ja też nie jestem dobra, panie Richards.

Nie mogę się powstrzymać i wybucham głębokim śmiechem, który odbija się echem także w mojej duszy. Co za kobieta! Niewiarygodne, niezapomniane stworzenie. Błyskawica w mojej krwi może sobie odpowiadać za nasze poznanie, ale burza, którą rozpętała w moim sercu, nie osłabnie nigdy.

Nigdy.

Pozwalam, by ten sekret opanował moje myśli, a dłoniom nakazuję zsunąć majteczki z rozkosznej szczeliny.

– Moja słodka, błyszcząca niespodzianka. – Wsuwam palec pomiędzy drżące wargi i poruszam nim z góry na dół.

– Pomyślałam, że mogą ci się spodobać. – Emma opiera głowę o drzwi, jednocześnie unosząc brodę w zmysłowym zaproszeniu. – Kupiłam je w sieci. Dziwnie się czułam, wkładając je w firmowej łazience, ale dzięki nim myślałam o tobie przez resztę dnia.

Głaszczę delikatnie, koncentrując się na jej łechtaczce.

– Cieszę się, że to zrobiłaś.

Unosi biodra i rozchyła usta.

– Może powinnam kupić jeszcze kilka par?

A może ja powinienem zmienić temat? I to szybko.

Nienawidzę się za to jak cholera.

Może nie powinienem jednak niszczyć tego zestawu?

Nie jestem dobrym człowiekiem, Emmo.

Gdybym nim był, nie rozkładałbym jej nóg szerzej, by upajać się uderzającym do głowy widokiem cipki: mokrej, oczekującej, otwartej i śliskiej. Nie szarpałbym zapięcia spodni z tak zwierzęcą niecierpliwością i nie wydałbym jęku, gdy mój penis wyskoczył z nich z taką gotowością. Nie ułożyłbym się u wejścia do jej ciemnej szparki i nie wciskałbym sztywnej cebulki pomiędzy jej niecierpliwe wargi, nawilżając je palącymi kroplami swojej spermy.

Gdybym miał w sobie choć cień dobroci, paskudne słowa w moich myślach nie zamieniałyby się w brudne obietnice na moich ustach.

– Czas na twoją pokutę, Emmalino. Zamierzam ją wygekwawać, pieprząc twoją cipkę do nieprzytomności.

Cała drży. Jej płuca pracują ciężko, unosząc piersi spragnionymi dłońmi. Zaciska palce na krawędziach stanika i obnaża się w dzikiej interpretacji gestu, jaki wykonuje najślynniejszy filmowy superbohater. Tyle że dodaje do tego własnego unikalnego zmysłowego smaczku.

Harda, wspaniała syrena.

Seksowna, niewiarygodna superheroína.

Moja. Moja. Moja.

Nawet jeśli tylko w tym ostatnim, nieuczciwie zdobytym momencie.

Moja.

Widok nagich cycków, ugniatanych i szarpanych przez jej chciwe dłonie, doprowadza mnie na skraj szaleństwa. Nacieram na nią, rozciągając jej cipkę jednym pchnięciem absolutnej erekcji. Pieprzę ją tak intensywnie, mocno i głęboko, że czując moją siłę, wzdycha, dygocze i krzyczy.

– Chcesz więcej, Velvet?

– Tak. Tak.

Daję jej to z radością. Raz po raz, raz po raz.

– Więcej?

– Tak! Więcej twojego kutasa. Proszę, Reece!

– Chcesz dojść od mojego kutasa?

– Kurwa. – Kręci głową z lewej na prawą i z powrotem w erotycznej ekstazie.

– Zadałem ci pytanie, Emmalino.

– T-tak – wykrztusza. – Tak, do cholery. Pragnę dojść od twojego kutasa!

– Proszę bardzo. – Wdzieram się w nią, pocierając odsłonięty guziczek podbrzuszem. – Zrób to – nakazuję jej przez zaciśnięte zęby, bo czuję już pulsowanie wokół mojego kutasa dojonego przez siłę jej spełnienia.

Wyciąga ze mnie orgazm. Zabiera mi wszystko. Zabiera w siebie wszystko, czym jestem.

Aż nagle z moich ust padają jeszcze bardziej zdumiewające słowa:

– Kocham cię, Emmalino Crist.

Playlistą Z., wielbiciela klasycznego rocka, nie zaskakuje ani głosem Davida Bowiego, ani dobiegającą z przedniego siedzenia jego piosenką. W tej samej chwili ogarnia mnie głębokie poczucie sensu, przekonanie, że jest to wybór – było, nie było – superbohatera. Nieważne, jak cholernie trudny się okaże, zwłaszcza po tym, gdy właśnie wyznałem wszystkie uczucia.

Zwłaszcza że piosenka się wzmaga. Bowie śpiewa tak, jak tylko on potrafi, o niczym i o wszystkim, co jest ważne. O wieczności i nicości egzystujących obok siebie.

– Ja też cię kocham, Reesie Richardsie.

To wyznanie mnie nie szokuje, ale i nie poprawia mi humoru. Inaczej: nie tak, jak bym chciał. Jej głos jest ochrypły, jakby te słowa niosły więcej smutku niż radości. Jakby zgadzała się ze słodko-gorzkiem bólem zawodzenia Bowiego, którego dystopiczne nuty zlewają się z turkotem kół na autostradzie. Wysuwam się z niej, gdy wokół rozlegają się słowa o pistoletach i pocałunkach, o królu i

królowej. O stawaniu się bohaterami.

Emma odwraca się tak, bym objął ją od tyłu. Już nienawidzę wrażenia, że się ode mnie odsuwa; w myślach wymierzam sobie policzek za te cikliwe bzdury. Chcę mieć pewność, że jest blisko czy że jest bezpieczna? Co by się stało, gdyby znalazła się w pobliżu mnie w El Segundo? Co zrobiłaby Angelique, by wyeliminować ją z obrazka – mojego obrazka – w takiej odosobnionej lokalizacji?

Próbuję skupić się na odpowiedzi. Godzę się przyjąć, że ten wieczór to mniej bolesna naučka. I czynię to z wdzięcznością.

Milczymy, pędząc ku wyrazistemu krajobrazowi miasta.

Obłe wieże US Bank i 777 Towers. Dumne obeliski Aon Center i Union Bank Plaza. Ogromna purpurowa kopuła areny w LA Live i budynek ratusza, który wystąpił w setkach filmów i seriali.

A pomiędzy nimi stylizowana złota wieża Brocade.

Gdy tylko naszym oczom ukazuje się hotel, kobieta w moich ramionach wzdycha ciężko. To również nie brzmi jak szczęście. Raczej jak rezygnacja.

I smutek.

– Wysiadasz tam, prawda? – Ten sam konflikt rozbrzmiewa w jej łagodnym wyzwaniu. – W Brocade.

– Przyciska dłoń do mojej piersi, jakby dzięki temu chciała odczytać temperaturę mojego serca. Jakby to mogło zadziałać. Powiedzieć jej, że to, czego teraz pragnie moje serce, nie jest tym, co mogę dać.

– Emmo...

– Odpowiedz, do ciężkiej cholery! – Jej głos nabrzmiewa od powstrzymywanych łez, choć jej oczy są suche jak niebo nad pustynią. – Wysiądziesz, wjedziesz do tego penthouse'u i odetniesz się od całego świata, łącznie ze mną. Tak jak to robiłeś przez ostatni rok. A to wszystko z idiotycznego strachu...

– Idiotycznego? – przerywam. Pakuję kutasa z powrotem do spodni, które zapinam. Chce poznać strach? Dam jej tę możliwość. – Oglądałaś to dzisiaj, tak? – nacieram. – Tak mówiłaś.

– Jeśli powiedziałam, że oglądałam, to oglądałam. – Składnia jest defensywna, ale ton już nie.

Emma jest ewidentnie wkurzona. Świetnie. Może powinienem ją wkurzyć, żeby zapomniała o miłości i posłuchała?

– To znaczy, że widziałaś, co próbowała mi zrobić Angelique? – warczę. – Co mogłoby się stać, gdybyś była tam ze mną? Co by się stało, gdybyśmy na przykład

byli razem na randce? Co się stanie, jeżeli ona kiedykolwiek dowie się, jak bardzo się w tobie zakochałem?

Jej wargi drżą, choć wyraźnie próbuje nad sobą zapanować.

– Myślisz, że nie poradzę sobie z Angelique?

Zaciskam szczęki.

– Myślę, że nie rozumiesz Konsorcjum. To nie jest jakaś banda skrajnych radykałów z dziwnym medycznym zacięciem, Emmo. Są zimni, są metodyczni i bezwzględni. A ja jestem luźną nitką w ich ohydnych pomarańczowym swetrze. Zrobią wszystko, by z powrotem wszyć mnie do środka albo mnie odetną razem z nitkami, do których się przywiązałem. W tej grze nie da się wygrać. A ja czułem się cholernie dobrze z tym, że przyjdą, by odebrać mi tę wygraną.

– Aż do teraz – wtrąca posępnie.

– Tak. – W końcu rozluźniam szczęki na tyle, by mówić normalnie. – Aż do teraz. – Wplątam palce w jej włosy. Miażdżę błyszczące pasma w pięści, z trudem przełykam ślinę, wyobrażając sobie, że Emma leży na chodniku, zabita w imię szalonej misji Konsorcjum. – Nie dopuszczę do tego – przysięgam uroczyście. – Nigdy do tego nie dopuszczę.

Unosi głowę i wbija gorączkowe spojrzenie w moją twarz.

– No to co zrobisz?

– Wyłączę z tego siebie. I ciebie. Kurwa. Zwłaszcza ciebie.

Podkreślam te słowa, przenosząc ją na moje kolana i całując mocno. Niech to szlag, wciąż smakuje tak dobrze. I jeszcze lepiej wygląda. Nakrywa moje wargi swoimi z bolesnym jękiem i wpląta palce w moje włosy. Szarpie do granicy bólu, a mój puls przyspiesza. Nie potrafię odmówić sobie jej języka, tak jak nie zrezygnuję z powietrza. Całujemy się jak gorący napaleni nastolatki na plaży.

Gdy Z. zjeżdża z autostrady na gwarne ulice w centrum, wokół wciąż rozbrzmiewa Bowie.

Odrywamy się od siebie, zachłystując się powietrzem, a z gardła Emmy znów dobywa się ten smutny dźwięk. Ona rzuca się na mnie, wtula we mnie mocno i szepcze błagalnie w moją szyję:

– Nie rób tego. – Półksiężyc jej paznokci wbijają się bezwzględnie w mój kark. – Nie rób tego, Reece. Proszę.

Biorę ją w ramiona. Oddycham nią, deszczem, miodem i smutkiem, zmuszając się do odpowiedzi:

– Tak trzeba.

– Nie musisz się ukrywać już nigdy więcej.

Opieram czoło na jej włosach i powoli kręcę głową.

- W tym momencie ukrywanie się oznacza pokonanie ich.
- Ukrywanie się to przegrana! Niech to szlag, jeśli...

Przerywa gwałtownie, bo moja pięść wbija się w szybę samochodu. Wzmacniany panel pokrywa się siatką pęknięć. Wygląda niemal jak witraż, gdy w odłamkach odbijają się barwy miasta.

To taka przyjemna interpretacja. Może najlepsza, bo w aucie zapanowała aura trudnych prawd i niewygodnej akceptacji.

Kilka minut później Z. zatrzymuje się pod samotną markizą mojego prywatnego wejścia do hotelu. Biorę głęboki oddech i wypuszczam powietrze, ponownie rozważając słowa Emmy. Czy jest jakiś inny sposób, czy może muszę stać się również tym rodzajem dupka? Tak, tym, który właśnie przeleciał swoją dziewczynę, zamierzając ją zaraz potem zostawić. Tym, który powiedział jej, że ją kocha, w samym środku tego bałaganu.

Tym, który zaraz wysiądzie z samochodu, pragnąc raz jeszcze jej dotknąć w jakikolwiek sposób, lecz nakaze sobie nie oglądać się za siebie. Jeszcze jeden głęboki oddech. Walka w ostatniej sekundzie, która stanie się kolejną odrażającą sekundą. A potem udręczoną minutą, agonialną godziną, ponurym dniem kolejnych samotnych tygodni i nadchodzących lat.

- Prześlij mi rachunek za szybę, Z.
- Oczywiście, panie Richards.
- Kocham cię, Emmalino.
- Pierdol się, panie Richards!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

EMMA

Niech go szlag.
Niech go szlag pod każdym względem!

Nie znałam dotąd takiego smutku. Szczerze mówiąc, wątpiłam, że w ogóle istnieje. Jak bardzo trzeba mieć złamane serce, by nie móc uronić z tego powodu nawet jednej łzy?

Ale jeśli coś jest warte tego, by to przeżyć, jest również warte żalu. A żal oznacza łzy, prawda?

Godziny po jego odejściu stają się dniami.

Dzień staje się dwoma dniami.

A potem trzema.

Żal wraca codziennie. A ja, oczywiście, mam nadzieję, że skoro nie ma łez, nie znaczyło to dla mnie tak dużo, jak mi się wydawało. Że on nie znaczył dla mnie tak wiele.

Czasami niemal udaje mi się w to uwierzyć. Na przykład gdy w pracy jest urwanie głowy, nawet jeśli Wade i Fershan chodzą wokół mnie na palcach. Albo w tych magicznych chwilach, gdy pochłania mnie dobra książka, gdy dzieje się coś ciekawego w metrze. To też wyrывa mnie z samotności, która zapanowała w moim sercu.

W tych krótkich, cennych chwilach zaczynam myśleć, że wszystko jest okej – ale to powraca. Wspomnienia. Ból. Poczucie straty w miejscach tak odległych i strasznych we mnie, że nie mogę utrzymać żadnego jedzenia w żołądku, żadnej myśli w głowie ani żadnego uczucia w sercu. Trwam w zawieszeniu w tym przeklętym mroku. Ból tkwi we mnie tak głęboko, że zaczynam wyczekiwać łez. Byłby to jakiś znak, że żal kiedyś da się ukoić.

Z tą mało radosną myślą pakuję ostatnie przekąski i butelkę wody do pracy, wkładam to wszystko do torby na ramię i wychodzę z mieszkania, by złapać metro o piętnastej.

Schodząc po schodach na podwórko, rozmyślam o dwóch wakatach na dziennej zmianie, które pojawiły się niedawno. Znów zastanawiam się, czy poprosić o przeniesienie na jeden z nich, chociaż na jakiś czas.

Albo na dłużej.

To tymczasowe rozwiązanie, ale może tego właśnie mi trzeba, by uniknąć

policzków, którymi obdarza mnie los każdej nocy, przypominając mi o Reesie? W zasadzie to Neeta wspomniała o tych wakatach, wyczuwając, jak się męczę. A może nawet domyślając się, że to Reece jest źródłem moich problemów.

Może jednak byłaby to zamiana jednej puszkii Pandory na drugą? Teraz, nocami, muszę mierzyć się tylko ze wspomnieniami o nim. Jak jednak zareaguję, jeśli rzeczywiście się z nim zobaczę, co jest o wiele bardziej prawdopodobne podczas standardowych godzin pracy?

Zwłaszcza że wiem, jak ostatnio spędza wieczory.

O tak. Piorun częściej pokazuje się teraz na ulicach. Całe miasto jest zachwycone.

Świetnie dla miasta.

Ponure myśli towarzyszą mi, gdy zeskakuję z ostatniego stopnia schodów. Zatrzymuję się i podsumowuję moje rozmyślenia głośnym prychnięciem.

– Oto ona, ludzie! Najbardziej przygnębiona dziewczyna w najbezpieczniejszym mieście świata! Wielkie brawa dla Emmaliny Crist!

Gdy przestaję naśladować wiwaty wymagowanego tłumu, wykrzywiam twarz w grymasie.

Niech to szlag. Właśnie użyłam pełnej wersji swojego imienia.

Tak jak robi to Reece.

Tak jak to robił Reece.

– Cóż, przynajmniej wyglądasz jak milion dolarów, skarbie.

Nagradzam się za ten komplement wybuchem śmiechu, kierując wzrok na kaczuski ze wstążkami na noskach, na które w ramach pocieszenia przepuściłam mnóstwo pieniędzy. Od dwóch dni leżały w pudełku, ale tylko dlatego, że ten odcień zieleni musiał poczekać na idealną bluzkę, którą oddałam do pralni. Teraz buty i bluzka tworzą harmonijny komplet.

Może nie czuję się jak milion dolarów, ale przynajmniej tak wyglądam.

– Czyżbym nie dosłyszała puenty?

To tyle, jeśli chodzi o czucie czegośkolwiek.

Posyłam gniewne spojrzenie osobie będącej źródłem tego żartu. To tak przyjacielska kpina, że mógłby mnie nią przywitać każdy z moich sąsiadów – gdyby tylko mieli francuski akcent i pachnieli jak perfumy Baccarat pomieszane z goździkowymi papierosami. Ale to nie z powodu zapachu serce podchodzi mi do gardła. Nie chodzi też o strach, z którego powinnam szaleć, zdaniem Reece'a.

To nietypowe, ale nie całkiem niepokojące.

A to dlatego, że podoba mi się uczucie, które pojawia się w momencie strachu.

Pozwalam, by ogarnął mnie gniew – czysty i ożywczy – kiedy mierzę

wzburzoną wzrokiem tę sukę od stóp do głów. Obejrzaawszy ją sobie dokładnie, znów wybucham śmiechem. Tym razem głośniejszym. I o wiele dłuższym.

– Angélique La Salle. – Kołyszę się na piętach. – Kobieta o nazwisku księżnej i garderobie zdziwy. Zastanawiam się, czy pogratulować ci wszechstronności, czy może bycia zdirowatą marionetką?

Ona przyjmuje podobną pozę, wypycha biodro jak szmaciana lalka. Wydaje mi się, że dostrzegam na jej twarzy rzecz zdumiewającą – strach, przed którym Reece ostrzegał mnie.

I niemal robi mi się żal tej kobiety. Niemal.

Bo zaraz na powrót zaczynam jej nienawidzić.

Wystarczy, że przypomnę sobie, jak w elektrowni powaliła Reece'a na kolana, dodając upokorzenie do swojej wcześniejszej zdrady. Pogłębiając w nim żal, który przekonał go, by nigdy nikomu nie ufać.

Pod wieloma względami ta suka już zabiła mężczyznę, którego kocham.

– Zdirowata marionetka – powtarza z rozbawionym uśmiechem. – To *très créatif*, muszę przyznać. – Przechyliła głowę. – Hm. Chyba teraz to widzę.

– Co takiego?

– Te cechy, które fascynują Reece'a.

– Fascynowały Reece'a. Czas przeszedł. Nie widziałam go od trzech dni.

Cieszę się, że mogę cisnąć jej to w twarz bez udawania. Cieszę się, że nie wzięłam dzisiaj wolnego w pracy i nie siedzę teraz w domu przed telewizorem, z butelką wina.

Cholera. Surrealistyczna chwila numer dwa. Czy ja właśnie zrozumiałam choć trochę, dlaczego Reece zerwał ze mną kilka dni temu?

Konsorcjum jest zimne, metodyczne, bezwzględne...

Przez trzy dni zadreślałam się myślami o jego tchórzostwie, o tym, że postanowił ukryć się przed nimi, a ochraniać mnie było tylko wymówką. Teraz jednak czuję cholerną ulgę na myśl, że to ja mogę chronić jego.

– Nie widziałas go, czy naprawdę go nie widziałas?

– Okeeej. – Cieszę się także, że dociera do niej wyłącznie moja instynktowna prawda. Czyli moje autentyczne zdziwienie. – Masz kamery ukryte w krzakach, co? – Przenoszę wzrok na bugenwillę, wykorzystując ten moment, by ukryć kolejną emocję: autentyczny triumf.

Nie wiem, gdzie jest Reece. Ale oni też nie.

– Czy ty potrafisz odpowiedzieć na pytanie? – Angélique podchodzi do mnie powoli, sięgając do kieszeni ukrytych w swoich kozakach. I wyciąga z nich dwa identyczne sprężynowe ostrza. Otwiera je równocześnie, wymachuje stalą w

powietrzu.

Gdy kieruje się ku mnie z wyraźnym celem, noże błyszczą w popołudniowym słońcu.

Przez dwie sekundy pograżam się w szaleństwie niepokoju.

A potem za pomocą pudełka na lunch wytrącam jej jeden nóż z dłoni. Drugiego pozbawiam ją butelką z wodą. Owszem, tak po prostu. Obserwuję, jak rzuca się na ziemię, by je podnieść, i zaciskam wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Próbuję pamiętać, że Reece ostrzegał mnie przed tą suką, ale gniew przejmuję nade mną kontrolę, przesłaniając zdrowy rozsądek. Jedyne, o czym mogę myśleć, to wymierzenie tej jędzy sprawiedliwości w stylu LA.

Gdy pochyła się nisko po drugi nóż, wbijam obcas w środek jej kręgosłupa i powalam ją na ziemię. Próbuje przetoczyć się na drugi bok, ale wtedy drugi obcas wciskam w jej tchawicę. Tylko na tyle głęboko, by upewnić się, że dotrze do niej moja wiadomość.

– Gotowa na moją odpowiedź, skarbie? Nie widziałam Reece'a od co najmniej trzech dni i nie planuję się z nim zobaczyć. Gdybym jednak go spotkała, doradziłabym mu wiać jak cholera przed kobietą, która nie ma wystarczająco rozumu, by pozbyć się charakterystycznych butów po tym, jak na oczach całego miasta próbowała pozbawić go ulubionego superbohatera i okazałej porcji prądu.

W końcu unoszę stopę.

Angelique zrywa się na równe nogi i trzymając się za szyję, wypluwa z siebie potok gardłowej francuszczyzny, po czym rzuca się do ucieczki i znika za zakrętem. Jestem niemal pewna, że nazwała mnie szaloną suką albo miską zupy, choć postawiłabym raczej na to pierwsze. Jestem też niemal pewna, że za zakrętem czeka na nią samochód i że powinnam rzucić się w pościg, by spisać numery czy inne szpiegowskie gówna, ale powątpiewam, czy jestem w stanie wykonać choćby jeden krok, a co dopiero pognać za nią niczym dziewczyna Bonda. Każda kropla adrenaliny w moim ciele wędruje w jeden z dwóch jego końców: w mojej głowie rozpętuje się tornado, moje stopy drżą, jakbym przypięła do nich inercyjne hantle. Strefa pomiędzy to chaotyczny bałagan.

Jakimś cudem udaje mi się wspiąć po schodach do mieszkania bez przewracania się. Ale trafić kluczem do tej małej dziurki w drzwiach? Tu już nawet cud nie pomoże.

– Emmalino.

Okręcam się na pięcie i moim oczom ukazuje się – chodzący, mówiący, mierzący metr dziewięćdziesiąt – cud.

Inaczej. Ostrze błyskawicy. Siła natury. Dziedzic z włosami. Milioner podrywacz. Seksowny dupek z wieży.

Mój Piorun.

Mój mężczyzna.

– Och. – Nie jestem w stanie z siebie wydobyć nic więcej.

Mój głos jest piskliwy i pełen bólu, ale także radosny i odświętny. Rzucam się Reece'owi na szyję bez oporów i bez żalu.

– Uch!

Aż go zatyka, gdy obejmuję go w pasie nogami i pozwalam, by wziął ode mnie klucze i otworzył zamek.

Wchodzimy do środka.

I nagle jestem w domu. Naprawdę w domu.

Dokładnie tu, gdzie powinnam być po trzech cholernych dniach piekła.

Trzy dni. Siedemdziesiąt dwie godziny. Każdy powiedziałby, że to zaledwie kropla w oceanie czasu, ale ja nazwałabym tego człowieka szaleńcem.

– O wow! – Udaje mi się wykrztusić przez jeden z tych zmysłowych wybuchów śmiechu Reece'a.

I znów nurkuję ku niemu, całując go jak wariatka.

Aż w końcu zaczynają płynąć łzy.

Zalewam go nimi, nie odczuwając żadnej skruchy, że zamieniam przód jego granatowego podkoszulka w popartowo-kobaltowe dzieło.

Odwzajemnia się taką samą namiętnością, obsypując pocałunkami moje włosy.

W jego ramionach czuję się cudownie – taka doskonała, potężna, kompletna. Czuję, że jego serce zaczyna bić w tym samym rytmie co moje, świętując triumfalny powrót.

Nie.

To nie jest powrót. Nie może być.

Przecież nic się nie zmieniło. Nic nie zostało naprawione. W zasadzie.

– Do ciężkiej cholery. – Odpycham go i zaczynam biegać po pokoju, zaciągając żaluzje. – O Boże, Reece, nie możesz tutaj przyjeżdżać. Angeliq...
– Wiem.

– Co?

– Wiem. Była tutaj.

– Ty...

– Śledziłem ją.

– Co? – Okręcam się na pięcie i zaciskam dłonie na jego przedramionach. –

Jak?

Oblewa się rumieńcem.

Niech to szlag. Ten mężczyzna jest jeszcze seksowniejszy, gdy się czerwieni i mamrocze, niż gdy roztacza aurę samca alfa i półboga.

– Szczerze mówiąc, z łatwością. Sprawdziłem, jakie telefony logowały się do sieci w okolicach elektrowni El Segundo w piątkowy wieczór, i wykluczyłem te, które należały do pracowników i do mnie. Gdy już namierzyłem jej telefon, nietrudno było...

– Okej, okej. – Chichoczę. – Mniej więcej rozumiem.

Tym razem Reece nie śmieje się razem ze mną. Zmienia ułożenie naszych rąk. Teraz to on chwyta mnie za przedramiona i obejmuje dłońmi moje łokcie, jednocześnie wpatrując się we mnie oczami jak skrzydła srebrnego anioła.

– Śledziłem każdy jej ruch. Generalnie kręci się wokół posiadłości, którą wynajęło Konsorcjum na swoją siedzibę. To dlatego odpaliłem M4 i pojechałem za nią, gdy tylko zauważyłem, że zmierza w tę stronę. – Mocniej zaciska palce. – Dotarłem w chwili, w której sięgnęła po noże.

– Świetny pomysł: wkroczyć do akcji w najniebezpieczniejszej scenie w całym filmie, stary.

– Właśnie dlatego nie wkroczyłem. – Nozdrza Reece'a rozszerzają się, a usta zaciskają w wąską kreskę. – Przeżyłem prawdziwe piekło, gdy patrzyłem, co próbuje ci zrobić.

– Od mojej strony też nie wyglądało to dobrze.

– Ale byłaś niewiarygodna. – Jego twarz znów się zmienia. Pojawia się na niej coś na kształt zachwyty. Zmysłowe wargi rozciągają się w szerokim uśmiechu. – Nie. Nie niewiarygodna. Wspaniała. – Reece podchodzi bliżej, obejmuje dłonią mój kark i opada na moje usta w czułym pocałunku. – Stałaś się moim Piorunem, Emmalino Crist.

Jęczę w łagodnym zachwycie, gdy powtarza pocałunek z większym zdecydowaniem, torując sobie drogę w głąb moich ust. Każda komórka w moim ciele odżywa. Widzę, że on czuje tak samo – jego palce płoną niebiesko-złotym blaskiem – ale odsuwam się, biorąc hormony pod kontrolę.

– Jestem dumna, że ty jesteś dumny, panie Richards. Ale wciąż znajdujemy się w tym samym miejscu co wcześniej. – Wzdycham ciężko. – A może nawet jest gorzej, ponieważ teraz rozumiem, że Konsorcjum naprawdę nie ma pojęcia, co to są granice.

Sztywno kiwa głową.

– Tak. Zdecydowanie jest gorzej.

Odsuwa się ode mnie i zaczyna przemierzać pokój miarowym krokiem, z dłońmi wspartymi na szczupłych biodrach. Podziwiam ten widok zaledwie przez chwilę. Doskonale skrojone czarne spodnie opinają jego tyłek jak džinsy, może nawet lepiej.

– To na pewno nie ostatnia wizyta Angelique – kontynuuje. – Gwarantuję ci, że Konsorcjum dowie się w jakiś sposób, że nadal jesteśmy w kontakcie.

– A o całkowitej separacji nie może być mowy.

– Pod wieloma względami. – Puszczą do mnie oko przez ramię.

Zapada długa cisza, która podkreśla napięcie.

– Może gdzieś na południowym Pacyfiku jest jakaś wyspa? – mamrocze całkiem serio. – Uroczy hotel, w którym wszyscy płacą muszelkami i uśmiechami? Mogłabym każdego dnia wkładać do pracy hawajską kieckę...

– O nie! – Reece wraca do mnie i znów zamyka mnie w swoich doskonałych ramionach. – Zły kierunek. Musisz znaleźć takie miejsce, w którym oficjalny strój roboczy to wyłącznie muszle i uśmiech.

Realizuję przynajmniej część tej wizji i się uśmiecham. Całujemy się czule. Wzdycham ciężko w jego pierś, rozkoszując się odgłosem miarowych uderzeń serca.

– Coś wymyślimy.

– Ja coś wymyślę. – Reece przyciska wargi do czubka mojej głowy. – To ja wpakowałem cię w ten szalony bałagan, Emmalino.

– Podoba mi się ten szalony bałagan, dopóki jesteś obok, okej?

– Okej. – Pochyla głowę i wspiera się czołem o moje czoło. – Ufasz mi?

– Zawsze.

Trzy dni później „nieco trudniej mi uwierzyć w to zawsze”.

Dokładnie tak brzmi wiadomość tekstowa wysłana przeze mnie Reece’owi podczas wizyty w łazience, którą mam nadzieję przedłużyć jeszcze o minutę bez budzenia podejrzeń. Celowo wybrałam łazienkę położoną jak najdalej od sali balowej hotelu Pelican Hill Resort, w nadziei, że matka, ojciec i Lydia postanowią zapomnieć, gdzie jestem. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się ukrywać w przytulnej kabinie przez kolejną godzinę, wachać „tropikalne kwiaty” automatycznie rozpylane w powietrzu i wymieniać wiadomości z mężczyzną, który podniósł seksting do rangi sztuki.

Tak samo jak odmienił każdy centymetr mojego serca.

Kocham go. Nie mogę przestać mu tego powtarzać.

Bo tylko on może się o tym dowiedzieć.

Ach, fantastyczne życie dziewczyny superbohatera!

Piszę coś o tym i za chwilę śmieję się cicho, czytając odpowiedź.

„Cóż, ja specjalizuję się w fantazjach, panno Crist”.

„Ależ z pana twardziel, panie Richards”.

„Dla pani, panno Crist”.

„Tak? A kiedy ostatnio odwiedzałeś miazdzące jądra piekła Orange County?”.

„Całkiem niedawno, nawet jeśli w to nie wierzysz”.

„Brzmi intrygująco...”.

Przygotowuję się już na pikantną opowieść, gdy drzwi do łazienki otwierają się z nienacka.

– Emmalino? Jesteś tutaj?

Zgrzytam zębami, walcząc z pokusą, by na wezwanie matki odpowiedzieć krzykiem. Daremny trud, nawet gdybym uległa. W przypadku mojej rodziny krzyk nie pomaga.

Moi bliscy kochają mnie na swój pokręcony sposób. Bardzo pokręcony.

– Jestem. – Zmuszam się do cywilizowanej reakcji. To nie wina matki, że nie podzielałam jej gorącej miłości do Newport Beach. Przestałam nawet próbować. – Już kończę.

– Och, to dobrze. – Zaczyna się fiokować w okolicy umywalek. – Za chwilę podadzą kolację, a potem rozpocznie się ceremonia wręczania nagród. A tobie to wszystko ucieka!

– Oczywiście.

Moja wymuszona uprzejmość zdałaby egzamin przed każdym z wyjątkiem Laurel Crist. Jej macierzyńskie lasery przedzierają się przez moją fasadę w dwie sekundy.

– Doprawdy, Emmo. – Wstaje, gdy wychodzę z kabiny, i krzyżuje ramiona na ozdobionej pętelkami sukni z pomarszczonego jedwabiu. Ma szpilki w podobnym odcieniu i kolczyki ze szlachetnymi kamieniami, wszystko dobrane tak, by podkreślało kolor jej oczu, niemal takich samych jak moje. – Przecież pracujesz z hotelowymi gośćmi. Powinnaś być bardziej gościnna.

– Jestem. Wobec hotelowych gości.

Uśmiecham się uroczo na myśl o tym, jak zareagowałaby moja wyfiokowana idealna matka, gdyby dowiedziała się, jak bardzo gościnnie zachowałam się w stosunku do Reece’a Richardsa. Ale tej prawdy nie dowie się nigdy.

Świat nie może poznać tej tajemnicy.

– Czy mogłabyś chociaż spróbować, moja droga?

Biorę głęboki oddech, nie przestając się uśmiechać, choć zgrzytam zębami.

– Tak, mamo.

– I pomaluj usta ciemniejszą szminką. Ta pozbawia cię kolorytu.

Odpowiadam w najlepszy sposób, jaki znam.

– Ty za to wyglądasz dzisiaj bardzo ładnie.

– Naprawdę? – Zerka do lustra. – Tak sądzisz? Czy ten krój nie sprawia, że moje biodra...

– Wyglądasz obłudnie. – Choć mówię szczerze, widzę, że matka mi nie wierzy. Mierzy się krytycznym spojrzeniem. – Twój ojciec powiedział, że powinnam włożyć coś granatowego. – Cmoka i kręci głowę. – Jego zdaniem ta barwa nadaje mojej cerze żółtawy odcień.

Biorę ją za rękę.

– Ojciec się myli.

– Jesteś taka miła, skarbie. – Matka klepie mnie po policzku. – Ale nałóż ciemniejszą szminkę. Może twoja siostra ma jakąś i mogłaby ci pożyczyć.

Wracamy do piekła przyjęcia koktajlowego.

Ukrywam się w moim ulubionym miejscu, u boku Lydii. Moja siostra, gwiazda tenisa, nurza się w cmoknięciach, pocałunkach i uściskach ludzi, którzy przyszli tutaj dla niej. W sumie samo okazywanie uczuć nie jest takie złe. Za to rozmowy krążące stale wokół tych samych dwunastu tematów sprawiają, że zaczynam się zastanawiać, czy można podciąć sobie żyły nożem do masła.

Chwilami próbuję się angażować – tylko po to, by na uwagi, którymi ewentualnie mogę się podzielić, odpowiedziały mi identycznie szkliste spojrzenia.

– Och, mieszkasz w centrum LA? Dlaczego?

– Przecież tutaj jest tak ciekawie! Widziałaś ten nowy bar z mrożonym jogurtem?

– Dlaczego pracujesz na nocnej zmianie? Nie jesteś jeszcze dość dobra na dzienną?

– Jakie gwiazdy filmowe już poznałaś? Czy obsługuje je może zwykły hotelowy personel?

– Jeździsz do pracy metrem? A co jest nie tak z twoim prawem jazdy?

A co jest nie tak z wami?

Zaciskam zęby z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Splatam palce za plecami. W głowie mi dudni. Walczę z szaloną pokusą, by skoczyć z okna.

Co jest nie tak z tobą?

Powinłam znać już ten refren na pamięć, czyż nie? Dlaczego zatem wydaje mi się teraz jeszcze bardziej nieustępliwy? Dlaczego ciąży mi przy każdym oddechu i każdym kroku, dlaczego mam wrażenie, że ktoś zamyka mnie w wielkim, ładnym pudełku?

Dlaczego chcesz mieć więcej? To pudełko ci nie wystarcza? Dlaczego pragniesz więcej, gdy masz to wszystko?

Odnajduję swoje miejsce, siadam i wbijam wzrok w rozetki mrożonego masła, które zaczynają się topić. Zastanawiam się, kiedy przestaną wyglądać jak kwiaty, i czuję z tego powodu osobliwy smutek.

Ludzie przestają lubić masło, gdy już nie wygląda jak róża, nawet jeśli wciąż smakuje tak samo.

Tak. Oficjalnie znajduję się w piekle.

Tyle że nagle wszystko wokół zamiera.

Zapada głucha cisza, ledwie zakłócana falami gorączkowych szeptów. A potem...

Zdumione westchnienia. Wysokie okrzyki. Kilka zachwyconych pisków starszych dam.

U mego boku staje Lydia. Na jej twarzy maluje się taka sama oszołomiona ciekawość jak u wszystkich innych gości.

– O cholera, Em.

– O cholera, co? – Mierzę ją uważnym wzrokiem. – Dia? Co ty...? Co się dzieje, do cholery?

– Wstań. – Chichocze nerwowo, pomagając mi się podnieść. Nie wymaga to od niej wysiłku. Lydia gra w tenisa od niemal dwunastu lat, ramiona ma jak tłoki ciężarówki. – Wstań, dziewczyno. O mój Boże, co on tu robi?

– Kto?

– Zaraz zemdleję. To nieziemskie!

– Ale co?

Nieziemskie. Cóż, tak też można powiedzieć. Albo zapierające dech. Piękne.

Niezależnie od tego, ile przydawek dodam, nie zdołam oddać tego, jak ściska mnie w żołądku, jak skacze mi puls, jak buzuje mi krew, jak łomocze mi serce, gdy nieskazitelna postać w czarnej skórze przechodzi przez salę krokiem posiadacza. Kto wie? Może to naprawdę jego własność? Ale nie ta myśl dominuje w moim mózgu i pięści moje libido. Tak samo jak każda inna kobieta w sali oddycham płytko, a tętno mam trzy razy szybsze, gdy on kroczy arogancko w tych swoich robionych na zamówienie butach ninja, a jego elektryzujące oczy

błyszczą za gustowną maską.

O cholera.

Jest. Tutaj. W bardzo publicznym miejscu, w pięciogwiazdkowym hotelu, w którym nie dojdzie raczej tego wieczoru do żadnej zbrodni, przez co w moim mózgu kołacze pytanie wypowiedziane już na głos przez Lydię.

Co on tu robi, do cholery?

Reece udziela odpowiedzi, gdy tylko jego wzrok pada na mnie. Z determinacją unosi brodę i maszeruje przez tłum. Jakimś cudem udaje mi się utrzymać na nogach, choć z trudem ukrywam uśmiech, gdy widzę, ile serc zostawia za sobą na ziemi.

W końcu się zatrzymuje.

Przez co najmniej minutę milczymy. Wpatrujemy się w siebie. Nasze energie się odnawiają. Umacniamy nasze połączenie.

O cholera, naprawdę mam ochotę się na niego rzucić... Niemal obezwładniająca.

Czy to uczucie zgaśnie kiedykolwiek? Czy chcę, żeby zgasło?

Na to pytanie również poznaję odpowiedź, gdy tylko Reece ujmuje moją dłoń. Jego rękawiczki nie stanowią bariery dla naszego żaru. Naszego pragnienia. Naszego przyciągania.

Głęboki oddech. Głęboki oddech.

Nie ma sensu sobie tego powtarzać. Moja krew płonie, nakazując mi przycisnąć go do ściany i wziąć tu i teraz. Dzikie iskry w jego spojrzeniu wskazują, że on toczy dokładnie tę samą bitwę.

Odchrząkuje. Dwukrotnie. Kłania mi się nisko, po czym muska moje knykcie wargami, przesyłając impulsy elektryczne do moich palców. Jeden z nich delikatnie skubie zębami.

Moje serce robi fikołka. Trzy razy.

– Witaj, piękna.

Z naszej bańki emanuje radość, rozprzestrzeniając się w tłumie niczym impulsy elektryczne. Cholernie dobre porównanie w świetle tego, co on wyprawia z całym moim układem nerwowym.

– Cześć, przystojniaku.

Szept ledwie spływa z moich ust.

Pojawiają się matka i ojciec. Jedwabna sukienka jest idealnie wygładzona. Ojciec, po którym odziedziczyłam jasnoblond włosy, dołeczki w policzkach i okrągłą twarz, wysuwa się do przodu. Bierze Reece'a za rękę i potrząsa nią dziko. Nie wypuszcza jej, dopóki wynajęty fotograf nie zrobi co najmniej dziesięciu

zdjęć.

– Pan Piorun – oświadcza, bezwstydnie wykorzystując marketingowy moment. – To dla nas zaszczyt, że pojawił się pan na naszym skromnym przyjęciu. Czy jest pan fanem tenisa?

Reece kiwa głową.

– Kiedyś grywałem. Ale obecnie przerzuciłem się na bardziej emocjonujące aktywności.

Ojciec odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

– Oczywiście! Ha, ha! Tak, tak!

Matka skromnie krzyżuje dłonie na brzuchu. Uśmiecha się jak na reklamie pasty wybielającej. Gładko włącza się do rozmowy.

– Musimy przyznać, że to dla nas spora niespodzianka. Czy pana wizyta wywołana jest jakąś specjalną przyczyną? – Rozgląda się wokół, otwierając usta w żartobliwym przerażeniu. – Nikt tutaj nie był dzisiaj niegrzeczny, prawda?

Gdy osoby stojące najbliżej wybuchają śmiechem, Reece unosi dłoń w czarnej rękawiczce.

– Wszyscy jesteście bezpieczni – zapewnia zgromadzonych. – Cóż... Wszyscy poza nią.

W sali rozlegają się oszołomione pomruki.

– Hm, poza Emmaliną? – Matka zacina się, jakby właśnie usłyszała, że w jej ulubionej kawiarni skończyło się mleko sojowe. – Serio?

– Serio. – Reece posyła jej takie spojrzenie, jakby chciał z niej wydusić to mleko.

– Dlaczego?

– Ponieważ się w niej zakochałem.

Topnieje mi serce.

Matka otwiera usta ze zdumienia.

Ojciec pała dumą.

A mój chłopak? On uśmiecha się kpiąco.

Gdy jego uśmiech staje się szerszy, przestają oddychać.

W tej samej chwili Reece przenosi dłoń za głowę i kładzie palce na zapięciu maski.

– Kocham ją – oświadcza, odsłaniając twarz. – I chcę, żeby wiedział o tym cały cholerny świat.

W sali zaczyna brakować powietrza.

Poważnie.

– O cholera... – mamrocze w końcu ojciec.

– Niech to szlag! – piszczy matka.
– Och, siostra! – Okrzyk Lydii działa na całą resztę zgromadzenia jak przyzwolenie.

Błyskają komórki, ludzie krzyczą, napierając na nas ze wszystkich stron.

Autentyczny szok sprawia, że mocniej ściskam palce Reece'a, przekuwając tysiąc pytań w oszołomiony grymas. W odpowiedzi obejmuje mój policzek dłonią w rękawiczce. Jego dotyk jest czuły jak pocałunek.

– Będzie dobrze, Velvet.

Posyłam mu kpiące spojrzenie.

– Jesteś pewien, przystojniaku?

W odpowiedzi unosi dłoń.

W sali natychmiast zapada cisza, przez co mój zdumiony jęk brzmi jak okrzyk.

Nawet bez maski mój mężczyzna dysponuje wyjątkową siłą.

– Panie Crist, pani Crist. – Mój chłopak, wyglądający jak bóg seksu z tymi swoimi gęstymi, zmierzwionymi włosami i mięśniami powleczonymi skórą, koncentruje się na powrót na moich rodzicach. – Jestem tutaj dzisiaj i składam tę deklarację, ponieważ wasza córka jest tego warta. Jest moim superbohaterem i tę prawdę powinien poznać cały świat. – Bierze głęboki oddech, by kontynuować, ale tylko kręci głową. Po chwili zwraca się do tłumu. – Gdy widzicie, jak robię te wszystkie głośne rzeczy, myślicie, że jestem szlachetny, odważny, że chronię was przed złymi ludźmi. – Prycha lekko, unosząc jeden kącik ust. – Ale to, co ja robię, jest łatwe. Prawdziwi bohaterowie, ci, których powinniśmy podziwiać, nie składają się z wykopów z półobrotu i świecących palców. To nie są goście, którzy od czasu do czasu potrafią cisnąć piorunem kulistym.

Znów odwraca się do mnie. Podchodzi tak blisko, że nasze nosy niemal się stykają, i przesłania mi świat nieskończonym pięknem swoich oczu i kochającym uniesieniem ust.

– Bohaterowie to ludzie tacy jak my wszyscy, którzy pragną więcej dla siebie i innych. Są na tyle odważni i prawdziwi, by podążać za swoimi marzeniami. – Mówi to wszystko podniesionym głosem, a mimo to jest to jedna z najintymniejszych rzeczy, jakimi się ze mną podzielił kiedykolwiek. Jeden z jego najbardziej znaczących podarunków. – Oni akceptują wyłącznie życie wśród prawdy i zachęcają do tego innych swoją bezkompromisową, brutalną szczerością. To właśnie ta wspaniała kobieta uczyniła dla mnie.

W tym momencie sala znów wybucha gromkimi wiwatami.

Chyba.

Niewiele widzę przez łzy w oczach i radość w sercu, która popycha mnie do przodu.

Potężne ramiona Reece'a już na mnie czekają. Przyciągają mnie tak blisko, że zlewają się nasze piersi i łączą usta.

– Kocham cię – mówię, gdy w końcu się odsuwamy od siebie.

Trzy sylaby przepełnione pożądaniem i zdumieniem, które króluje w moim umyśle, duszy i sercu.

– A ja kocham ciebie, Velvet. – Reece znów pochyla głowę, by zawładnąć moimi ustami w delikatniejszym pocałunku.

– Wiem. Wow, naprawdę to wiem!

Z uśmiechem wyprowadza mnie z sali balowej, dziękując mojemu ojcu za to, że pozwala mi porwać, choć obsługa zaczyna podawać do stołu. Zanim wychodzę, obiecuję jeszcze Lydii, że wrócimy na wręczenie nagrody. I wiem, że straconego posiłku nie będę żałować.

Jaka dziewczyna przy zdrowych zmysłach myśli o jedzeniu, kiedy bohater w skórze właśnie obnażył się dla niej w obecności dwóch setek osób?

Gdy wchodzimy na ścieżkę z widokiem na ocean, Reece przystaje, odwraca mnie ku sobie i ponownie bierze w ramiona. Zanim mogę powiedzieć choć słowo, jego wargi opadają na moje, atakują, pożerają, dominują, pozbawiając mnie równowagi i tchu. Gdy już odzyskuję czucie w nogach, odsuwam się nieco, choć moje obie dłonie nadal spoczywają w jego włosach. Nie sądzę, że mu to przeszkadza.

Jest uwodzicielski i pełen uczucia, rozczochrany przez wiatr i seksowny jak diabli.

– No więc... – mamrocze.

– No więc? – Uśmiecham się skromnie.

– ...jesteśmy już chyba warci tego twojego wow?

Cofam się, by wymierzyć mu za karę cios, ale wybieram lepszą torturę – atakuję jego wargi swoimi, rozdzielam je językiem i nie przerywam pocałunku, aż jego krocze twardnieje i zaczyna napierać na moje. Gdy już ciężko oddychamy, niemal obmacując się na ścieżce, szepczę w jego usta:

– Wow.

– To dobrze. – Pochyla się i mocno zaciska palce na moich biodrach. Wiatr zawodzi nad klifem, niosąc łoskot fal i elektryczność nadchodzącej nocy. – Bo zamierzam dać ci całe życie z takimi wow, Emmalino.

Moje serce znowu staje.

Po czym rusza z dwa razy większą prędkością, pozbawiając mnie tchu.

– Ja też pragnę cię w swoim życiu.

Jego uśmiech błednie. Reece pochyła się i opiera czoło na moim.

– Nawet teraz?

Ujmuję jego twarz w dłonie i zaciskam palce, przekazując mu, że rozumiem powagę pytania.

Stało się – ujawnienie, czyli superbohaterska wersja odręcznego zaproszenia dla wszystkich złoczyńców świata, nie tylko dla Konsorcjum.

Reece nie ma pojęcia, jak bardzo ułatwił mi odpowiedź na to pytanie, płynącą z każdej szczeliny serca, które wypełnił.

– Tak, panie Richards. Zwłaszcza teraz.

– Dzięki Bogu. – Wypuszcza powietrze z płuc z seksownym pomrukiem, po czym przyciąga mnie i po raz kolejny całuje oszałamiająco.

Moje myśli pierzchają, krew płonie. Moje spragnione westchnienie wypełnia jego usta. A mimo to próbuję zapanować nad twarzą, gdy Reece mnie uwalnia.

Trudno go ganić, gdy wygląda tak diablo dobrze, ale postanawiam spróbować.

– Dlaczego to tak cholernie długo trwało?

Wybuch śmiechem.

– Trzy dni?

– Wieczność.

Lekko kiwa głową na zgodę.

– Tak. Masz rację. Wieczność. – Muska nosem moje włosy. – Szlag by to, tęskniłem za tobą.

– To żadne wyjaśnienie.

– Znów masz rację, moja kobieto. – O cholera. Te słowa. Siłą powstrzymuję się, by znów się na niego nie rzucić. Przełykam ślinę, czekając na ciąg dalszy, który kryje się w spojrzeniu Reece'a. – Musiałem zrobić sobie przerwę. Skalibrować się.

Teraz ja się śmieję. I przygryzam wargę.

– Tak to się teraz nazywa?

Reece mi wtóruje.

– Dlaczego nie?

– W sumie racja.

Bierze kolejny głęboki oddech.

– Musiałem... Musiałem się upewnić, zanim do ciebie wrócę.

– Co do czego?

– Co do tego wszystkiego. Co do swojego podejścia do tej, hm, supermocy. –

Marszczy brwi. – Co do swojego podejścia do życia.

Kładę dłoń na jego piersi.

– Masz na myśli życie, które byłeś gotów zakończyć?

– No tak.

– I właśnie dlatego zacząłeś uganiać się za kryminalistami jak miś za miodem?

Milczy przez chwilę, pieszcząc krzywizny mojej talii. Aż jego palce spotykają się w końcu na moim krzyżu.

– Czułem się jak dzikie zwierzę, więc czemu nie?

Powoli kręcę głową.

– Ale podjąłeś bardzo ludzką decyzję. Żeby naprawić, co się da.

– Pokuta – słyszę. – Nadzieja, że jakimś cudem choć trochę przechylę tę kosmiczną szalę na swoją korzyść. Ale tak było, zanim zjawiłaś się ty. I zmieniłaś wszystko.

Zaczynam się śmiać, ale milknę, gdy napotykam jego spojrzenie równie srebrzyste jak gwiazdy. I równie czułe jak blask księżycy.

– Hej. – Lekko klepię go po mostku. – To ty wkroczyłeś do mojego biura, pamiętasz?

Przyciąga mnie jeszcze bliżej, dopasowując nasze ciała.

– I od tamtej chwili moje życie nie było już takie samo. – Wiatr przesycony zapachem soli morskiej i nocnych kwiatów zdmuchuje pasmo włosów na jego oczy. – Wtedy znów zapragnąłem żyć. A po tym, jak wypełniłaś moje serce, poczułem, że mogę.

Zarzucam mu rękę na szyję.

– Reece. – Mój szept wydaje się błahy w świetle tego, co właśnie dostałam. Życia, którego zapragnęłam dzięki niemu. – Boże, Reece...

– O co chodzi, Velvet?

– Ty jesteś moim więcej.

– A ty jesteś moim życiem – deklaruje, opadając ustami na moje, aż czuję grzmot jego serca i każdy elektron w jego krwioobiegu. Nagle poważnieje. – To dla mnie całkiem nowe terytorium, Emmo.

Odsuwam się nieco.

– Bycie zdemaskowanym superbohaterem?

Powoli kręci głową.

– Bycie zakochanym.

Moje serce zatrzymuje się na co najmniej trzy uderzenia. A potem staję na palcach, by musnąć wargami nos Reece'a.

– Dla mnie to również nowe terytorium.
– Rozgryziemy to razem. – Nasze czoła znów się spotykają. – Niech ci frajerzy po nas przyjdą. Będziemy gotowi.
Uśmiecham się z rozradowanych głębin mojego serca.
– Gotowi jak cholera.
Reece znów koncentruje na mnie wzrok.
– Nie będzie łatwo, Velvet. Nie żyjemy w komiksie.
– Wiem. – Pochylam ku sobie jego głowę i zagarniam jego usta w długim, czułym pocałunku. – Ale żyjemy.
Oddaje mi pocałunek.
– Jesteśmy razem.
– To jest nasze więcej.
– To jesteśmy my.
Jego deklaracja rozpala moje serce. Z trudem przełykam ślinę i odpędzam łzy.
Nasze usta spotykają się ponownie, a niebo eksploduje tęczą barw.
Synchroniczny pokaz laserowy uzupełniają fajerwerki.
Jest pięknie. Elektryzująco. Chaotycznie. Z nutą szaleństwa. Z całkiem sporą dozą szaleństwa.
Jak nasza miłość.
Najwspanialsza supermoc ze wszystkich.

PODZIĘKOWANIA

Gdzie należy zacząć, gdy człowiek próbuje oswoić się z myślą, że jego wymarzona książka w końcu może stać się rzeczywistością? Moim zdaniem odpowiedź brzmi: nigdzie. Być może należy po prostu trzymać się jednej obezwładniającej emocji.

Wdzięczność. Całe morze wdzięczności!

Obiecuję, że nie będę nadawać do momentu, w którym trzeba mnie będzie siłą ściągać ze sceny, ale nie wybaczyłabym sobie, gdybym nie podziękowała z każdego zakątka mojego serca i głębi duszy wspaniałym osobom, które pomogły zmaterializować się w końcu historii Reece'a i Emmy.

Meredith Wild i ekipo Waterhouse Press: Jonie, Davidzie, Shaylo, Robyn – dziękuję, że zaryzykowaliście i daliście szansę tandetnej skromnej pisarce z ogromną wyobraźnią. Wasza wiara w moją pracę okazała się tak podnosząca na duchu, obezwładniająca i nieprzerwanie niewiarygodna, że wciąż nie potrafię się otrząsnąć. Dziękuję!

Jeanne De Vita i Scott Saunders to niezrównany zespół redaktorski! Oboje pracowaliście tak bardzo, bardzo, bardzo ciężko! Wasza miłość i oddanie historii Reece'a i Emmy sprawia, że mam łzy w oczach. Serdeczne podziękowania dla was obojga za to, że trzymaliście mnie za rękę, wspieraliście, gdy wątpiłam w siebie, i sprawiliście, że moje słowa to melodia. Wasze wsparcie jest dla mnie bezcenne!

Tracey Roelle, moja pierwsza paro oczu we wszystkim! Byłaś przy mnie od samego początku i ośmieliłaś się udać tam, gdzie nie był oprócz ciebie żaden człowiek: do serca pierwszego pomysłu na superbohatera, jaki kiedykolwiek miałam! Mogłabyś opowiedzieć światu o tym okropieństwie, ale wtedy musiałabym cię zabić. Ha, ha.

Victorio Blue, najbliższa przyjaciółko, drugi mózgu podczas burz. Trzymałaś mnie za rękę i dbałaś o moje zdrowie psychiczne! Jesteś światłem mojego życia, moją prawdziwą superheroiną każdego dnia. Bardzo cię kocham, *chica!*

Shaylo Black – ty jako pierwsza zachęciłaś mnie, bym powróciła do pisania i dała upust wszelkim szalonym pomysłom. Cóż, ten należy do tych najbardziej szalonych – i nigdy by się nie zrealizował bez twojej niezłomnej wiary. Jestem ci ogromnie wdzięczna, kobieto.

Wszyscy, wszyscy członkowie Payne Passion Force – wasze poczucie humoru, wsparcie, dowcipy, śmiech i miłość utrzymują mnie przy zdrowych

zmysłach na wyjątkowe i piękne sposoby. Dziękuję wam, panie i panowie, z całego serca. Naprawdę doceniam to, że dzielicie się ze mną swoim życiem, miłością i pasjami, a oprócz tego wspieracie moje historie. Nie macie pojęcia, ile to dla mnie znaczy!

SPIS TREŚCI

PROLOG

REECE

ROZDZIAŁ PIERWSZY

EMMA

ROZDZIAŁ DRUGI

REECE

EMMA

ROZDZIAŁ TRZECI

REECE

ROZDZIAŁ CZWARTY

EMMA

REECE

EMMA

REECE

ROZDZIAŁ PIĄTY

EMMA

REECE

ROZDZIAŁ SZÓSTY

EMMA

ROZDZIAŁ SIÓDMY

REECE

EMMA

ROZDZIAŁ ÓSMY

REECE

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

EMMA

REECE

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

EMMA

REECE

EMMA

ROZDZIAŁ JEDENASTY

REECE

ROZDZIAŁ DWUNASTY

EMMA

REECE

ROZDZIAŁ TRZYNASTY
EMMA

PODZIĘKOWANIA

Tytuł oryginału: Misadventures with a Super Hero

Copyright © 2017 Waterhouse Press, LLC

Copyright for the Polish Edition © 2018 Edipresse Kolekcje Sp. z o.o.

Copyright for the Translation © 2018 Agnieszka Myśliwy

Edipresse Kolekcje Sp. z o.o.

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor zarządzająca segmentem książek: Iga Rembiszewska

Redaktor inicjujący: Natalia Gowin

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk, Beata Gontarska

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51),

Beata Trochonowicz (tel. 22 584 25 73),

Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Redakcja: Ewa Charitonow

Korekta: Anna Parcheta, Edytorial.com.pl Izabela Jesiołowska

Projekt okładki i stron tytułowych: Magdalena Betlej

/studio KARANDASZ - www.karandasz.com.pl

Skład i łamanie: Adam Dąbrowski

Zdjęcie na okładce: ArtOfPhotos/Shutterstock

Biuro Obsługi Klienta

www.hitsalonik.pl

mail: bok@edipresse.pl

tel.: 22 584 22 22

(pon.-pt. w godz. 8.00-17.00)

www.facebook.com/edipresseksiazki

www.instagram.com/edipresseksiazki

ISBN 978-83-8117-648-4

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.